Grodziecy - Sogwidów -

NAD NILEM
NIEBIESKIM

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. 758

a/c 6 - 8
XII-97

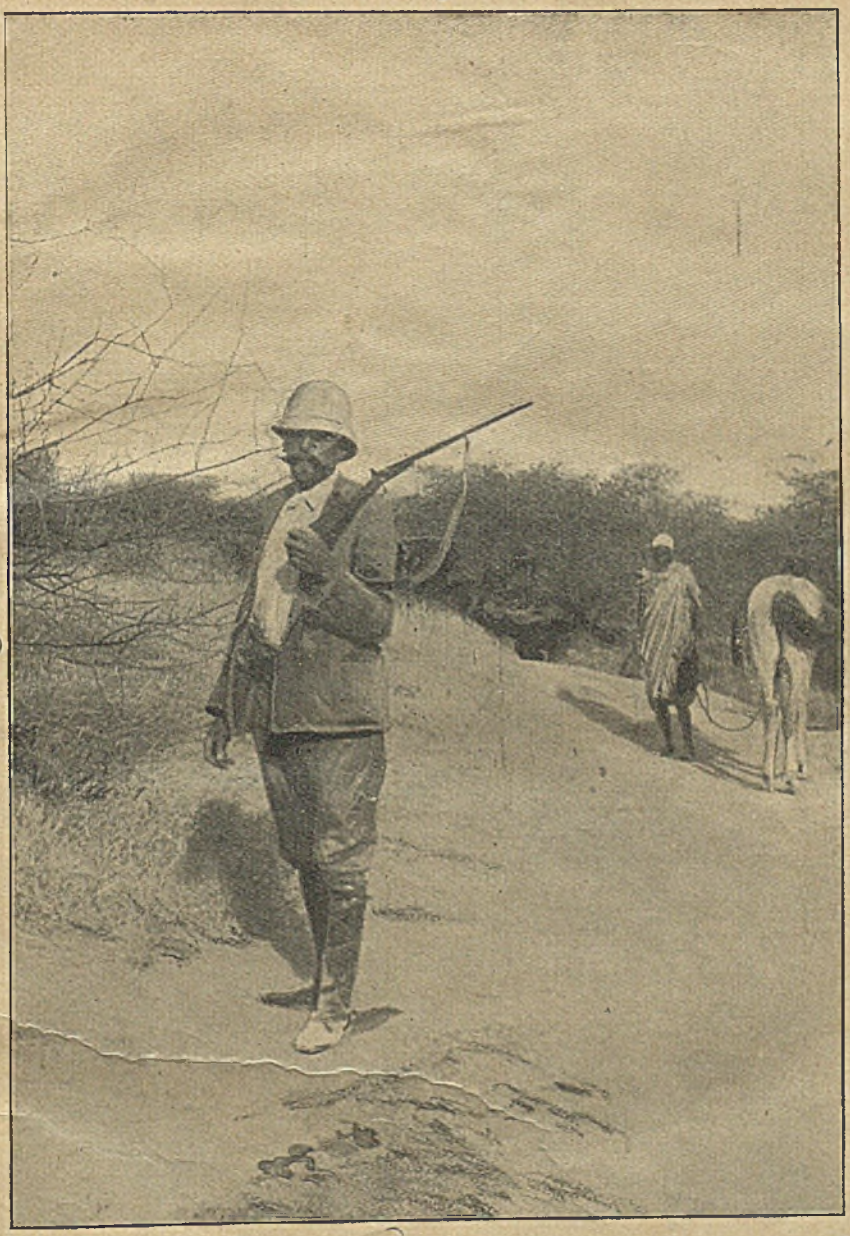

Jan Sztolcman.

Nr 458

JAN SZTOLCMAN

NAD NILEM NIEBIESKIM

WYPRAWA MYŚLIWSKA
JÓZEFA hr. POTOCKIEGO
DO SUDANU

Z ILUSTRACJAMI
JÓZEFA RAPACKIEGO

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. 758

Wydanie II.

WARSZAWA 1928 — GEBETHNER i WOLFF

Państwowe Liceum Pedagogiczne Biblioteka w Gliwicach
Szto. Nad. 758
91
Studium Nauczycielskie Biblioteka Gliwice
Politechnika Śląska BIBLIOTEKA Kolegium Pedagogiczne
SN 18866
Kolegium Nauczycielskie BIBLIOTEKA Gliwice
799.2(624):821.162.1-311.8

Druk. Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3, tel. 44-59.

Dzielnemu sportsmenowi,
znakomitemu autorowi
dzieł myśliwskich

Józefowi hr. Potockiemu

w dowód czci
pracę tę poświęca
Autor.

ROZDZIAŁ I.

Wyjazd z Warszawy. — Wiedeń. — Kair. — Nasza służba. — Materjał wyprawowy. — Assuan. — Hr. Teleky. — „Priace Abbas". — Sudan Military Railway. — Pustynia Nubijska. — Ciekawe spotkanie.

Wieczorem w wigilję Bożego Narodzenia roku 1900 otrzymałem najniespodziewaniej depeszę treści następującej:

„Uważałbym się za szczęśliwego, gdybyś pan zechciał jechać ze mną; wyprawa, broń przygotowane na dwóch; wyjazd z Trjestu 10-go stycznia, powrót w końcu marca; kraina zdrowa, nie febryczna; proszę odpowiedzieć."

„Józef Potocki."

Wiedziałem już poprzednio, że Józef hr. Potocki, znany w szerokim świecie sportsmen, który już niejednokrotnie odwiedzał kraje zwrotnikowe w celach myśliwskich, wybiera się do Fashody nad brzegi Nilu Białego, nie dlatego, aby tam na zimujące przepiórki polować, gdyż już porzednie jego wyprawy do Indyj Wschodnich, Ceylonu i Somalilandu dowiodły, że ugania się on za najwyższemi wrażeniami, jakich tylko dostarczyć może spotkanie ze słoniem, tygrysem, lwem, nosorożcem lub bawołem. Niemniej jednak propozycya powyższa zasko-

czyła mnie tak znienacka, że w pierwszej chwili nie wiedziałem, jak sobie postąpić. Po głębszym atoli namyśle, podniecany przez Ksawerego hr. Branickiego, tudzież przez mego przyjaciela i wspólnika, Józefa Zarembskiego, odpowiedziałem telegraficznie hr. Potockiemu, dziękując mu za propozycję i prosząc o wskazanie mi miejsca, gdziebyśmy się spotkali, na co otrzymałem depeszę, naznaczającą mi spotkanie w Wiedniu na dzień 7-go stycznia.

I tak w dniu 5-ym stycznia, wieczorem, odprowadzony przez grono przyjaciół, znalazłem się w wagonie wiedeńskiego pociągu. Gdyby na dwa tygodnie przedtem ktokolwiekbądź powiedział mi, że ja pojadę do Fashody, odesłałbym go do czubków jako nieuleczalnie chorego. W taki to warjacki sposób los rzuca człowiekiem, jak piłką. Dziś w Warszawie rozmawiam spokojnie z kolegami u „Świdra", a za miesiąc znajduję się już w głębi Czarnego Kontynentu. Nie dość mi było ośmioletniej włóczęgi po Kordyljerach i Amazonkach, trzeba mi szukać teraz guza wśród lwów, słoni, wrogich derwiszów i innych dzikich bestyj. Lecz po co to myśleć o tem wszystkiem? Oddajmy los nasz w ręce Boga — i basta!

Po drodze wpadłem do Krakowa i stanąłem w Wiedniu 7-go stycznia rankiem. W hotelu „Impérial" czekał już na mnie hr. Potocki. Cały jego pokój był zawalony bronią, aparatami fotograficznemi, ubraniem myśliwskiem, tekami, książkami, mapami. Wskazał mi Hrabia naszą marszrutę, która przez Trjest, Kair, Chartum — prowadziła do Fashody. Była nadzieja, że w Chartumie władze angielskie dadzą nam kanonierkę, na której popłyniemy do Nabagayech, aby stamtąd lądem posuwać się wzdłuż prawego brzegu Nilu aż do Fashody.

Wskazówek co do tej drogi dostarczył Hrabiemu ks. Henryk Liechtenstein, zapalony sportsmen, który już wielokrotnie odwiedzał Afrykę, Indje Wschodnie, Japonję — przeważnie w celach myśliwskich. Obecnie wybierał się na nową wyprawę do Kordofanu w zamiarze zdobycia rzadkiego dzikiego barana *(Ovis tragelaphus)*, którego nie posiadał jeszcze śród trofeów swej wspaniałej kolekcji. Z nim razem mieliśmy jechać aż do Chartumu.

Hr. Potockiego niepokoiła ciągle myśl, że jednocześnie z naszą wybierało się do Sudanu kilka innych wypraw sportsmeńskich, które w planach jego ważne zaburzenia mogły spowodować. Najbardziej jednak bróździła nam wyprawa hr. Karola Hoyos'a, który w towarzystwie brata swego i dwóch Angli-

ków, pp. Buxtonów, już był Wiedeń opuścił, udając się według wszelkiego prawdopodobieństwa nad brzegi Nilu Białego.

Zdawaćby się mogło dla nieświadomego, że na tak obszernym kontynencie, jak afrykański, znaleźć się powinno dość miejsca nie dla dwóch, ale dla tysiąca wypraw. W gruncie jed-

Józef hr. Potocki.

nak rzeczy mają się inaczej. W porze suchej, która w Afryce odpowiada naszej zimie, wszelka zwierzyna koncentruje się około wielkich rzek, gdyż mniejsze strumienie lub kałuże wody wysychają zupełnie. Gdy z drugiej strony dodamy, że lewy brzeg Nilu Białego jest gęsto zaludniony, zrozumiemy łatwo, że

zwierzyna koncentruje się wyłącznie na prawym brzegu. A wtedy jasnem jest, że duże wyprawy myśliwskie, trzymające się jednej strony rzeki, będą sobie ciągle bróździły i przeszkadzały.

Dlatego to wczesny wyjazd hr. Hoyos'a był nam wysoce nie na rękę. Obok tego szykowała się do Sudanu wyprawa hr. Teleky'ego, który wyruszał razem z ks. Coloredo, oraz ekspedycja ks. Arenberga. Jeśli więc Hoyos nas ubiegł, to należało przynajmniej innych uprzedzić, aby co lepsze tereny myśliwskie przed nimi zająć.

Trzy dni, które spędziłem w Wiedniu, poświęciłem na zakup rozmaitych rzeczy, niezbędnych do wyprawy, jak buty na gumowych podeszwach, getry, koszule wełniane, pończochy i mnóstwo innych drobiazgów. Resztę czasu zajęło mi pisanie listów, korespondencji, oraz zwiedzanie pałacu ks. Liechtensteina i sławnej pracowni wypychacza Hodecka.

Książę zajmuje całkowicie obszerny dom nad brzegami Wiedenki. Już w bramie widać porozwieszane łby i rogi różnych podzwrotnikowych i europejskich zwierząt, a klatka schodowa jest literalnie niemi zawalona. Łby bawołów, nosorożców, rogi i łby antylop najrozmaitszych gatunków, wypychane lwy (książę zabił ich 14), ptaki dziwaczne — stanowią chaotyczną masę, w której się trudno połapać. Niemniej ciekawą jest kolekcja zdjęć fotograficznych, jakie książę we wszystkich swych wyprawach poczynił, a między niemi fotografje nosorożców, antylop i innych zwierząt, poczynione z natury.

Czas w Wiedniu zeszedł mi tak szybko, żem ani się spostrzegł, jak nadszedł wieczór dnia 9-go stycznia, to jest chwila odjazdu do Trjestu. Na stacji spotkaliśmy się z ks. Henrykiem, któremu towarzyszył wierny jego służący, Abdallach, Somali, ubrany po europejsku, lecz w fezie na głowie. Oprócz Hrabiego i mnie, jechał też Stefan, służący hr. Potockiego, znany z wyprawy jego do Indyj Wschodnich.

W Trjeście stanęliśmy 10-go rano i bezpośrednio udaliśmy się do doków, aby wsiąść na doskonały parowiec „Habsburg", należący do Austrjackiego Lloyda. Habsburg liczy 4000 ton pojemności, ma szybkość dochodzącą do 18 węzłów (około 28 wiorst) na godzinę i jest urządzony z możliwym komfortem. Hr. Potocki zajął kajutę dowódcy statku, ja miałem sam dla siebie obszerną kajutę 1-ej klasy. Jednem słowem podróż zapowiadała się możliwie wygodnie.

Punkt o 12-ej w południe zdjęto wiązadła i po krótkiem manewrowaniu w ciasnych dokach wypłynęliśmy na Adrjatyk.

Morze było spokojne, mimo dość silnego „bora", który w tej porze roku zwykł był płatać figle.

Nie będę was nudził opisem 4-dniowej podróży z Trjestu do Aleksandrji. Powiem tylko, że czas płynął nam szybko i przyjemnie na czytaniu, rozmowie, jedzeniu i spaniu. Wziąłem z sobą z Wiednia oba tomy rozgłośnego dzieła Edwarda Foa, które mi dostarczyły wybornej i dobrze zastosowanej lektury. Ostrzegę was tylko, abyście wiadomości, podawane przez tego pisarza, przyjmowali z dobrodziejstwem inwentarza. Jeden z najlepszych znawców afrykańskiego myślistwa, ks. Henryk Liechtenstein, ruszał tylko ramionami, gdym mu kilkakrotnie cytował Foa, jako powagę w tych rzeczach, a hr. Potocki i p. Bertrand, znany eksplorator Afryki środkowej, który świeżo odbył podróż z Congo do Chartumu, odzywali się o jego prawdomówności niezbyt pochlebnie.

Do Kairu przybyliśmy w poniedziałek 14-go o godzinie 1 i pół po południu i stanęliśmy w najsłynniejszym tamtejszym hotelu Shepheard'a.

Jakiż to dziwny kraj ten dolny Egipt ze swemi kanałami irygacyjnymi, ze swemi kopulastemi lepiankami, na których siedzą tysiące gołębi, z tym ludem czarnym, brunatnym, cynamonowym, żółtym, słowem wszelkich odcieni od białego do hebanowego. Nad głową czyste, błękitne niebo z jaskrawem po środku słońcem, a pod niem kraj równy, okryty polami uprawnemi, kępami palm daktylowych i poprzerzynany siecią kanałów. Każda piędź ziemi jest tu pod uprawą. A pozatem bezbrzeżna pustynia, która się ciągnie tysiące mil, — piasek, kamienie i skały.

Na dalekim horyzoncie dumnie wznoszą swe tępe szczyty pomniki dawnych władców Egiptu, przesławne piramidy. Dziwna zaiste myśl! Tysiące ludzi wylewało przez szeregi lat swój pot krwawy, aby jednemu człowiekowi grobowiec ufundować. I zbudowali mu pomnik tak trwały, że go ani czas, ani ludzie zniszczyć nie są w stanie. Upadła potęga Faraonów, Egipt przechodził z rąk jednych zdobywców do drugich, a piramidy stoją, jak stały, wyniosłe, imponujące, nienaruszone i stać będą, zda się, do końca świata.

Tego rodzaju refleksje tłoczyły mi się do głowy, gdym w wolnych chwilach Kair, lub jego okolice zwiedzał. Lecz czasu miałem niewiele, bo trzeba było przygotowania do wyprawy kończyć.

Hrabia z rekomendacji ks. Henryka najął tu doskonałego dragomana, Szaję, rodem Syryjczyka, wyznania katolickiego.

Typem swym przypomina on pięknego, polskiego szlachcica. Z jego to poręki pochodził cały personel służbowy, najęty na czas trwania wyprawy. Kolejno przedstawię ich wam, jako wiernych towarzyszów naszej doli i niedoli.

Bohos — Syryjczyk — lat około 50-ciu, niski, o chytrym wyrazie twarzy, zresztą doskonały kucharz, pilny, pracowity, zawsze wesoły. Mówi wcale nieźle po francusku. Służył przez 5 miesięcy Slatinowi-paszy, obecnemu inspektorowi generalnemu Sudanu, a niegdyś dwunastoletniemu więźniowi srogiego Kalify. Bohos towarzyszył Slatinowi w jego wyprawie do Senaaru, więc nie był nowicjuszem w tego rodzaju podróżach.

Azis — pomocnik Bohosa — również Syryjczyk, lat około 28, tęgi, przystojny chłopak, zawsze wesoły, a przytem chętny i pracowity. Z punktu widzenia kulinarnego wcale dobry kucharz.

Ahmed — przyboczny służący Hrabiego — tęgi i pracowity mężczyzna, lat około 40-tu, o cerze mocno śniadej. W podróży dawał innym przykład wytrzymałości i dobrej woli.

Ali — dwudziestokilkoletni chłopak, oddany mnie do posług, a tem samem mający nadzór nad wszelkiemi trofeami. Rodem zdaje się Egipcjanin, czarny, jak smoła, lecz o rysach delikatnych. Był to jedyny z całego personelu służący, który nam się nie udał. Elegancik, z wielkiemi złotemi pierścieniami na palcach, umiał zawsze tak się ulotnić, że go nigdy w obozie znaleźć nie można było. Nie robił nic z własnej woli, lecz dopiero na rozkaz brał się do pracy i to niechętnie. Zaraz w początku wyprawy zaczął udawać chorego, lecz gdy go Hrabia chciał do Chartumu odprawić, wyzdrowiał i był nieco chętniejszy.

Assad — Syryjczyk — lat około 30-tu, tęgi i przystojny. Do roboty nadzwyczaj chętny. Zajmował się stale obsługą stołu.

Wszyscy ci ludzie z wyjątkiem jednego Alego, byli nam szczerze oddani i śmiało na nich liczyć mogliśmy w razie nieposłuszeństwa lub buntu ze strony Sudańczyków, stanowiących naszą karawanę. Gdyż trzeba wam wiedzieć, że możliwość tego rodzaju nieporządków nie była bynajmniej wykluczoną i nawet Hrabia, przewidujący wszystko, zaopatrzył się w Londynie

w kilka par ręcznych kajdanków. W karawanie panuje prawo polowe; gdyby więc zaszła potrzeba, mieliśmy zupełną swobodę użycia jaknajbardziej krańcowych środków. Na szczęście w biegu naszej wyprawy, oprócz kilku sporadycznie zaaplikowanych razów, obeszło się bez tych ostateczności.

Znaczna część naszego materjału wyprawowego została zakupioną wcześniej przez Hrabiego w Londynie u Silvera et Co i nadeszła do Kairu morzem przez pośrednictwo Kompanji Cook'a. Pozostawało jednak mnóstwo do zakupienia w Kairze, co też w ciągu 6 dni, jakie tu spędziliśmy, załatwionem zostało. Nie od rzeczy będzie zaznajomić was choć z częścią tego materjału, abyście mieli pojęcie, w jakich warunkach odbywają się tego rodzaju wyprawy.

Arsenał nasz składał się z 7 sztuk broni. Hr. Potocki wziął dla siebie dwa sztucery fabryki Holland et Holland w Londynie, a mianowicie cal. 450 i cal. 303; dla mnie zaś wyznaczył paradoks Hollanda et Hollanda cal. 10 (na grubego zwierza) i doskonały karabin Mannlichera z 5-ciustrzałowym magazynem i lunetą. Oprócz tego mieliśmy strzelbę cal. 12 typu „Colindyan", z której można było strzelać zarówno kulami, jak śrótem; dalej śrótówkę cal. 12, kupioną w Kairze u puszkarza Baiocci'ego, i wreszcie ptaszniczkę od Springera z Wiednia, przeznaczoną specjalnie do mych ornitologicznych ekskursyj.

Do tych broni mieliśmy następujący zapas ładunków. Do sztucera cal. 450 — 100 ładunków (kule w części ze stalowemi końcami, a w części w niklowym płaszczu); do sztucera cal. 303 — 500 ładunków (kule w niklowym płaszczu); do paradoksa cal. 10 — 100 ładunków (kule ze stalowemi końcami): do mannlichera — 500 ładunków (kule ekspanzywne); do strzelby „Colindyan" cal. 12 — 100 ładunków z kulami i 500 ze śrótem; do strzelby cal. 12 — 200 ładunków śrótowych; i wreszcie do ptaszniczki — 300 ładunków śrótowych, z których 200 nabitych maczkiem. Ogółem więc mieliśmy 1300 ładunków kulowych i 1000 śrótowych. Znaczna część tego materjału wojennego wróciła z nami do Europy. Lecz w tego rodzaju wyprawach należy się trzymać zasady, że lepiej jest, aby zostało 1000 ładunków, niż gdyby zabrakło jednego.

W dziale zapasów żywności byliśmy przedewszystkiem bogato zaopatrzeni we wszelkiego rodzaju konserwy, zakupione przez hr. Potockiego częścią u Silvera w Londynie, a częścią u Walkera w Kairze. Mieliśmy więc konserwowaną wołowinę, cielęcinę, szynkę, ozory, sardynki, makrelki, homary, różnego

rodzaju jarzynki, znakomite „Army Ration"*), pieprz, sól, kari, sos „Kaboul", marmeladki z owoców, biskuity, herbatę, kawę, czekoladę, cukier i t. p. Następnie w Chartumie Hrabia zakupił jeszcze spory zapas kartofli i ryżu. Z tego widzimy, że śpiżarnia nasza była doskonale zaopatrzoną, a liczyliśmy też, że wszędzie po drodze dostaniemy baranów, kur, jaj i mleka, co w zupełności się sprawdziło. Nie należy jeszcze zapominać, że strzelby nasze mogły nam dostarczyć prowizji w obfitości.

Niemniej dobrze była zaopatrzona i piwnica nasza, jeśli tak można nazwać niewielkie sosnowe skrzynki, zawierające kompletny zapas wody mineralnej „Apollinaris", doskonałego wina białego „Gumpoldskirchen" i wreszcie szampana w półbutelkach, na „oblanie" jakiej wybitniejszej sztuki.

Dwa namioty, jeden większy, drugi mniejszy, miały nam służyć za przykrycie; gdy wszelako wolałem sypiać pod gołem niebem, niż w dusznym namiocie, jeden z nich odbył całą podróż, ani razu nie rozpięty. Za umeblowanie mieliśmy: trzy łóżka, dwa stoliki, dwa foteliki i dwa krzesełka, — wszystkie te przedmioty dające się składać w niewielkie stosunkowo paczki. Do mycia służyły nam dwie gumowe wanienki, a nadto obaj mieliśmy po dużym, gumowym *tubie* do skąpania całego ciała w razie potrzeby.

Garderoba nasza musiała być z porządku rzeczy bardzo ograniczona. Ja dla siebie miałem jeden garnitur myśliwski z materjału „khaki", który mi doskonale służył w ciągu całej wyprawy, drugi miejski z flaneli, frak (na wypadek wizyty u którego z dygnitarzy miejscowych), 2 pary trzewików na gumowej podeszwie, 2 pary guetrów, kilka koszul wełnianych, kilka białych, dwa kapelusze (hełmy) angielskie na wielkie gorąca, jedna „stanleyówka" — czapka ze zwieszającem się płótnem na kark, etc etc. — oto cały mój zapas garderoby.

Z innych rzeczy zabrałem z sobą: Heuglin'a „Ornithologie Nordost-Afrika's". Slatina-Paszy „Fer et feu au Soudan" i Edwarda Foa „Chasses au grands fauves"; dalej przyrządy do preparowania, parę słoików i epruwetek na owady, lornetkę polową, busolę, kilka par ciemnych okularów, album do rysunków i t. p.

---

*) „Army Ration" jest to puszka blaszana, zawierająca zupę z kawałkami mięsa i rozmaitemi jarzynkami. Taką puszkę zanurza się we wrzątek, a gdy się zawartość nagrzeje, dopiero otwiera się. Puszka taka zawiera kompletną porcję dla jednego człowieka.

Do fotografowania miały nam służyć dwa aparaty, z których jeden (londyński) bardzo drogi, był przeznaczony dla mnie, gdy Hrabia zachował dla siebie aparat typu „photo-jumelles". Na nieszczęście wszystkie zdjęcia, jakie zrobiłem przy pomocy mego aparatu, zapewne wskutek wadliwego nastawienia migawki, były przetrzymane i jako jedyna pamiątka z naszej wyprawy pozostały fotografje, robione przez hr. Potockiego.

Znalazła się też w naszym bagażu doskonała apteczka podróżna od Silvera z Londynu, zawierająca wszystkie najpotrzebniejsze lekarstwa, a także plastry, igły do zaszywania, bandaże i tym podobne. Dopełniłem ją dokupieniem w Wiedniu kilku flaszek sodowego phenolu Boboeuf'a, który nam oddawał znakimite usługi podczas naszej wyprawy. Używałem go z jak najlepszym skutkiem na wszelkie skaleczenia, zakłucia, opuchlizny i t. p. i mogę go śmiało rekomendować zarówno podróżnikom, jak i do domowego użytku.

Jednocześnie z kompletowaniem naszego materjału, Hrabia czynił właściwe kroki u władz miejscowych dla zapewnienia wyprawie wszelkich możliwych ułatwień.

W Kairze dowiedzieliśmy się, że hr. Hoyos wyjechał już był do Chartumu ze swymi towarzyszami, udając się nad brzegi Nilu Białego. *Volens nolens* należało więc projektowaną marszrutę zmienić i w tym wypadku Hrabia poszedł za radą egipskiego ministra wojny, oraz ks. Henryka, którzy polecili mu Nil Niebieski, jako krainę obfitującą w grubego zwierza.

Skoro przygotowania nasze zostały ukończone, hr. Potocki wysłał dragomana Szaję wraz z całą brygadą służby przodem do Chartumu. Wyjechali oni z Kairu d. 16 stycznia, zabierając większą część bagażu. My dwaj i Stefan zostaliśmy w Kairze do soboty 19-go, w którym to dniu wyjeżdżał do Assuanu pociąg zbytkowny. Zatrzymaliśmy tylko z sobą bagaż podręczny.

Wieczorem wspomnianego dnia o godzinie 6 i pół wyruszyliśmy doskonałym pociągiem kurjerskim *(train de luxe)*, który nas dowiózł do Luxoru na drugi dzień o 10-ej rano. Tu się kończy linja szerokotorowa, a tem samem i pociąg zbytkowny. Niemniej jednak, dzięki stosunkom ks. Henryka, dostaliśmy stąd osobny przedział z salonikiem i stanęliśmy w Assuanie, na pierwszej katarakcie nilowej, tego samego dnia o godzinie 7-ej wieczorem, aby noc w hotelu przepędzić.

W Assuanie miałem sposobność poznać hr. Teleky'ego słynnego afrykańskiego eksploratora, odkrywcę jezior Rudolfa

Biblioteka Oliwice

i Stefanji, który tu oczekiwał na przybycie ks. Coloredo, aby z nim razem udać się do Sudanu na wyprawę myśliwską. Teleky na pierwszy rzut oka robi wrażenie spokojnego bürgera, a nie człowieka, który przeszedł tysiące wiorst po krajach zupełnie nieznanych, wśród dzikich i wrogich plemion murzyńskich. Niepomiernie tłusty, z okrągłą i czerwoną twarzą, przypomina raczej spokojnego fabrykanta lub kupca. Trzeba go jednak posłuchać, jak opowiada o swych podróżach lub polowaniach, trzeba znać choć ze słyszenia te kraje, które on przeszedł, narażając na każdym kroku życie, aby zrozumieć, że to jeden z tych cichych bohaterów, którzy dla postępu wiedzy ludzkiej rzucają kraj, rodzinę, wygody życia codziennego, aby wśród nieznanych plemion spędzić lata całe w niepewności dnia i godziny. Czołem bić należy przed takimi ludźmi i żałować, że kraj nasz prawie ich wcale nie posiada.

W poniedziałek rano przejechaliśmy koleją żelazną do Schellalu o 3 kwadranse drogi, aby wsiąść na parowiec Cooka „Prince Abbas". Jest to statek zbudowany specjalnie do żeglugi po Nilu, bardzo płytki, z dwoma piętrami kajut nad pokładem. Trudno o większy komfort, niż na porowcach Cook'a, które krążą między Kairem a Assuanem, a następnie między Assuanem a Wadi-Halfą. Kajuty wygodne, kuchnia doskonała, cały statek oświetlony elektrycznością, czytelnia — słowem wszystko, czego mogą wymagać ludzie bogaci, przywykli do wygód i zbytku. Zaznaczam to dlatego, aby wam dać dowód, jak powoli Europejczyk zapuszczający się w głąb Afryki, przechodzi od wszelkich wygód wyrafinowanej cywilizacji do braku przedmiotów najpotrzebniejszych w życiu, jakim jest między innemi woda — nie mówię do picia, bo tę zawsze można zabrać z sobą — ale ta woda, którą nasze grzeszne ciało obmywać zwykliśmy.

Trzy doby, jakie spędziliśmy na statku, zeszły nam szybko, wśród rozmowy, czytania, pisania i t. p. Statek od czasu do czasu zatrzymuje się przy ruinach dawnych świątyń egipskich, a wtedy czereda turystów pod wodzą dragomana rusza na ląd, aby zobaczyć zabytki tej starej cywilizacji i utrwalić dla swej pamięci za pomocą zdjęć fotograficznych. Na brzegu czeka zwykle tłum fellahów — mężczyzn, kobiet i dzieci — którzy, począwszy od starców siwowłosych, a skończywszy na niemowlętach, wyciągają rękę z natrętnem dopominaniem się jałmużny. Na wszystkie strony słyszysz tylko „bakszysz, bakszysz", jak gdyby obowiązkiem podróżnika było płacenie za prawo oglądania tych nawpół nagich murzynów.

Po trzech dniach takiej podróży stanęliśmy w Wadi-Halfa o godzinie 2-ej po południu. Flagi w pół masztu na budynkach rządowych i konsulatach zwiastowały nam smutną dla prawdziwego Anglika, lecz przewidzianą wiadomość o śmierci królowej Wiktorji, cesarzowej Indyjskiej. Oficerowie mieli krepę na ręku, prawowierne *miss* przywdziały grubą żałobę. I mimowoli przychodziła nam na myśl potęga tego narodu. Od zachodu na wschód, od północy na południe, jak wielką jest kula ziemska, w najbardziej zapadłych kątach świata, powiewa teraz ta flaga żałobna, wyraz wiernopoddańczych uczuć ludu dla nieodżałowanej monarchini.

Z Wadi-Halfa prowadzi wojenna kolej żelazna *(Sudan Military Railway)* do Chartumu. Linja ta, ukończona dopiero przed rokiem, przyjmuje tylko 16 pasażerów na pociąg, a każdy podróżny winien być zaopatrzony w specjalne pozwolenie ministerjum wojny w Londynie. Bywało też, że ministerjum niektórym podejrzanym osobom pozwolenia tego odmawiało.

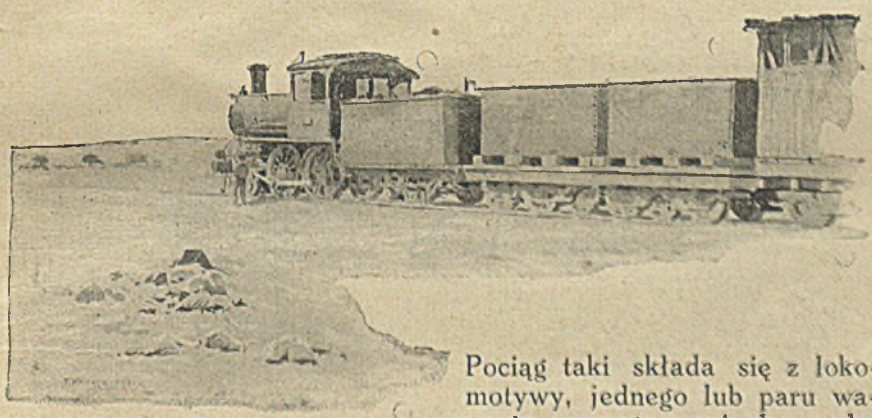

Pociąg taki składa się z lokomotywy, jednego lub paru wagonów z cysternami do wody, z jednego wagonu sypialnego, jednego restauracyjnego i jednego bagażowego, gdyż pakunki pasażerów są bardzo ograniczone. Dzięki jednak stosunkom ks. Liechtensteina dodano jeszcze jeden wagon bagażowy, gdyż inaczej nasz ładunek nigdyby się tu nie pomieścił.

Nil pomiędzy Abu-Hamed i Wadi-Halfą robi olbrzymi zakręt; kolej więc zakręt ten omija po cięciwie łuku, biegnąc między temi dwoma punktami wśród szczerej pustyni Nubijskiej.

Z Wadi-Halfa ruszyliśmy o 8-ej wieczorem, więc już po ciemku. Nie mogłem też zdać sobie sprawy, jak ta pustynia

wygląda. Dopiero na drugi dzień rano, gdym wyjrzał oknem wagonu, spostrzegłem olbrzymie przestrzenie, jak stół równe i pokryte szczerym piaskiem lub żwirem. Tu i owdzie, niby wyspy na morzu, wznosiły się w oddali pojedyńcze wzgórza, lub całe pasma nagich, skalistych łańcuchów. Ponad tem czyste, lazurowe niebo i wesołe słońce, które nawet te niegościnne i dzikie okolice stroi w blaski złociste.

W Abu-Hamed stanęliśmy w piątek rano. Stąd kolej stale się utrzymuje w kierunku Nilu, oddalając się tylko miejscami, aby uniknąć większych zakrętów rzeki. Okolica też nosi tu odmienny charakter, gdyż w pobliżu rzeki jaka taka roślinność ozdabia grunt jałowy.

Tegoż samego dnia po południu pociąg stanął w Berberze, gdzie przybyło nam kilku nowych pasażerów, a między nimi jakiś szczupły jegomość, zdradzający swym typem południowca, a wyrazem twarzy, szczególniej zaś oczu — człowieka, któremu

nie bardzo ufać można. Siedziałem właśnie, czytając książkę, gdy przybysz zajął miejsce na wprost mego siedzenia i bez ceremonji rozpoczął ze mną gawędę. Dowiedziwaszy się, że jestem Polakiem, oświadczył mi, że to on towarzyszył p. Konstantemu Rembielińskiemu w jego wyprawie nad Bahr el Setit i że tylko jemu ziomek nasz życie zawdzięcza, gdy go bawół okrutnie poturbował. Dziwny zbieg losu: człowieka tego przed dwudziestu laty widziałem w Paryżu, gdy ś. p. Konstanty hr. Branicki organizował swą wyprawę do Hamramu, w której i ja

udział wziąć miałem*). Interlokutor mój miał być dragomanem tej ekspedycji. Trzeba rzeczywiście dziwnego zbiegu okoliczności, aby w dwadzieścia lat potem spotkać go w głębi Afryki.

Następnie opowiedział mi, że przez wiele lat handlował w Abisynji kością słoniową, sam urządzając polowania na słonie przy pomocy krajowców; że zna cały Nil Niebieski i Biały, że wyprawy swe posuwał aż do Wielkich Jezior, że znany jest wszędzie pod nazwą „nieustraszonego myśliwca na słonie" *(l'intrépide chasseur d' éléphants)*; że wreszcie jest obecnie na służbie rządowej, by stosować monopol solny w całym Sudanie. Zwróciło też moją uwagę oświadczenie tego „nieustraszonego myśliwca", że był obecny w Hamramie, gdy lew rzucił się na hr. Esterhazego i poszarpał murzyna, który mu na pomoc poskoczył. Wiedząc, że ks. Liechtenstein był wtedy w pobliżu nieszczęśliwego wypadku, opowiedziałem mu zaraz te szczegóły. Książę oświadczył wtedy z najzimniejszą krwią przybyszowi, że, to wszystko nieprawda, co on mówi, gdyż sam był wtedy obecny, jeśli nie przy samym wypadku, to następnie przy kuracji hr. Esterhazego i że wówczas oprócz nich żadnego Europejczyka w całej okolicy nie było. Nasz jegomość na tak kategoryczne oświadczenie zamilkł, zaczął się plątać i w końcu okazało się, że nic nie wie ani o Niebieskim, ani o Białym Nilu. Następnie w Chartumie hr. Potocki zapytywał się Sirdara Wingate'a, czy nie wie co o nim. Sirdar oświadczył, że jest to jegomość, który się ima różnych podejrzanych czynności, że służył czas jakiś w tajnej policji egipskiej i że wogóle trzeba go się wystrzegać. Na pamiątkę schowałem sobie jego kartę wizytową, którą mnie w wagonie obdarzył.

Z tem wszystkiem w nocy z piątku na sobotę stanęliśmy naprzeciwko Chartumu, który leży w klinie przy połączeniu Nilu Białego z Niebieskim. Przespaliśmy jednak do rana w wagonie i dopiero o godzinie 8-ej wsiedliśmy na rządowy parowiec „Elfin" i przejechaliśmy na lewy brzeg rzeki, gdzie pasem ciągnie się miasto, a raczej jego ruiny.

---

*) Wyprawa ta z przyczyny choroby hr. Branickiego do skutku nie przyszła.

ROZDZIAŁ II.

Chartum. — Omdurman. — Ochronne prawo łowieckie dla Sudanu. — Plan naszej wyprawy. — Wyjazd z Chartumu. — Żegluga po Nilu Niebieskim.— Wod-Medani. — Wyjazd karawaną. — Senaar. — Nasi łowcy (Shikari).

Chartum, dzisiejsza stolica Sudanu, po upadku Gordona został przez Mahdiego z ziemią zrównany, a gdy po śmierci „proroka" rządy objął jego siostrzeniec srogi kalifa Abdullahi, stolicę swą ufundował w leżącym naprzeciwko Omdurmanie, który wkrótce z nic nieznaczącej osady wzrósł do 300 tysięcznego miasta, dzięki przymusowej imigracji plemion arabskich z całego Sudanu. Po wzięciu Omdurmanu przez Kitchenera we wrześniu 1898 roku, Anglicy znów przenieśli stolicę do Chartumu, a Omdurman, obrócony w perzynę przez angielskie bomby lyditowe, służy dziś jedynie za siedzibę władz prowincjonalnych.

Dziś Chartum przedstawia nagromadzenie ruin dawnych domów z niepalonej cegły lub gliny, wśród których wznoszą się wspaniałe gmachy już ukończone lub świeżo budowane. Anglicy, którzy mimo firmowego władcy, jakim jest khedyw, są faktycznymi panami zarówno Sudanu, jak i całego Egiptu, rozsiedli się tu na dobre i ze zwykłą sobie energją wzięli się do ucywilizowania kraju. Wszędzie, gdzie tylko potrzeba tego

zachodzi, przeprowadzili linje telegraficzne, wszystkie wybitne posady administracyjne, a szczególniej wojenne obsadzili swymi ziomkami, a z samego Chartumu w krótkim czasie zrobią piękne, cywilizowane miasto.

Nad samym brzegiem Nilu Niebieskiego wznieśli wspaniały pałac rządowy, który ich kosztował około 120.000 funtów szterlingów, a wśród miasta budują, lub pobudowali szeregi pokaźnych gmachów z cegły palonej, przeznaczonych na pomieszczenie władz wojennych i administracyjnych, na instytucje finansowe lub na mieszkania dla wyższych funkcjonarjuszów. Na uczczenie zaś pamięci bohatera Chartumu, ze składek publicznych przedsięwzięli budowę wspaniałego „Kollegium Gordona", w którem kształcić się będzie młodzież bez różnicy wyznań i rasy, poczynając od synów najwyższych dostojników, a kończąc na hebanowym potomku miejscowych parjasów.

Przybywszy do Chartumu, stanęliśmy w jedynym miejscowym hotelu *(Khartoum Hotel)*, należącym do jakiejś kompanji szwajcarskiej. Ponieważ sezon turystowski był jeszcze w pełni, więc i dwadzieścia kilka numerów było zajętych doszczętnie przez podróżnych. Na szczęście wszystko przewidujący hr. Potocki zatelegrafował z Kairu i dzięki temu znaleźliśmy przygotowane dla nas dwa obszerne i czyste pokoje. Olbrzymi nasz ładunek złożono na werendzie hotelu.

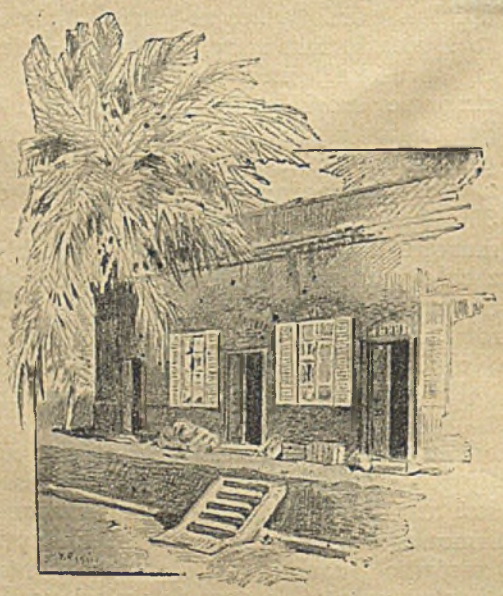

Hotel w Chartumie.

Książę Henryk na drugi dzień po przybyciu, przejechał do Omdurmanu, gdzie wśród ruin dawnego więzienia, czy fortecy rozbił swój obóz. Myśmy tymczasem kończyli przygotowania do naszej wyprawy ,a ja w wolnych chwilach zrobiłem kilka wycie-

czek oritologicznych, które mi dostarczyły nowych dla Muzeum nabytków.

We wtorek 29-go stycznia obaj pojechaliśmy do Omdurmanu, zaproszeni na obozowe śniadanie przez ks. Henryka. Z Chartumu wyruszyliśmy na osiołkach i po półgodzinnej jeździe przyjechaliśmy nad brzeg Nilu Białego, skąd gayassą (rodzaj jednomasztowej barki) przejechaliśmy do Omdurmanu. Zwiedzając miasto w ruinach, mimowoli przypomniałem sobie te straszne wojny mahdystowskie, z taką prawdą opisane przez Slatina. Rzecz dziwna. Czytając pamiętniki tego wojownika, ma się raczej wrażenie, że się czyta opisy wojen z przed 300 laty, coś w rodzaju srogich i barbarzyńskich wojen kresowych, tak po mistrzowsku przez Sienkiewicza odtworzonych. I nie wiem, czy wypadkiem, czy umyślnie, Slatin zatytułował swe pomiętniki „Fer et feu au Soudan", jakby miał na myśli najsławniejsze dzieło naszego mistrza.

W Omdurmanie każda piędź ziemi jest krwią ludzką zroszona. Kilkanaście lat panowania Kalify były jednym ciągiem wojen i egzekucji. Straszny ten tyran, który na czele sfanatyzowanych hufców bił raz po raz regularne wojska, który z niebywałą czelnością rozkazywał w swym liście do królowej Wiktorji, aby przybył do jego stolicy dla złożenia hołdu, w stosunkach ze swym własnym ludem był krańcowo podejrzliwym i srogim. Najlepszym swym przyjaciołom głowy ścinał, lub ich głodem zamarzał, gdy tylko cień podejrzenia na nich rzucono. Jednego z nich przez 24 dni trzymał w więzieniu, dając mu tylko wodę do picia, aby w nim dłużej ducha utrzymać; aż w końcu zmarł nieszczęśliwy straszną śmiercią głodową. Jedną z najmniejszych kar było ucięcie prawej ręki i lewej nogi. W Sudanie pełno takich kaleków spotkać można.

I pomyśleć sobie, że ten srogi satrapa upadł ledwie na dwa lata przed naszym przyjazdem. Dziś jeszcze na bocznych ulicach Omdurmanu bieleją nieuprzątnięte szczątki ludzkie, jako ślady strasznej bitwy Omdurmańskiej, podczas której zginęło 22000 derwiszów. Kitchenerowi przypadło w udziale poskromienie

tego strasznego wroga, który przez 15 lat trzymał w szachu połowę Europy. Ambicje jego sięgały tak wysoko, że marzył nietylko o podboju całego Egiptu, lecz nawet i Arabji wraz z Mekką. Noga mu się podwinęła, jak wielu innym olbrzymom, a ciało jego porzuconem zostało na pożarcie psom, sępom i hjenom.

Zwiedziliśmy dom jego w Omdurmanie. Jest to niewielki budynek jedno-piętrowy z niepalonej cegły i otoczony wysokim murem. Obok w tem samem podwórzu znajduje się pawilonik, który mieścił wannę do codziennych ablucyj „następcy proroka". W niewielkiej odległości rozciągają się zabudowania, w których mieszkał brat Kalify, Yacoub (Jakób). Dziś służą one za rezydencję Jaksona-Paszy, pomocnika Sirdara.

Pod sprawiedliwym rządem Anglików kraj szybko wraca do dobrobytu, tak silnie zachwianego przez kilkunastolecie krwawej wojny. Lud jednak, przywykły z dawien dawna do srogiego traktowania, utrzymać tylko można żelazną ręką. To też Anglicy mimo swej cywilizacyjnej misji, z niezwykłą surowością karzą wszelkie wykroczenia. Kara śmierci, kara cielesna, ciężkie roboty, kajdany są tu stosowane na każdym kroku. Przechodząc ulicą w Chartumie lub Omdurmanie co chwila spotkać można partje skazańców, ponuro brzęczących kajdanami pod eskortą uzbrojonych żołnierzy. Są to zbrodniarze, których rząd miejscowy używa do robót około upiększenia lub odrestaurowania miasta.

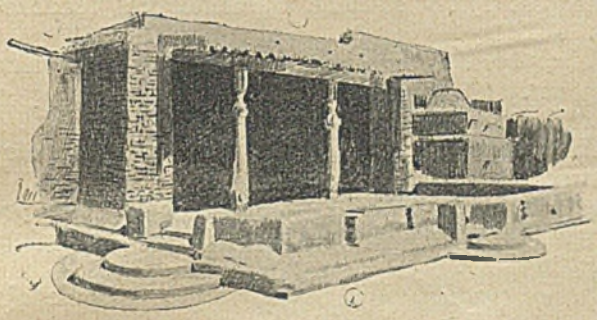

Jakkolwiek trybunały sudańskie składają się z sędziów — krajowców *(kadi)*, to jednak przewodniczy im zawsze miejscowy gubernator *(mudir)*, który ma głos decydujący, gdy reszta sędziów to — zaprawdę figuranci. Każdy wyrok śmierci idzie do zatwierdzenia do Sirdara, obdarzonego prawem łaski. Egzekucja następuje wnet po ratyfikowaniu wyroku.

Wszystkie posady gubernatorów prowincyj są zajęte przez oficerów angielskich; natomiast urzędy tak zwanych *mamurów* (naczelników powiatu) bywają często sprawowane przez Egipcjan. Dzięki temu Anglicy trzymają wszystkie nici rządu w swych rękach, co im daje gwarancję utrzymania Sudanu nawet, gdyby z biegiem czasu Egipt wypadł z pod ich protektoratu.

Lecz odbiegłem nieco od przedmiotu. Zwiedziwszy Omdurman, udaliśmy się do obozu księcia Henryka, gdzie na nas czkało już śniadanie, zastawione na polowym stoliku. Podczas śniadania książę zwrócił naszą uwagę na nienaruszony kartacz, leżący w zagłębieniu muru. Według zdania oficerów angielskich był to jeden z nieużywanych pocisków derwiszowskich.

Zjadłszy śniadanie, pozdrowiliśmy księcia tradycjonalnem „Waidmansheil" i wróciliśmy do Chartumu rządową łodzią, korzystając z uprzejmości miejscowego *mudira*, majora Stantona.

Hr. Potocki za naszej bytności w Omdurmanie wykupił dla nas obu pozwolenia *(licences)* na prawo polowania. Trzeba bowiem wiedzieć, że od roku zeszłego, wskutek znanej konwencji londyńskiej, w wielu kolonjach afrykańskich zaprowadzono ochronę zwierzyny. Nie od rzeczy też będzie zaznajomić was z niektóremi prawami myśliwskiemi, obowiązującemi w Sudanie od zeszłego roku.

Każdy kto chce polować w Sudanie na grubego zwierza, musi wykupić pozwolenie *A*, które kosztuje 25 funtów szterlingów (około 250 rubli).

Zabrania się bezwarunkowo strzelać strusie i zebry.

Żyrafy wolno jest tylko strzelać w niektórych oznaczonych dystryktach.

Słonie, bawoły, żyrafy, hypopotamy i nosorożce wolno zabijać tylko w pewnej ograniczonej ilości.

Oprócz licencji, za każdego zabitego bawołu płaci się 6 funtów, za słonia 8 funtów, za żyrafę 6 funtów, za hypopotama 1 funt i za nosorożca 5 funtów szterlingów.

Niewolno jest strzelać samic lub młodych wszystkich powyżej wymienionych zwierząt; ktoby zaś wypadkowo zabił, płaci 10 funtów szterlingów kary.

Kły słonia, o ile ważą mniej, niż 10 funtów, podlegają konfiskacie.

Oprócz opłaty za licencję, rząd pobiera 10 procent od wartości zdobytych kłów słoniowych.

W Chartumie dopiero skrystalizował się ostatecznie plan naszej podróży, według którego mieliśmy się udać wzdłuż lewego brzegu Nilu Niebieskiego aż do Karkocz, a ewentualnie do Roseires (na samej granicy abisyńskiej), a stamtąd albo wrócić tą samą drogą, albo się przerznąć do Nilu Białego i nim wrócić do Chartumu.

Za radą miejscowych funkcjonarjuszów hr. Potocki zdecydował się wykonać pierwszą część podróży, a mianowicie do Wod-Medani, na gayassach, gdyż ta część kraju, jako bardzo zaludniona, nie przedstawia żadnych widoków dla myśliwca. Dopiero z Wod-Medani na wynajętych drogą telegraficzną wielbłądach mieliśmy wyruszyć dalej ku południowi. Hrabia zakupił nadto w Omdurmanie dwa koniki miejscowej rasy dla nas dwóch i cztery osiołki — dla służby. Stworzenia te wysłaliśmy naprzód drogą lądową pod opieką dwóch saisów, czyli pachołków, Mohameda i Youssoufa, z których pierwszy miał być na usługach Hrabiego, a drugi mnie był przydany.

Musze tu zaznaczyć mimochodem, że wyprawa hr. Potockiego była pierwszą ekspedycją sportową nad brzegi Nilu Niebieskiego. W dawniejszych czasach tego rodzaju wyprawy nie były w modzie, a nieliczni sportsmeni angielscy kierowali się raczej do kraju Przyladkowego lub na wschodnie pobrzeża. Następnie przyszły wojny derwiszowskie, które Sudan zamknęły na przeciąg lat kilkunastu. Pierwszym dopiero sportsmenem, który odwiedził brzegi Nilu Białego w 1900 roku, był ks. Henryk Liechtenstein: właśnie dzięki jego namowom hr. Potocki zdecydował się jechać do Sudanu.

Jak mało był znany Nil Niebieski przed naszym przyjazdem, dowodzi i ta okoliczność, że nawet w Chartumie nikt

nie mógł nas dokładnie objaśnić, gdzie i jakie rodzaje zwierząt spotkamy. Mówiono o słoniach, o bawołach, o nosorożcach; jedni utrzymywali, że już od Wod-Medani będziemy szli, polując, gdy inni wskazywali na Karkocz, jako na początek terenów myśliwskich. Zobaczymy w przyszłości, jak i to twierdzenie było mylne.

Tymczasem ukończyliśmy nasze przygotowania i pod wieczór 30-go stycznia z radością ujrzeliśmy podjeżdżające do naszego brzegu trzy gayassy, wyszykowane przez dongilijczyka, Idris-Agę, który osobiście miał nam towarzyszyć do Wod-Medani. Właściwie Hrabia najął tylko dwie barki, lecz przezorny, choć już bardzo niemłody Idris, wziął jeszcze trzecią, aby na niej usadowić jedną z siedmiu swych małżonek. „W starym piecu, jak to mówią, djabeł pali".

Gayassa jest to barka, ciosana toporową robotą z akacjowego drzewa. Nasze duże gayassy miały około 20 metrów długości i 5 metrów szerokości. Pośrodku mieści się bardzo wysoki maszt z pojedyńczym, trójkątnym żaglem. W tylnej części gayassy urządzono dla nas pomost, na którym rozpięto trzcinową plecionkę, która nas chronić miała od prostopadłych promieni słońca. Załoga każdej barki składała się z 6 — 8 ludzi, którzy w razie niepomyślnego wiatru mieli popychać barkę tykami, lub ciągnąć ją z brzegu na linie.

Wczesnym rankiem 31-go stycznia zaczęto przenosić nasz ładunek z brzegu na barki. My dwaj ze Stefanem, Ahmedem, Alim i Assadem zajęliśmy jedną barkę, na której złożono również nasz podręczny bagaż i wszystkie blaszane skrzynki od Silvera z Londynu. Na drugiej rozłożył Bohos swą kuchnię, mając do pomocy Azisa. Tutaj też spakowano resztę naszego ładunku. Szaja, stosownie do potrzeby, jechał z nami lub z kuchnią.

Na pomoście naszego małego stateczku rozstawiono nam stoliki, krzesła składane; powyciągaliśmy z futerałów nasze lornety, niektóre sztuki broni, książki, mapy, instrumenty do wypychania i t. p. W południe wszystko było gotowe do drogi, lecz chytry Idris-Aga wynalazł powód do zwłoki, gdyż mu nie śpieszno było Chartum opuszczać. Jeden z jego niewolników uciekł mu poprzedniej nocy, zabierając 4 funty szterlingów. Stary nie mógł tego strawić, więc pod pretekstem niepomyślnego wiatru wyjazd odciągał. Na dobitkę zażądał części pieniędzy za przejazd, które jakoby swym ludziom był obowiązany wypłacić. Hrabia dał mu niechętnie, a wtedy cała załoga rozeszła

się po mieście i zostaliśmy na gayassach prawie sami z naszą kairską służbą.

Pod wieczór ludzie naszej załogi powrócili, lecz mimo to Idris ruszać nie chciał, wymawiając się ciągle przeciwnym wiatrem, i nie mam pojęcia, kiedybyśmy Chartum opuścili, gdyż wiatry dmą tutaj stale z północy w tym sezonie, i na zmianę liczyć nie można było. Na szczęście pod wieczór przechodził wybrzeżem miejscowy *mudir* (gubernator), major Stanton, któremu Hrabia rzecz całą przedstawił. Wtedy energiczny Anglik, patrząc ostro w oczy Idrisowi, zapowiedział mu, że jeżeli natychmiast z przystani nie ruszy, to dostanie 50 batów, a nadto za każdy dzień opóźnienia do Wod-Medani po 1 funcie szterlingów kary zapłaci. Skutek tego kategorycznego oświadczenia był nadzwyczajny; odczepiono wiązadła i ruszyliśmy w górę rzeki, ciągnieni przez załogę na linie.

Wiatr rzeczywiście mieliśmy z boku, gdyż w tem miejscu Nil płynie z północo-wschodu na południo-zachód. Lecz na to rady nie było, gdyż taki sam wiatr mieliśmy nazajutrz rano. Powoli mijaliśmy pałac rządowy, następnie Kolegjum Gordona i już po zachodzie słońca przepłynęliśmy obok ostatnich domów Chartumu.

Ogólny kierunek Nilu Niebieskiego zmierza z południa na północ, z lekkiem uchyleniem od wschodu na zachód; stały więc wiatr północny, jaki tu w porze suchej panuje, sprzyja

żegludze w górę rzeki. Lecz od czasu do czasu Nil skręca ku zachodowi, a wtedy barki należy popychać tykami lub na linach ciągnąć. Ciężka to praca i nieraz żal nam było tych pilnych Arabów, jak w takt monotonnej piosenki holowali nasze naładowane stateczki.

Wiatr zwykle zaczynał dąć nad ranem, zrazu lekki, potem stopniowo wzmagający się. Pod zachód słońca słabł i ustawał zupełnie. Zwykle po 8-ej wieczorem zrywał się znów, lecz nigdy już nie dochodził do tej siły, co w ciągu dnia, i dął do godziny 11-ej lub 12-ej. W chwilach ciszy, zatrzymywaliśmy się przy brzegu i załoga mocno zasypiała.

Gdy nadchodziła pora śniadania — około 11-ej przed południem — flotylla nasza przybijała do brzegu, zastawiano stolik i podawano nam jedzenie z drugiej gayassy. To samo powtarzało się wieczorem, o zachodzie słońca, kiedy czas obiadowy nadchodził. Po obiedzie zapisywaliśmy notatki do dzienników, poczem rozstawiano nasze łóżka, wypijaliśmy herbatę i kładliśmy się spać. Zwykle znaczną część nocy płynęliśmy czy to z żaglami, jeśli wiatr był dostatecznie silny, czy też pchani lub ciągnieni przez załogę.

Dzień płynął nam szybko, dzięki ciągłym zmianom widoków, urozmaicanych stadami wodnego i dzikiego ptactwa, które już to po brzegach żerowało, już ciągnęło sznurami wzdłuż rzeki. Olbrzymie stada żórawi, ibisów, kaczek, kuligów dostarczały nam ciągłej rozrywki. Niekiedy braliśmy mannlichera i puszczaliśmy kulę do stada żórawi, o 200 lub 300 kroków nad brzegiem żerujących, a gdy ptak poległ, sto pociech było patrzeć, jak jeden przez drugiego ludzie nasi do wody wskakiwali i płynęli do brzegu, by zdobycz przyaportować, za co stale *bakszysz* dostawali. Nawet

obecność krokodylów nie mogła ich powstrzymać od tego śmiałego kroku.

Krokodyle zaczęliśmy spotykać na drugi dzień po wyjeździe z Chartumu, lecz ostrożne te gady nigdy nie dopuściły nas do siebie na bliższy dystans i wszelkie próby zabicia którego z potworów spełzały na niczem. Gdyśmy byli zajęci czytaniem, pisaniem lub preparowaniem, ludzie załogi lub nasza służba sygnalizowali nam obecność tych wstrętnych płazów na brzegu, lecz zwykle czujny zwierz do wody uchodził, zanim zdołaliśmy się zbliżyć na odległość pewnego strzału.

W miejscach, gdzie rzeka robiła większy zakręt ku północy, wysiadaliśmy zwykle na ląd i gdy załoga z trudem ciągnęła nasze barki, myśmy dżunglą szli po cięciwie. Brałem wtedy z sobą swoją ptaszniczkę i strzelałem okazy do kolekcji, aby je następnie na barce preparować.

Po pięciu dniach takiej żeglugi stanęliśmy wreszcie 5-go lutego o 9-ej wieczór w Wod-Medani. Hrabia udał się na brzeg do mieszkania miejscowego mudira, pułkownika Herberta. Wrócił dopiero o 11-ej z wiadomością, że wielbłądy w liczbie 24 są już gotowe, więc nazajutrz skoro świt będziemy mogli juczyć ładunki.

6-go lutego z brzaskiem dnia wstaliśmy, gdyż należało cały bagaż na ląd przenieść i na wielbłądy ułożyć. Nadeszli też obaj oficerowie angielscy, pułkownik Herbert i pomocnik jego, kap. Ingle, prowadząc kilku żołnierzy, aby nad porządkiem czuwali. Był to dla mnie widok niezwykły. Czarni, jak smoła, murzyni i Arabowie ładunki równoważyli i dobierali, poczem każdy poganiacz dostawał swoje skrzynie i niemi juczył wielbłądy. Zgiełk był przytem nie do opisania, bo ludzie się kłócili, a wielbłądy ryczały, gdy im brzuchy linami ściągano.

Zjadłszy śniadanie u pułkownika Herberta, o godzinie 10-ej wyruszyliśmy w drogę. Sznur naszej karawany rozciągnął się po suchym, jak pieprz, jałowym stepie, pokrytym małemi, kolczastemi krzakami.

Ogromne przestrzenie są tu zajęte pod uprawę „dury" *(sorgo)*, która jest tem dla Sudańczyka, czem żyto dla naszego chłopa. Roślina ta przypomina nieco kukurydzę. Sieje się w porze dżdżystej, gdy grunt dostatecznie rozmięknie. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej monotonnego, jak takie pola dury w czasie posuchy: rzadko sterczące badyle na szarym, popękanym i twardym, jak kamień gruncie. Pusto tu i cicho — tylko niekiedy zerwie się ubogie stadko miejscowych wróbelków.

Ponieważ konie nasze szły szybciej od wielbłądów, więc zwykle puszczaliśmy się naprzód pod wodzą szefa karawany, Husseina, który nam drogę wskazywał na swym rasowym wielbłądzie. Po parogodzinnym marszu zatrzymywaliśmy się w jakiej wsi, które tu się co kilka wiorst spotyka. Szeik miejscowy szedł na nasze spotkanie, a służba jego lub synowie wynosili nam „angareby" — rodzaj małych tapczanków — które słomianemi plecionkami lub dywanikami zaścielano. Siadaliśmy na nich w cieniu drzewa, a gościnni Arabowie częstowali nas wodą słodzoną, lemoniadą lub czarną kawą. Gdy nas karawana doganiała, puszczaliśmy się w dalszą podróż.

Na nocleg stawaliśmy zwykle we wsi około godziny 6-ej, zajeżdżając zawsze do domu miejscowego szeika. Zwykle rozbijaliśmy obóz w podwórzu, na świeżem powietrzu. Bohos szybko sporządzał obiad, pisaliśmy notatki i wnet po zjedzeniu kładliśmy się spać, gdyż rano trzeba było o 4-ej wstawać, by przed świtem w drogę wyruszać.

Tym sposobem robiliśmy dziennie około 40 kilometrów i po trzydniowym marszu dotarliśmy 8-go lutego o 10-ej rano do Senaaru, jednego z większych miast nad Nilem Niebieskim. Obóz rozbiliśmy w zajezdnym domu, zawierającym trzy izby i obszerną werendę, na której rozłożyliśmy manatki.

W Senaarze czekali już na nas przybyli z Karkocz shikarisi, z którymi muszę was bliżej zapoznać, bo od nich w przyszłości miało zależeć w znacznym stopniu powodzenie wyprawy. Dobry shikari — to połowa szansy, że wyprawa się uda.

Stary Ahmed-Idris, shikari hr. Potockiego, lat około 55, pochodzi z arabskiego plemienia Kenana, zaludniającego przeważnie brzegi Nilu Niebieskiego. Jakokiwiek uważa się za Araba, co zresztą usprawiedliwiają jego rysy o typie semickim, posiada jednak cerę koloru palisandru. Jest to zresztą cechą wszystkich Arabów sudańskich, wśród których element semicki przechował się w niewielkiej stosunkowo przymieszce, gdyż matkami ich były przeważnie murzynki z plemion Dinka i Shilluków. Ahmed-Idris jest średniego wzrostu, suchy, doskonale zbudowany, na mocnych, jak stal, nogach. Czarną prawie twarz okala mocno szpakowata broda. Na głowie nosi rodzaj białej płóciennej mycki, na ciele — koszulę bez rękawów, w biodrach przepasany płachtą, która ma pantalony zastępować; nogi poniżej kolan obnażone. Nad lewym łokciem ma zwyczajem tutejszym spięty, rzemienny, pleciony pasek, na którym przymocowany jest mały sztylecik. W ręku zwykł nosić miecz sudański, rozszerzony ku końcowi i zawarty w skó-

rzanej pochwie. Taki miecz służy jednocześnie do obrony i do cięcia gałęzi drzew kolczastych na zeribę*), lub drzewa suchego na opał.

Zauważyliśmy u Idrisa jeden szczegół charakterystyczny, właściwy, jak się zresztą zdaje, wszystkim Arabom sudańskim: gdy wyliczał cokolwiekbądź, np. rodzaje spodziewanej zwierzyny, nie robił tego na własnych palcach, lecz brał rękę interlokutora i trzymając ją dłonią do góry, załamywał kolejno palce, poczynając zawsze od małego.

Mój shihari, Mohamed, pochodzi aż z Darfunu, z plemienia Mahara, jakkolwiek także uważa się za Araba, jeszcze bardziej zdradza przewagę krwi murzyńskiej. Wystające policzki, wydatne i grube wargi, nos szeroki, sam zarost, dość ubogi wskazują, że w nim krew murzyńska ma znaczną przewagę nad arabską, co potwierdza jeszcze prawie całkiem czarny kolor skóry. Ubrany podobnie, jak poprzedni, zwykł nosić na głowie biały turban i tylko na polowanie kładł myckę. Z rozmowy z nim dowiedzieliśmy się, że za rządów kalify Abdullahie'go handlował niewolnikami, a nawet trzy razy prowadził ich partje aż do samego Kairu. Był to więc wśród miejscowych bywalec nielada.

Obadwaj dosiadali ogniste i pysznie zbudowane konie miejscowej rasy, w których, tak jak i w ludziach, uderzała odrazu mocna domieszka krwi arabskiej. Te konie była to słabość, a zarazem słaba strona naszych przewodników, gdyż wszędzie, nawet na polowanie, chcieli jechać konno i dopiero z czasem Hrabia zabronił im tego stanowczo. Przyczynę tego łatwo sobie wytłómaczyć.

Miejscowa ludność nie ma pojęcia o polowaniu z bronią palną, gdyż, jak to pisałem, wyprawa hr. Potockiego była pierwszą wyprawą sportsmeńską w tych stronach, wskutek więc braku szkoły nie mogła się wyrobić klasa tego rodzaju shikarich, jak np. w Somalilandzie. Miejscowi, z czasów kalify, polowali

*) Zeribą wśród mieszkańców wschodniej i środkowej Afryki nazywa się ogrodzenie z luźno ponarzucanych gałęzi kolczastych. Służy ono, jako ochrona od ludzi i od zwierząt drapieżnych.

przeważnie na grubego zwierza, jak na słonie lub żyrafy, forsując zwierzynę konno i przecinając jej ścięgna u nóg tylnych. Jak oni w gęstej dżungli mogli forsować żyrafę, jest to dla nas zagadką; faktem jest wszelako, że był to jedyny sposób polowania, dopóki rząd angielski nie rozciągnął opieki nad grubą zwierzyną. Taki więc Sudańczyk umie doskonale rozpoznawać tropy zwierzyny, ocenia jej wiek, śledzi za nią godzinami po czarnej stopie, nie zmyliwszy ani razu; lecz o podejście na bliski dystans nie troszczy się, bo mu się zdaje, że każda broń powinna zabić niechybnie na 200 lub 300 kroków, a o tropieniu po farbie wprost nie ma pojęcia. Ani razu nie zdarzyło nam się, aby nasz shikari poszedł na strzał i sprawdził, czy zwierzyna farbuje lub nie, i dopiero uczyć ich tego musieliśmy, choć wyznać należy, że dzięki niepospolitemu wzrokowi, lepiej trzymają trop farbujący od pierwszego lepszego Europejczyka. A wzrok rzeczywiście mają fenomenalny, czego wielokrotnie dali nam dowody, wypatrując w gąszczu na znaczną odległość antylopy. Oceniałem, że gołem okiem widzą równie dobrze, jak ja przez lornetkę podjazdową, a Hrabia jeszcze śmielej przypuszczał, że wzrok ich sięga równie daleko, jak najlepsze szkła zeisowskie.

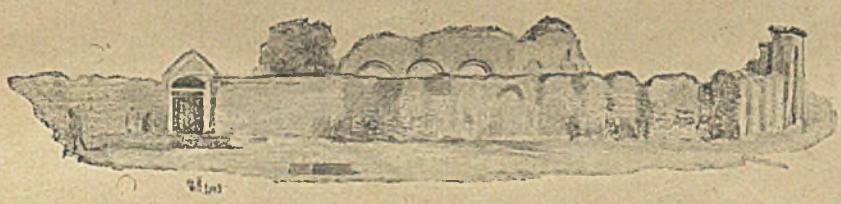

Jedną jeszcze wadę mieli nasi shikarowie, a mianowicie, że podprowadziwszy do zwierza, tak się jego widokiem podniecali, tak byli przekonani o dokładności naszych strzałów, że nie bacząc ani na odległość, ani na warunki, krzyczeli niemal: „strzelaj, strzelaj", szarpiąc za rękaw ubrania. Tak mnie tem parę razy zgniewali, żem gwałtownemi ruchami dał im do zrozumienia, jak niewłaściwe jest podobne traktowanie myśliwego.

Z tego, com powiedział o naszych łowcach, wynika, że stanowią oni doskonały materjał na shikarich, ale wskutek braku dobrej szkoły, nie są jeszcze dostatecznie urobieni. Hrabia dawał im częste nauki w tej materji, a sądzę, że kilka takich, jak nasza, ekspedycyj mogłoby z nich wyrobić znakomitych prze-

wodników myśliwskich, coś w rodzaju Alikara, owego słynnego shikarego somalilandzkiego, którego hr. Potocki miał przy sobie w poprzedniej swej wyprawie.

Sprawdziłem też niejednokrotnie, że tylko podprowadzając do grubego zwierza, jak do słoni lub bawołów, szli wolno, ostrożnie i bez hałasu; natomiast podchodząc antylopy, szli zawsze zbyt prędko, szeleszcząc swemi skórzanemi podeszwami, czem czujność zwierza budzili. Zwykle też, gdy mi antylopy sygnalizowali, zostawiałem ich na miejscu i sam dalej podchodziłem, gdyż przekonałem się, że pojedyńcze sztuki zejść można z dobrym wiatrem na odległość stu kroków, gdy się tylko środki ostrożności zachowa. Raz nawet zeszedłem antylopę „baszmata" *(Cervicapra bohor)* na czystej łące, nie dalej jak na sto kroków, ale podchodziłem chyłkiem tylko wtedy, gdy zwierz głowę zniżał do żerowania; skoro zaś tylko rozglądał się po okolicy, przypadałem do ziemi i czekałem, dopóki znowu żerować nie pocznie.

ROZDZIAŁ III.

Wyjazd z Senaaru. — Man-Eater. — Perliczka Sudańska. — Dżungla. — Gniazda termitów. — Senga wielka. — Żóraw czubaty. — Nowi łowcy. — Hellet-Teffik (Karkocz). — Smith-Bey. — Pierwsza zabita gazella. — Louni.

A teraz, skoro obznajmiłem was z wadami i zaletami naszych prowodyrów, mogę nawiązać przerwany wątek mego opowiadania.

W Senaarze rozkwaterowaliśmy się w pustym domu zajezdnym, pobudowanym z niepalonej cegły i zawierającym trzy izby, tudzież obszerną werendę, na której rozłożyliśmy nasze bagaże. Całodzienny prawie postój pozwolił nam umyć się dokładniej, niż zwykle, napisać listy i załatwić korespondencję, wreszcie dać do prania bieliznę. Miejscowy *mamur* (rodzaj naczelnika powiatu) rodem Egipcjanin, starał się nam przysłużyć jaknajgrzeczniej; przysłał lemoniady, jaj, świeżego chleba, wreszcie dawał rady co do dalszej naszej marszruty, uważając za najlepszą drogę przerznięcie się na wysokości Hamdy do Dinderu, jednego z dopływów Nilu Niebieskiego. Rada ta, zdaje się, była doskonała, okazała się jednak w przyszłości niemożliwą do wykonania, o czem we właściwem miejscu napiszę.

Po bezsennie spędzonej nocy (tak nas komary cięły), wstaliśmy o godzinie 4-ej rano, gdy już wielbłądy ładowano, a skoro tylko świtać zaczęło, ruszyliśmy w drogę. Od Senaaru zachowywaliśmy taki porządek, że my obaj w towarzystwie

shikarich, Stefana, Ahmeda i kilku krajowców do noszenia broni, jechaliśmy naprzód w znacznie szybszem tempie, gdy karawana ciągnęła powolniej za nami. Do postoju południowego dawało nam to zwykle 1½ godziny awansu, a do wieczornego— blisko godzinę. Oprócz tego, spotkawszy w drodze antylopy lub gazele, mieliśmy swobodę ruchów, gdyż nam karawana na pięty nie następowała. Przodem jechał zwykle Ahmed-Idris, za nim Mohamed, Hrabia, ja, ludzie niosący naszą broń, Stefan i Ahmed.

W Senaarze personel naszej karawany powiększył się jeszcze o dwóch ludzi. Jakiś stary, prawie zgrzybiały murzyn, uzbrojony w lancę, przyłączył się do nas, jedynie tylko w nadziei, że zabijemy słonia i że jemu dostanie się kawałek mięsa:— skromne aspiracje, które, jak czas pokaże, zostały w zupełności zaspokojone. Drugi znów, Hasaballa, młody Arab, niewielkiego wzrostu, nadzwyczaj żywy i ruchliwy, poszedł za nami wprost z amatorstwa, aby towarzyszyć łowom, do których miał widocznie pociąg przyrodzony. Ten Hasaballa okazał się w następstwie doskonałym do noszenia broni, chętnym, wytrzymałym, sprytnym i odważnym. Wzrok przytem miał sokoli. Te wszystkie zalety uczyniły, że Hrabia brał go stale, jako swego pierwszego przybocznego, powierzając mu swój kal. 450.

Wyruszyliśmy tedy z Senaaru w wyż rzeczonym porządku, kiedy brzask zaledwie ukazał się na wschodniej stronie horyzontu. Jeszcze słońce nie wzeszło, zatem w jakie ½ godziny od wyjazdu, spostrzegłem na pyle naszej drogi trop jakby olbrzymiego kota. Zatrzymałem konia i zapytałem idących za mną ludzi, coby to było, w przypuszczeniu, że to zapewne tropy lwa. „Marfain" (hjena) — odpowiedzieli mi. Nie była to jednak hjena, gdyż kilkaset kroków dalej Ahmed-Idris zatrzymał konia i wskazując na podobny zupełnie trop, wyrzekł magiczne słowo: „El assad" (lew).

Trudno jest skreślić piórem, jak wielkie wrażenie robi na nas widok pierwszego tropu lwa. Obok wewnętrznego zadowolenia, że znajdujemy się wreszcie w kraju, gdzie ten wspaniały, a straszny zwierz przebywa, uczuwamy jakby pewien rodzaj respektu przed jego potężnym majestatem.

Tutaj oto, po tej drodze, może godzinę temu, wędrował król zwierząt, przedmiot westchnień tylu myśliwych. W danym wypadku dziwny ten urok spotęgował się jeszcze, gdy dowiedzieliśmy się, że jest to trop owego strasznego *man-eatera* (ludożercy), o którym mówiono nam w Senaarze.

Ponura jego sława rozbrzemiewa wzdłuż Nilu Niebieskiego — od Wod-Medani aż do Roseires pod granicą Abisyńską. Już do tej pory miał on 10 ludzi na sumieniu, a cała jedna osada wyniosła się zupełnie z okolicy, taki strach paniczny ogarnął mieszkańców przed tym groźnym a nieuchwytnym wrogiem. Wiadomo bowiem, jak trudny do zabicia jest *man-eater*. Jest to zwykle stary lew, przebiegły i mądry. Do zdobyczy nigdy nie wraca następnych nocy, a ofiary swe wybiera kolejno z różnych okolic, aby uniknąć wszelkiej zasadzki. Gdy w swojej wycieczce nie zdybie na pastwę człowieka, zabiera kozy lub osły; mięso jednak ludzkie nad wszystko przekłada i nie chybi nigdy okazji, by mu się ten łakomy kąsek nadarzył.

Opowiadał nam nieco później Smith-bey, gubernator Karkocz, w jak straszny sposób porwał mu człowieka z jego otoczenia na tydzień przed naszym przyjazdem do Senaaru. Smith, pragnąć uwolnić okolicę od groźnego zwierza, wybrał się na niego w towarzystwie kilku ludzi. Zwyczajem indyjskim kazał sobie urządzić rodzaj czatowni na drzewie i zasiadł tam wieczorem, przywiązawszy u stóp drzewa kozę. Ludzie jego w pewnej odległości urządzili sobie zeribę, do której się na noc schronili, zabierając z sobą konia Smith-bey'a. Już było pod wieczór, kiedy spostrzegli na drodze dwóch przechodniów; zatrzymali ich, proponując im zanocowanie w zeribie, gdyż, jak mówili, lew mógłby którego z nich porwać; przechodnie zgodzili się chętnie.

Lew przyszedł w nocy, jednak nie do czatowni Smith'a, lecz pod zeribę. Koń, poczuwszy niebezpiecznego wroga, począł się rzucać i płoszyć, a wówczas jeden z przechodniów wstał, aby wystraszone zwierzę uspokoić. Lecz ledwie się podniósł, gdy lew przeskoczył zeribę, schwycił nieszczęsnego za głowę i z nim razem wyskoczył z ogrodzenia, nim inni mieli czas ochłonąć z pierwszego wrażenia. Zrobił się straszny zamęt, co słysząc, Smith opuścił swoją czatownię na drzewie i podbiegł do zeriby. Co tu jednak robić pośród ciemnej nocy? Anglik wpadł wtedy na oryginalną myśl: zapalił dżunglę i przy świetle pożaru puścił się po krwawych tropach ludożercy. Doszli wkrótce do nadjedzonego trupa nieszczęsnej ofiary, lecz *man-eater* ustąpił przed ludźmi i na tem się polowanie skończyło.

W powrotnej drodze przechodziliśmy temi miejscami w d. 10 marca. Jakiś tłusty Arab, któregośmy spotkali w towarzystwie niewolnika, opowiadał nam ze zgrozą, że *man-eater* w dalszym ciągu psoty wyrządza i że trzy dni temu znów porwał człowieka. Popłoch w okolicy był taki, że nikt po godzinie

3-ej po południu nie odważył się podróżować tamtędy. Nieco dalej napotkaliśmy kilku pastuchów z kozami i baranami. Zapytani, opowiadali nam, że lew włóczy się tu nieustannie, a jeden z nich widział poprzedniego dnia trzy. Inny znów mówił nam, że *man-eater* dwa razy atakował go w dzień, lecz że się obronił lancą i krzykiem. Sprawa, według mnie, musiała się przedstawiać nieco odmiennie: lew, nawet *man-eater*, nie atakuje nigdy człowieka w dzień, chyba że jest zaczepiony, lecz za to niechętnie ustępuje z drogi. Musiał się pastuch przypadkiem natknąć na *man-eater'a*, ten mu zęby pokazał, a biedny Arab ze strachu począł krzyczeć i lancą wymachiwać, dopóki lew nie ustąpił.

Ten dzień wyjazdu z Senaaru, 9 lutego, zaznaczył się jeszcze w naszej pamięci kilkoma faktami. Ja i jeden z shikarich widzieliśmy jakiegoś sporego kota, przebiegającego drogę w odległości mniej więcej 80 kroków. Przypuszczam, że był to „caracal" *(Felis caracal)*, gatunek rysia z dość długim względnie ogonem i maści jednolitej — bez cętek. Ahmed Idris widział znów pomykającego w gąszczach phacochoer'a, potwornego dzika afrykańskiego, o którym przy sposobności pomówię obszerniej. Wreszcie dnia tego spotkaliśmy po raz pierwszy dzikie pentarki.

Pentarka sudańska należy do gatunku *Numida ptilorhyncha* i odznacza się rogowym, stożkowym wyrostkiem na czubku głowy, z płatkami na policzkach pięknego, błękitnego koloru; zresztą ubarwiona jest podobnie, jak zwykła domowa perliczka. Stada ich, złożone z kilkunastu lub kilkudziesięciu sztuk, spotkać najłatwiej zrana, gdy ptaki jeszcze żerują, w miarę bowiem, jak upał się wzmaga, usuwają się w gąszcze lub zasiadają na cienistych drzewach. Spotkaliśmy raz między Ahkukiem i Dissą stado, które mogło liczyć od 250 do 300 sztuk. Spłoszone ptaki zrywały się partjami po kilka lub kilkanaście i zapadały niedaleko na ziemi lub na drzewach.

Pentarki, gdy się je zejdzie na czystem miejscu, nie podpuszczają zwykle bliżej, jak na 60 do 80 kroków, na ten więc dystans trzeba je strzelać na ziemi. Gdy jednak dżungla podszyta jest gęstą trawą, zbliżyć się do nich można nieraz na kilkanaście kroków i wtedy do podrywających się strzał jest łatwy. Zrywają się zwykle z krzykiem, a przeleciawszy jakie sto kroków, znowu zapadają.

Ptaki te odegrały w naszem życiu dżunglowem bardzo ważną rolę, ukazywały się bowiem zwykle dwa razy dziennie na naszym stole — raz z ryżem, to znowu z jarzynkami, pie-

czone lub gotowane. Mięso ich jest bardzo smaczne, mniej jednak delikatne i nie tak obfite, jak na perliczce domowej. Głównym dostawcą ich bywał Stefan: czy to w marszu, czy na polowaniu, gdy sygnalizowano stado pentarek, a nie zachodziła obawa spłoszenia jakiego grubszego zwierza, wołało się Stefana, który gdzieś z tyłu na swym osiołku ciągnął. Ów szybko złaził ze swego wierzchowca, chyłkiem podkradał się do ptaków i strzelał: jeśli po strzale biegł szybko, był to znak, że zabił coś; w przeciwnym razie można się było spodziewać pudła. Bywało też, że Hrabia i ja biliśmy pentarki przy sposobności — i tym sposobem w ciągu dnia padało ich 6, nieraz 7, co nam zapewniało przy mięsie antylop pożywienie na dwa dni. W ciągu całej wycieczki zabiliśmy ich około 60 sztuk, nie uganiając się bynajmniej za niemi, a często nawet pomijając sposobność, gdy po temu ochoty nie było, lub kiedy mieliśmy na widoku antylopy, czy gazele.

W miarę jak się oddalaliśmy od Senaaru, dżungla powoli zmieniała swój charakter: ukazywały się coraz częściej większe drzewa, miejscami nawet jechaliśmy w cieniu, gdy droga ku rzece ciągnęła. Drzewa to przeważnie akacjowe, najeżone długiemi lub haczykowatemi kolcami, które przy lada nieostrożnym ruchu wpijają się w ciało i ułamują, powodując częstogęsto jątrzące się rany. Pod drzewami grunt jest nagi lub zarosły trawą, do kolan wysoką, która w tej porze suszy przybiera kolor niemal biały. Zobaczymy później, jak wygląda dżungla ku granicy abisyńskiej.

Na popasie południowym, któryśmy nad brzegiem Nilu urządzili, spotrzegliśmy po raz pierwszy gniazdo termitowe. Są to wielkie, zwykle stożkowe kopce, barwy szaro-brunatnej. Niekiedy dochodzą do kilkometrowej wysokości. Największe takie gniazdo widzieliśmy poza Riguebą: mogło mieć na oko 5 metrów wysokości, przy takiejże średnicy u podstawy. U góry kończyło się kopułą, nadającą tej dziwnej budowli charakter dzieła rąk ludzkich.

Pod wieczór dotarliśmy do osady Ardin, a następnego dnia, wyruszywszy o trzy kwadranse na 5-tą, przybyliśmy o 11½ w południe do znacznej osady Senga Wielka, gdzie na popas stanęliśmy u miejscowego *mamur'a* (naczelnika powiatu), rodem Egipcjanina. Karawana przybyła dopiero o 1-ej, co wywołało silne niezadowolenie wśród właścicieli wielbładów, którzy otwarcie zaczęli szemrać, że dalej tak nie pójdą. Sprawa została załatwioną w ten sposób, że *mamur* tak zamaszyście poczęstował głównego wichrzyciela, iż się biedak aż na ziemię

potoczył. Był to środek zbyt może radykalny, ale niezwykle skuteczny, bo odrazu wszelkie szemrania ustały i później mieliśmy już aż do końca wyprawy spokój zapewniony.

Gdyśmy siedzieli na werendzie, spostrzegliśmy na przeciwległym, piaszczystym brzegu stado żórawi czubatych *(Balearica pavonina)*. Jest to z pewnością najpiękniejszy ze znanych żórawi: prawie czarny, z białemi skrzydłami i pięknym słomiasto-żółtym czubem na głowie. Czasu mieliśmy dosyć, więc poprosiliśmy *mamur'a*, czyby nam nie mógł jakiej łódki sprokurować, co tenże chętnie uczynił. Zjadłszy tedy śniadanie, pojechaliśmy wielką, krajową łodzią, mając z sobą mannlichera i śrótówkę. Żórawie dały się podjechać na jakie 100 kroków, lecz na ten dystans strzały nasze nie odniosły żadnego skutku. Wracając, miałem jeszcze okazję strzelania do czapli olbrzymiej *(Ardea goliath)*, lecz również bez skutku.

W Sendze przyłączyli się jeszcze do nas trzej łowcy, z których dwaj najęci poprzednio, a jeden nadetatowy. Ten ostatni, imieniem Abdallach, jest kuzynem Ahmed-Idrisa, nawet podobny do niego, tylko o rysach bardziej aryjskich, i w jego też mniej więcej wieku, t. j. lat około 55. Niezwykle przenikliwe oczy mają wyraz taki, jakby coś ciągle wypatrywały. W następstwie okazało się, że Abdallach był najlepszym ze wszystkich naszych łowców; nikt tak, jak on, tropu nie trzymał. Stale też towarzyszył Hrabiemu na wycieczkach myśliwskich.

Dwaj inni byli to subalterni, raczej rodzaj pachołków, niż shikarich. Jeden z nich, dodany mi w charakterze pomocnika Mohameda, miał na imię Ibrahim. Był to młody, dwudziestokilkoletni chłopak, o regularnych rysach i łagodnym wyrazie twarzy. Za czasów kalify służył wojskowo, jako oficer derwiszów, a w bitwie pod Omdurmanem otrzymał 5 ran: cztery kule i jedno cięcie szablą po brzuchu. Lubiłem bardzo tego chłopca, gdyż był posłuszny, chętny i łagodny; towarzyszył mi też zwykle na wszystkich mniejszych wycieczkach, gdy mi jedynie chodziło o zabicie jakiej antylopy lub przysporzenie ptaszków do kolekcyj, co czyniło obecność Mohameda zbytecz-

ną. Jako pozostałość po derwiszach nosił on koszulę, przepasaną w pasie, zwaną „giubba" *(dżiuba)*, a na głowie myckę płócienną lub turban.

Trzeci wreszcie był to syn Ahmed-Idrisa, młody chłopak do niczego, który w naszej wyprawie żadnej roli nie odegrał; nosił on jedną z broni Hrabiego.

Tego dnia dojechaliśmy na nocleg do wsi Senga Wod Benin (Senga Mała), a następnego ranka, wyruszywszy o kwadrans przed 5-ą, dotarliśmy na godzinę 8-ą rano do osady Hellet-Tefik *vis-à-vis* Karkocz, która leży na prawym brzegu Nilu Niebieskiego. Hrabia zaraz przeprawił się na drugą stro-

Grupa shikarich.

nę, aby przyłapać jeszcze w domu Smith-bey'a, miejscowego *mudira*, do którego miał listy polecające. Anglik ten, osiadły od dość dawna w Sudanie i sam zapalony myśliwy, mógł nam dać drogocenne wskazówki co do dalszej marszruty. Smith dnia tego miał wyruszyć do Wod-Medani, więc zachodziła obawa, że go już w domu nie zastaniemy. Na szczęście obawy te były płonne: Smith przybył z Hrabią do naszego obozu, aby wspólnie z nami zjeść śniadanie.

Z godzinnej dyskusji, jaka się co do naszej marszruty wywiązała, Hrabia powziął następującą decyzję: zatelegrafować do Chartumu do kapitana Parkera z zapytaniem, w jakim

mniej więcej czasie parowiec marcowy, idący z Fashody do Chartumu, będzie przejeżdżał koło osady Renk na Nilu Białym. Gdyby odpowiedź była pomyślna, mieliśmy dotrzeć do Dissy 8 pół dnia drogi od Roseires i stamtąd przeciąć się do Renku. W przeciwnym razie z Dissy skierowalibyśmy się na północ do rzeki Dinder i tu wzdłuż niej poszlibyśmy na północ aż do Wod-Medani, w którem to miejscu Dinder wlewa się do Nilu Niebieskiego. Ten ostatni projekt miał wiele szans powodzenia, gdyż brzegi Dinderu są mało zaludnione, a tem samem zwierzyny ma tam być mnogość.

Pierwszego z dwóch projektów trzeba było wkrótce zaniechać, gdyż według depeszy Parkera, która nas dogoniła na jednym z następnych etapów, parowiec z Fashody miał być w Renku dopiero 26 marca, coby nam ledwie pod koniec kwietnia pozwoliło wrócić do Europy, gdzie Hrabia pragnął stanąć na święta Wielkiej Nocy. Pozostawało więc tylko albo iść Dinderem, albo wrócić tą samą drogą, którąśmy przyszli. Zobaczymy w następstwie, jak losy pokierowały naszemi planami.

Tymczasem trzeba było się śpieszyć, gdyż ciągle dochodziły nas wieści, że młody książę Arenberg, syn prezesa Towarzystwa Kanału Sueskiego, idzie w nasze ślady forsownemi marszami. Pragnąc widocznie nas prześcignąć, Arenberg wyruszył w parę dni po nas z Chartumu, kierując się do Wod-Medani drogą lądową, a nie Nilem, co mu mogło zapewnić parę dni przewagi nad nami. Niepodobieństwem było na to zezwolić, gdyż wtedy książę byłby panem sytuacji, skoroby przed nami dotarł do terenów myśliwskich.

Nie traciliśmy też czasu i tegoż dnia przed drugą po południu wyruszyliśmy z Hellet-Teffik, pożegnawszy się ze Smith-bey'em. Charakter okolicy zmieniał się stopniowo, roślinność stawała się coraz bogatszą, szczególniej w miejscach, gdzie droga nasza zbliżała się do brzegów rzeki. Zaczęły ukazywać się palmy wachlarzowe, które nadawały krajobrazowi charakter podzwrotnikowy. Trawa, którą dżungla w tych miejscach jest podszyta, stawała się miejscami tak wysoką, że się w niej człowiek z łatwością mógł schować. Z radością też zauważyliśmy, że osady ludzkie zdarzały się coraz rzadziej, była więc nadzieja, że i zwierzynę spotkamy nareszcie.

Jakoż w godzinę może po wyjeździe z Hellet-Teffik, ludzie, idący z tyłu, dali nam znać, że spostrzegli gazele. Pobiegliśmy do nich i w samej rzeczy ujrzałem ledwie widzialne w gąsz-

czu dwie sztuki. Hrabia grzecznie ustąpił mi strzału, wziąłem więc mannlichera i przyklęknąwszy, strzeliłem. Jedna ze sztuk wywróciła się, a gdyśmy do niej podbiegli, spostrzegliśmy, że kula przeszyła oczy na wylot. Była to mała antylopa z rodzaju zwanego przez Arabów „mora" *(Ourebia montana)*, bardzo rzadka wśród zbiorów europejskich, gdyż nawet British Museum posiada ją tylko w jednym egzemplarzu. Wielkości półrocznego koźlęcia sarny, jest cała barwy płowej. Samiec posiada proste różki, 4 — 5 cali długie; samica jest bezróżna. Radość moja nie miała granic, gdyż była to pierwsza moja sztuka na afrykańskim lądzie, a przytem i strzał mnie uradował, gdyż dystans wynosił blisko 100 kroków. Zresztą, jako myśliwi, Hrabia i ja, hołdujemy przesądom, cieszyło nas więc, że pierwsza spotkana sztuka padła, co było dobrą zapowiedzią na dalszy ciąg wyprawy.

Wypatroszywszy zabitą sztukę i przytroczywszy ją do wielbłąda, ruszyliśmy dalej. Pod wieczór wyjechaliśmy na otwartą łąkę, mogącą mieć z wiorstę lub półtorej w średnicy, w środku której widać było niewielkie, w znacznej części zarośnięte jeziorko. Gdyśmy tu podjechali, spostrzegliśmy mnóstwo wodnego i błotnego ptactwa: czaple, białe ibisy, czarne z białemi skrzydłami gęsi *(Plectropterus gambensis)*, szczudłaki, kuligi, kaczki, cyranki etc. etc. Odtąd często spotykaliśmy podobne do tego jeziorka. Leżą one zawsze w dolinkach, stanowiących niewątpliwie dawne łożyska Nilu. Woda w nich zbiera się podczas deszczów, a w porze suchej stopniowo wysycha. Wszystkie one odznaczają się niezwykłą obfitością wszelakiego ptactwa, między którem na szczególną uwagę zasługują: trzy gatunki żórawi (czubaty, zwykły i „panienka"), dwa gatunki ibisów (biały, czyli czczony, i czarny), dwa gatunki gęsi (wspomniany *P. gambensis)* i bernikla *(Chenalopex aegyptiaca)*, pelikany, czarne bociany *(Ciconia episcopus)* i t. d. Niektóre z tych jeziorek są siedliskiem hypopotamów i stanowią miejsca wodopojów dla słoni, bawołów i wszelkiego rodzaju antylop.

Proponowałem nocleg nad tem pięknem jeziorkiem, lecz Hrabia śpieszył, zawsze w obawie Arenberga; ruszyliśmy tedy dalej, dawszy parę niefortunnych strzałów do ptactwa, i o za-

chodzie słońca stanęliśmy w osadzie Louni, rozłożywszy się obozem w podwórzu domu miejscowego szeika.

Osady Arabów nad Nilem Niebieskim składają się prawie wyłącznie z chat, a raczej szałasów, zbudowanych z łodyg rośliny „dury", — coś w rodzaju kukurydzy, a gdzie rośliny tej niema, z grubej trawy dżunglowej. Chaty te mają kształt walcowaty o ścianach, sięgających ledwie ramion człowieka i pokrytych stożkową strzechą. Jedne tylko niewielkie drzwi prowadzą do wnętrza, okien zaś niema zupełnie. Posesje zamożniejszych mieszkańców składają się z kilku takich chat, ogrodzonych wspólnym płotkiem z gałązek akacyj.

Gdyśmy przybywali na nocleg, zajeżdżaliśmy zawsze do szeika, który zazwyczaj wychodził na nasze spotkanie. Wynoszono natychmiast „angareby" — rodzaj tapczanów na niewysokich nóżkach — i pokrywano je zwykłemi plecionkami z liści palmowych, a w razie zamożności właściciela — wschodniemi

dywanami. Synowie lub niewolnicy szeika przynosili nam w tykwach świeżą wodę lub lemoniadę. Następowała przymusowa rekwizycja wody, polegająca na tem, że babom, wracającym od rzeki, zabierano wodę do naszego obozu, co jest rzeczą przyjętą w całym Sudanie i bynajmniej nie wywołującą opozycyj ze strony poszkodowanych białogłów (nie wiem, czy wogóle można tak nazywać czarne, jak smoła murzynki).

ROZDZIAŁ IV.

Pierwszy hypopotam. — Mashra-Abad. — Niespokojna noc. — Ariele. — Dawne łożysko Nilu. — Rigueba. — Hypopotamy i krokodyle. — Gazela rdzawoczelna.

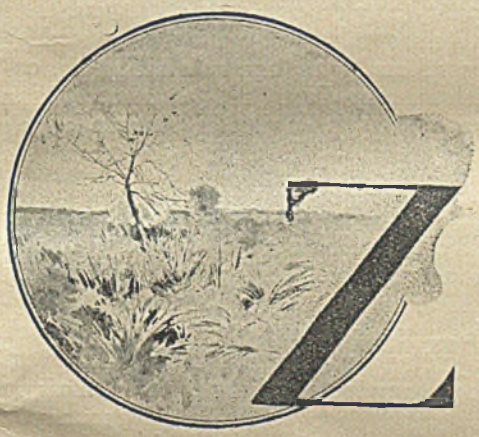

Z Louni wyruszyliśmy, gdy już dobrze rozedniało, droga tu bowiem dość nierówna, a księżyc w ostatniej kwadrze przyświecał słabo. Od czasu do czasu mijaliśmy głębokie rozpadliny, któremi w porze deszczowej woda spływa do Nilu. Dżungla przybierała miejscami charakter niskopiennego lasu, podszytego wysoką trawą, zeschłą w tej porze roku. Spotykaliśmy po drodze dużo tropów arielów *(Gazella Soemmeringi)* i mory *(Ourebia montana)*, a nawet w kilku miejscach trafiliśmy na pojedyńcze sztuki, lecz te się na strzał zejść nie dawały, a nie było czasu uganiać się za niemi.

O godzinie 10-ej dotarliśmy do osady Wod-Na'am i tuż pod wsią rozłożyliśmy się obozem, na wysokim brzegu Nilu. W chwi-

lę, gdy zajęty byłem preparowaniem do kolekcji zabitej pentarki, nadbiegł od rzeki właściciel wielbłądów i oznajmił nam, że spostrzegł hypopotama. Pobiegliśmy wszyscy głęboką rozpadliną na dół, aż na sam brzeg rzeki. Postaliśmy może 5 minut, gdy naraz z pośrodka Nilu wynurzył się z wody łeb potwora, lecz tylko widać było same nozdrza i oczy. Zwierz dmuchnął potężnie i zanurzył się w wodzie. Widziałem go jeszcze dwa razy w odstępach mniej więcej 5-minutowych, poczem wróciłem do roboty.

Podczas śniadania nadszedł jakiś Arab, oświadczając, że w bliskości sąsiedniej osady widział razem 4 lwy i że mieszkańcy okolicznych wsi boją się z domów wychodzić. Hrabia zadecydował przeto, że tam zanocujemy i że spróbuje zasiąść w zeribie. Wyruszyliśmy też, jak zwykle, przed 2-ą i po trzygodzinnym marszu stanęliśmy w tej dziwnej osadzie bez nazwiska, złożonej z kilku chat, otoczonych zeribą.*) Rozbiliśmy obóz na zewnątrz zeriby, wielbłądy jednak, konie i osły zamknęliśmy na noc do wewnątrz z obawy przed lwami. Hrabia, nie czekając obiadu, poszedł z ludźmi na wskazane przez krajowców miejsce, aby mieć czas przed nocą zeribę urządzić. Wziął z sobą sztucery cal. 450 i 303, a także akumulator elektryczny do oświecania w nocy. Nie miał Hrabia wielkiej nadziei na spotkanie ze lwem, bo według zdania miejscowych Arabów włóczyły się one w okolicy nie codzień, a Hrabia silnie był przekonany o swej niefortunności, jako przykład podając 19 nocy, spędzonych daremnie na zasadzkach w Somalilandzie. „Idę — mówił mi — do zeriby *par acquit de conscience*".

Była to dla nas pierwsza noc, spędzona w dżungli, a nie we wsi. Rozrzucone w nieładzie ładunki, skrzynie, kufry, siodła wielbłądzie, rozpalone ogniska w różnych stronach obozu, a przy nich grupy Arabów i sudańskich murzynów — stanowiły malowniczy widok. Namiotu nie kazałem rozbijać, gdyż przy ciepłych tutejszych nocach wolałem spać na powietrzu; tylko nad łóżkiem mojem rozciągnięto muszlinowy namiot *(la moustiquère)*, mający mnie chronić od komarów i wszelkiego rodzaju nieproszonych owadów. Hrabia nazywał te nasze mustikery sarkofagami, gdyż rzeczywiście zdaleka robiły wrażenie białych nagrobków.

Zjadłszy sam jeden obiad i porobiwszy notatki w dzienniku, położyłem się spać. Łóżko moje wysunięte było poza obóz o jakie 15 kroków, więc mimo woli przychodziło mi na myśl, że to

*) Osada ta na mapie figuruje, jako Mashra-Abad, gdyż w pobliżu jej leży wieś tego nazwiska.

przecież nie jest tak bardzo bezpiecznie spać *à la belle étoile* w miejscu, gdzie się lwy włóczą. Mimo to jednak sen szybko zmorzył zmęczone marszem ciało. Zasnąłem.

Niedługo jednak spałem, gdy mnie obudził nieopisany zgiełk w zeribie; psy zawzięcie ujadały, konie rżały, osły ryczały, wielbłądy parskały, słowem hałas nie do opisania. Siadłem na pościeli i uniosłem mustikera, wpatrując się w stronę przeciwległą od obozu, gdyż widocznie lew był niedaleko i zwierzęta go poczuły. Musiał zeribę i obóz nasz obchodzić, psy bowiem rzucały się to w jedną, to w drugą stronę. Spostrzegłem też, że w obozie ludzie się pobudzili, rozpalając przygasłe ogniska; słychać było gwar rozmów.

Nie powiem, żebym był zupełnie spokojny w tem położeniu; wstałem nawet i podszedłem kilkanaście kroków ku gąszczom w nadziei, że przy żywszem świetle ognisk może co zobaczę; lecz napróżno oczy forsawałem, wróciłem więc do łóżka i starałem się zasnąć. Długo jednak sen pierzchał z moich powiek: wściekłe ujadanie psów i niepewność sytuacji do tego stopnia wybiły mnie ze snu, że ani mowy o nim nie było; dobrze już było po północy, gdy nareszcie tyle pożądany sen zmorzył moje powieki. Gdym się następnie w nocy obudził, cisza kompletna gościła w obozie, ogniska przygasły, psy przestały szczekać. Lew poszedł sobie do djabła.

O brzasku wstałem, gdy już cały obóz był w ruchu. Służący kairski, Assad, dodany nam specjalnie do obsługi stołu, podał mi herbatę. Nikt w obozie nie słyszał strzału Hrabiego, więc widocznie zasadzka się nie udała. Jakoż, gdy dobrze rozedniało, nadszedł i sam Hrabia. Lew włóczył się gdzieś niedaleko, rycząc przez znaczną część nocy, lecz do zeriby nie przyszedł; słyszał też Hrabia panterę, lecz i ona nie dała się wziąć na przywiązaną kozę.

Ładowano wielbłądy, gdy naraz rozległy się krzyki: „Ariel, ariel". I rzeczywiście w odległości nie więcej, jak 200 kroków od obozu, spostrzegliśmy w pełnym galopie stado tych pięknych antylop — sztuk co najmniej czterdzieści. Złapaliśmy sztucery i pobiegliśmy za niemi. Stado stanęło o jakie 300 kroków: strzeliliśmy i jedna sztuka poszła wraz z innemi, kulejąc. Biegłem za niemi, mając w ręku sztucer Hrabiego cal. 303 z jednym tylko ładunkiem, gdyż w pośpiechu więcej nie wziąłem. Stado, nie zatrzymując się, uciekało i już nam za krzakami ginęło, gdy naraz, nie wiadomo z jakiej przyczyny, jedna sztuka oddzieliła się od reszty i zawróciwszy na miejscu, skierowała się prosto na mnie. Przykucnąłem na ziemi i znakiem zmusiłem do tego lu-

dzi, biegnących za mną. Piękny zwierz w szalonym galopie pędził ku mnie i już sobie myślałem, że ten mi się nie wykręci. Lecz gorączka myśliwska wszystko popsuła. Antylopa była jeszcze o jakie 80 kroków, gdym strzelił, a byłaby mi pod same nogi wpadła, prosto bowiem na mnie pędziła. Po strzale zboczyła tylko nieco od pierwotnego kierunku, a ja ze smutkiem spoglądać musiałem, jak defilowała nie więcej, jak o 40 kroków, gdy już w lufach nie miałem ładunka.

Gdyśmy wrócili do obozu, ładunek już był gotów, wyruszyliśmy też bez zwłoki. Zaznaczyć tu muszę, że na osadzie Wod-Na'am (tam, gdzieśmy dnia poprzedniego widzieli hypopotama), kończy się uprawa dury*). Już dalej nie spotyka się tych nieskończonych łanów o sterczących, suchych badylach, które w duszy naszej budziły zwątpienie, bo cóż tam za zwierzynę spotkać było można? Odtąd jechaliśmy już ciągle dżunglą. Zmienił się też i charakter osad ludzkich. Dotychczas spotykało się wsie wyłącznie na otwartych miejscach, otoczone polami dury. Teraz spotyka się już tylko małe osady, złożone z kilku szałasów, rozrzuconych wśród dżungli lub po brzegach rzeki i jeziorek, o jakich wyżej wspomniałem. Szałasy te są już innego wyglądu: formy sześciennej, z płaską strzechą, zbudowane wyłącznie z trzcinowatej trawy dżunglowej. Otacza je zawsze zeriba z kolczastych gałęzi drzew akacjowych.

Po parogodzinnym marszu, koło godziny 9-ej, dojechaliśmy do dawnego łożyska rzeki, pośród którego leżało spore jeziorko, Ponieważ wszystkie nasze dalsze etapy wypadają na brzegach tego łożyska, więc muszę je opisać, abyście mieli pojęcie o charakterze okolicy.

Łożysko to ma wygląd doliny, szerokiej na 300 kroków do ½ wiorsty. Z dwóch stron okala je niewysoki brzeg. Od rzeki jest ono oddzielone pasem ziemi, na kilkaset kroków szerokim i zarośniętym trzcinowatą trawą, tak wysoką, że się w niej jeździec wraz z koniem ukryje. Sama dolina zarośnięta w części zieloną murawą, w części suchą, niewysoką trawą, sięgającą kolan lub pasa człowieka. Od czasu do czasu wpośród doliny napotkać można mniejsze lub większe jeziorka i kałuże wody, jako pozostałość z pory deszczowej. Mniejsze z nich wysychają zupełnie, w większych woda utrzymuje się aż do następnej pory dżdży-

*) Pisałem już, że „dura" jest to roślina, podobna do kukurydzy, lecz zamiast kaczana ma rodzaj kłosa, jak proso i ziarno drobne. Krajowcy sieją ją podczas dżdżystej i żną wysoko, zostawiając badyle na gruncie.

stej. Zwykle nad brzegami tych rezerwoarów wody spotyka się małe osady krajowców, którzy znajdują w stojących wodach pewien gatunek ryby z gatunku sumowatych. Sposób łowienia ryb jest tu jedyny w swoim rodzaju. Miejscowi Arabowie, w liczbie kilku lub kilkunastu posuwają się linją, od jednego końca jeziorka do drugiego, uderzając w wodę na chybił-trafił rodzajem harpunów na bardzo długich tykach. Bóg wie, ile razy taki rybak uderzyć musi napróżno, zanim jedną rybę ułowi. Że jednak łowią, mieliśmy liczne tego dowody, znajdując zawsze w osadach zapasy ryb suszonych. Nieraz też kucharz nasz, Bohos, kupował od nich świeżo złowione, co nam bardzo stół nasz urozmaicało.

Wspomniane jeziorka roją się zwykle od wodnego i błotnego ptactwa. Stada żórawi, pelikanów, czapel, ibisów, gęsi, kaczek, kuligów etc. etc. ożywiają nadzwyczaj te pustkowia. I rzecz godna zanotowania: wszystkie te ptaki, zwykle tak ostrożne w krajach cywilizowanych, tutaj nie boją się człowieka i podpuszczają zwykle na dobry strzał śrótowy. Wiadomo np., jak ostrożnym ptakiem jest pelikan; tymczasem nad brzegami Nilu Niebieskiego podpuszcza tak blisko, że razu pewnego Hrabia fotografował stado tych ptaków, złożone z paruset sztuk.

Miejscowość, do której doszliśmy owego ranka (13 lutego) nosi nazwę Rigueba. Pośrodku doliny ciągnie się spore jezioro, mające mniej więcej wiorstę długości, a ćwierć — szerokości, zarośnięte w części niewysokim szuwarem. Na samym środku jezioro jest najszersze i zupełnie czyste. W tem to miejscu według zdania Arabów, których spotkaliśmy tu zajętych łowieniem ryby, przebywa stale 6 czy 8 hypopotamów. Radzili nam chwilkę poczekać, aby się o tem przekonać. Jakoż niedługo czekając, ujrzeliśmy wynurzające się kolejno głowy tych potworów; naliczyliśmy ich sześć; odległość jednak była zbyt znaczną, aby ryzykować strzały. Przytem krajowcy upewniali nas, że po południu, koło godziny 4-ej wychodzą one na brzeg, a wtedy będziemy mogli spokojnie do nich strzelać. Jednocześnie mówili, że w okolicy włóczą się stale dwa lwy, a miejsce zwykłej ich przechadzki wskażą nam chętnie. Wobec tych widoków Hrabia zdecydował się rozbić tu obóz do dnia następnego i bezpośrednio wysłał naszych ludzi dla zrobienia zeriby we wskazanem przez krajowców miejscu. Ponieważ jednak sam był zmęczony po spędzonej bezsennie nocy, postanowiliśmy, że ja dziś udam się na czaty.

Nadciągnęła karawana; rozbito obóz, kryjąc go nieco w dżungli, aby jego obecnością nie płoszyć hypopotamów; wkoło ludzie nasi poczęli robić obszerną zeribę dla zabezpieczenia zwie-

rząt od możliwej napaści lwów. Hrabia, wziąwszy za przewodnika mołdego Araba rodem z Rigueby, a imieniem Fadil, poszedł na ariele, ja zaś pozostałem na miejscu, gdyż miałem do spreparowania piękną gęś egipską *(Chenalopex aegyptiaca)*, której oprawienie mogło zająć około 4 do 5 godzin czasu. Tymczasem zasiadłem na brzegu doliny i przez lornetę obserwowałem z niemałą ciekawością hypopotamy, jak w odstępach kilkominutowych wynurzały z wody swe potworne głowy, dmuchały potężnie nozdrzami lub ziewały, pokazując swe olbrzymie zęby; a potem zwolna zanurzały się pod wodę. Jednocześnie na przeciwległym brzegu zaczęły się wyłaniać wstrętne cielska krokodylów. Kolejno zaległo ich 14 wzdłuż pobrzeża. Na miejscach zarośniętych uwijało się ptactwo błotne i wodne, białe, jak śnieg, czaple i ibisy, czarne z białemi skrzydłami żórawie, kaczki afrykańskie *(Dendrocygna viduata)* i wiele innych, których opisem nie pragnę już was utrudzać. Słowem był to widok, któremu można było przyglądać się całemi godzinami bez najmniejszego znudzenia.

Około 10-ej powrócił Hrabia, oznajmiając mi, że widział sporo antylop, do których strzelał kilkakrotnie, lecz bez skutku, i radził mi, abym i ja szczęścia spróbował, byłem na 11-ą był w domu na śniadanie. Chętnie podjąłem tę propozycję i wziąwszy za przewodników Fadila i drugiego młodego Arabczyka, zarzuciłem na ramię mannlichera i ruszyłem ku dżungli. Była to właściwie pierwsza wycieczka myśliwska, tem większe więc budziła we mnie zainteresowanie.

Nie wiem, czyśmy uszli kilkaset kroków od obozu, gdyśmy spostrzegli pierwszą sztukę, stojącą o jakie 200 kroków. Chciałem ją podejść bliżej, lecz dla braku zasłony, zwierz widział mnie ciągle i uchodził zwolna tak, że odległość była wciąż ta sama. Gdy wreszcie stanął, odsłaniając mi cały bok, zdecydowałem się strzelić (bez lunety, gdyż zostawiłem ją w domu). Po strzale zwierz ani drgnął, szybko więc zmieniłem magazyn i ściągnąłem powtórnie. Tym razem kula musiała świsnąć blisko antylopy, bo ta w susach uciekła, niknąc mi z oczu wśród gąszczu.

Nie uszliśmy znów 200 kroków, gdy Fadil, który szedł przodem, wskazał mi po za trawami stadko antylop, składające się

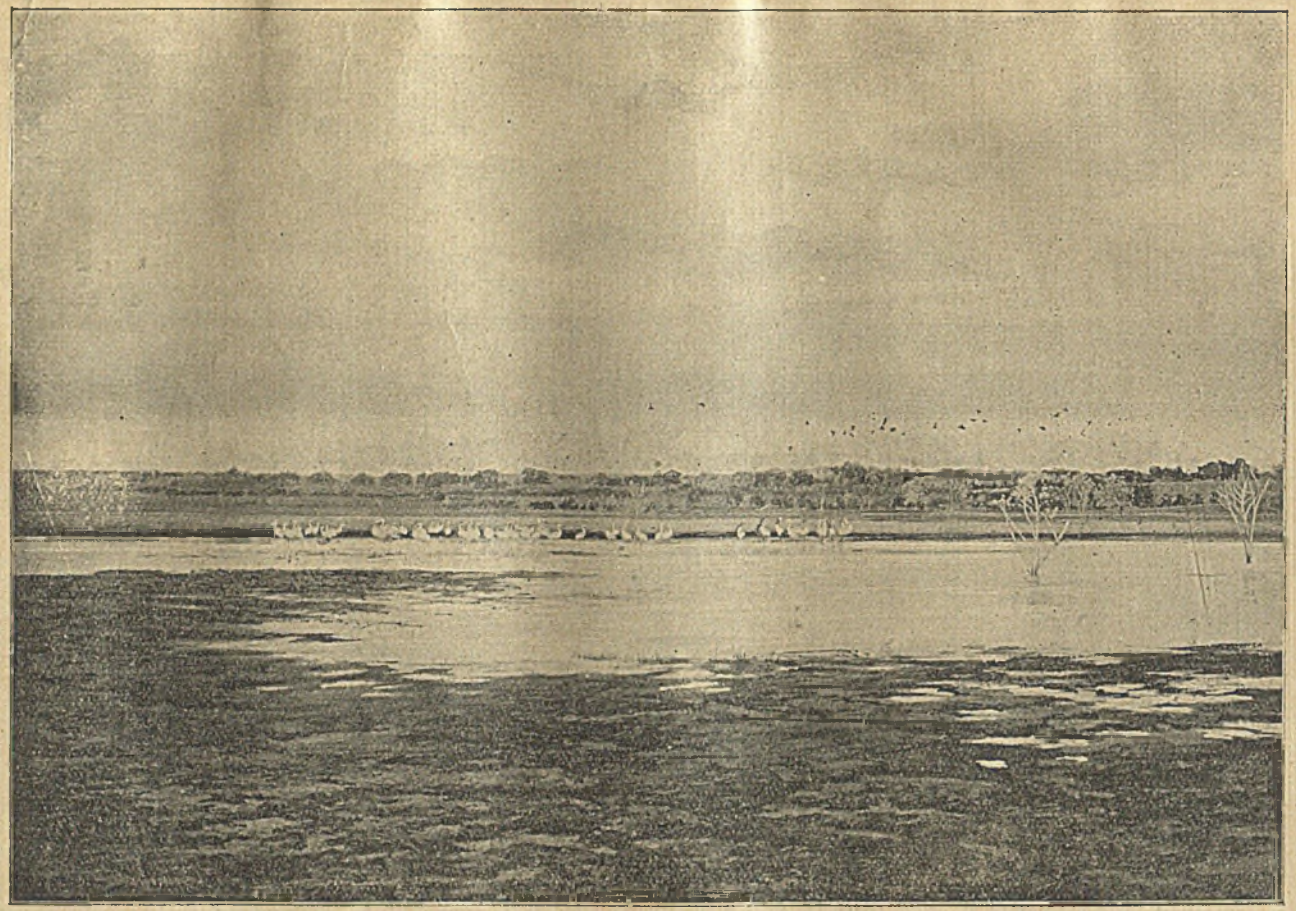

Jeziorko w Harunie.

z 6 czy 7 sztuk. Rozłożysty krzak dawał mi teraz pewną zasłonę, pozostawiwszy więc obu przewodników na miejscu, sam zacząłem się ostrożnie podkradać, posuwając się zwolna po za krzakiem. Gdym do niego doszedł, dzieliła mnie jeszcze przestrzeń stu kroków, a ponieważ dalsze podchodzenie było bardzo niepewne, więc z tego miejsca strzeliłem do największej z antylop. Padła, jak piorunem rażona, gdy inne w popłochu zniknęły mi w trawach.

Była to piękna gazela rdzawo-czelna(*Gazella rufifrons*). Wielkości rocznej sarny, posiada całe ciało barwy pięknie płowej, spód zaś biały. Na boku kolor płowy, od białego oddzielony wyraźną, czarną pręgą. Rogi ma karbowane, nieco w tył, a potem ku przodowi wygięte, wysokości 11 do 12 cali angielskich.

Moi chłopcy szybko ją wypatroszyli, ciepłą jeszcze wątrobę na surowo zjedli, flaki w wypróżniony żołądek spakowali i zaczepiwszy antylopę na kiju, ponieśli ją za mną. W dalszym ciągu spotykaliśmy ciągle pojedyńcze sztuki lub niewielkie stadka, bliżej jednak, niż na 150 — 200 kroków, zejść się nie dawały. Strzelałem jeszcze trzy razy, lecz bez skutku, aż wreszcie za czwartym razem postrzeliłem silnie pojedyńczą sztukę, która, kulejąc, zaczęła uchodzić. Szedłem za nią szybkim krokiem, aż wreszcie stanęła i zwróciła się do mnie na kulawy sztych. Strzeliłem więc do niej, a kula brzuch jej prześwidrowała, aż część żołądka na wierzch wyszła. Byłbym ją doszedł i z łatwością dostrzelił, ale mój Fadil, widząc, że zwierz z trudnością uchodzi, puścił się za nim, jak chart za szarakiem. Napróżno krzyczałem, jak opętany: chłopak i gazela zniknęli mi z oczu. Nie wiedziałem wtedy, że tutejsi lepiej od gończych zwierzynę biorą, lecz wkrótce się o tem przekonałem. Nie upłynęło 5 minut, gdy zdaleka usłyszałem nawoływanie Fadila. Poszedłem na głos z drugim Arabczykiem i wkrótce doszliśmy do Fadila, stojącego nad nieżywą już gazelą. Zwyczajem mahometańskim poderżnął jej gardło, aby krew uszła, gdyż inaczej mięsa jeśćby nie wolno było. Znów nastąpiło patroszenie, spożycie surowej wątroby, pakowanie flaków, poczem ruszyliśmy szybko ku obozowi, gdyż 11-a już dochodziła. W 5 kwadransów od wyjścia wróciłem z dwoma pięknemi koziołkami.

W nagrodę trudów Hrabia sfotografował mnie, stojącego nad zabitemi sztukami w towarzystwie obu moich przewodników. Jeszcze przed śniadaniem spreparowałem łeb jednej z antylop do wypchania; drugiej zaś obcięliśmy tylko różki, jako trofea myśliwskie.

Zjedliśmy śniadanie. Tymczasem ludzie nasi zajęci byli robieniem zeriby wkoło obozu; służba rozbijała namiot dla Hrabiego. Po śniadaniu zająłem się preparowaniem gęsi, gdy Hrabia obserwował ciągle ruchy hypopotamów. Około godziny 4-ej po południu jeden z nich wyszedł na płytsze miejsce, prezentując nam swe olbrzymie, w części różowe cielsko; żaden jednak na ląd nie wychodził.

*

* *

*

ROZDZIAŁ V.

Polowanie na lwy.

Obiad zjadłem sam o 5-ej, gdyż chciałem wcześniej iść do zeriby, aby ją w razie potrzeby poprawić. Hrabia mówił mi, że tutejsi nie mają pojęcia o urządzaniu zeriby: czynią ją zbyt niską i wiotką. Przed 6-stą udałem się na miejsce, zabierając z sobą cal. 10 (paradoks), mannlichera, krzesło składane, kołdrę i kieszonkowy akumulator, służący zamiast zapałek, gdy chodzi o znalezienie w ciemności jakiego przedmiotu lub zobaczenie godziny. Wziąłem też z sobą małe koźlątko, które poprzedniego dnia służyło Hrabiemu za przynętę — jak wiadomo, bez skutku. Papierosów wziąłem umyślnie tylko trzy, aby mnie ochota do palenia nie zmogła. Oprócz Mohameda poszło ze mną kilku ludzi do poprawienia zeriby i przeniesienia mych rzeczy, a między nimi Hasaballa, ów Arab, który nam z amatorstwa towarzyszył podczas całej wyprawy.

Miejsce na zeribę wybrano w odległości 20 minut drogi (2 wiorsty) od obozu, w dżungli, przy samym prawie brzegu doliny. Uszliśmy może z połowę drogi, gdy usłyszeliśmy poza sobą kilka strzałów sztucerowych: to Hrabia strzela do hypopotamów.

Jeden rzut oka na zeribę potwierdził mi zdanie Hrabiego: Ahmed Idris zrobił ją tak niską, że ledwie do pasa sięgała, a przytem rzadko narzucone gałęzie pozwalały widzieć nawskroś jej wnętrze. Tył zeriby stanowiło gniazdo termitów, na jakie 3 metry wysokie, co dawało gwarancję, że przynajmniej z tej strony myśliwy był zabezpieczony od możliwego ataku nieprzyjaciela.

Przed zeribą rozciągał się placyk, obnażony zupełnie z wszelkiej roślinności; lecz już o jakie 15 kroków rozpoczynały się krzaki i trawa, sięgająca miejscami do pasa. Tuż obok prowadziła ścieżka, którą lew przechodził do wody, czego dowód mieliśmy na tropach z poprzedniej nocy, które w pyle pozostawił.

Kazałem ludziom naciąć gałęzi akacjowych i tym sposobem podwyższyliśmy zeribę do wysokości ramion człowieka, co jeszcze nie dawało gwarancji bezpieczeństwa. Somalisi robią ogrodzenie wysokie na jakie 2½ metra i prawie zamknięte od góry, a przytem tak gęste, że wewnątrz można siedzieć, będąc zupełnie ukryty przed wzrokiem drapieżnika; moja więc zeriba daleka była od tego ideału—i siedziało się w niej, Bogiem a prawdą, jak na patelni. Ale co było robić? Szybko zapadający zmrok, nie pozwalał na dalsze ulepszenia, więc przywiązawszy koźlę o sześć kroków od wylotu zeriby, wszedłem z Mohamedem do środka; ludzie nasi zarzucili otwór gałęziami i pożegnawszy nas, odeszli. Na wprost koźlęcia urządziłem sobie rodzaj obszernego okienka, wyłamując niektóre gałązki lub zakładając jedne za drugie. Gdy to wszystko było gotowe, zasiadłem sobie wygodnie na krześle, nabiwszy cal. 10, z którego zmierzyłem się wielokrotnie, aby mniej więcej mieć pojęcie, gdzie mi osada na policzku wypada; mannlicher miał magazyn z 5-ma kulami. Mohamed usadowił się w kucki po mojej lewej stronie, kładąc na ziemi swój miecz sudański. Miał też z sobą kubek z namoczoną w wodzie, surową kukurydzą. Dałem mu papierosa, sam zapaliłem drugiego i w milczeniu oddaliśmy się rozmyślaniom.

Gdyby komu chodziło o analizę wrażeń, jakie mój umysł wtedy zaprzątały, to znalazłby tam mieszaninę wszystkiego. Oczywista rzecz, że podstawę stanowił niepokój, jaki podobnego rodzaju sytuacja *a fortiori* wywołuje, szczególniej, gdy się w niej człowiek znajdzie po raz pierwszy w życiu; ten jednak niepokój na szczęście w znacznej części neutralizowała chęć zabicia najwspanialszego może zwierza, o jakim myśliwy marzyć może. Co to będzie za radość, gdy jutro o świcie zobaczę rozciągniętego przed zeribą króla zwierząt.

Tymczasem zmrok szybko zapadał; złocisty zachód bladł i szarzał; na niebie ukazały się pierwsze gwiazdy. Cisza była zupełna, tylko niekiedy sowa jęknęła; z oddali słychać było niewyraźny gwar żórawi. W trawie coś parę razy zaszeleściało i usłyszałem jakby krótkie, stłumione ryknięcie. Koźlątko kręciło się przy swym kołku, zabeczało żałośnie, jakby czując niebezpieczeństwo, i ułożyło się wreszcie na ziemi.

Noc zapadła kompletna. Przez okno zeriby koźlę majaczyło mi się teraz, jak cień czarny, ledwie dostrzegalny. Spróbowałem się zmierzyć kilkakrotnie, lecz wśród kompletnej ciemności nie widziałem ani muszki, ani szyny strzelby, ani nawet koźlęcia. „W takich warunkach — myślałem sobie — o pudło nie trudno. Jaka szkoda, żem nie wziął akumulatora elektrycznego. Lecz teraz już zapóźno żałować. *)" Czas płynął wolno wśród ciągłego naprężenia myśli i zmysłów, wśród tej tajemniczej ciszy, w jaką dżungla nas spowija. Naraz... koźlę fuknęło, potem drugi raz... coś zaszeleściało... słychać było chrapanie duszonego zwierzęcia...

Było w tem coś tak przejmującego, że mimowoli uczucie przestrachu ogarnęło moją istotę. „Assad, assad, ata, ata" (lew, lew, strzelaj, strzelaj) — powtarzał gorączkowo Mohamed, lecz ja nic nie widzę, oprócz jakiegoś czarnego cienia, który ledwie mi majaczeje. Mierzę, lecz nie wiem, czy za wysoko, czy za nisko. Tymczasem Mohamed powtarza ciągle: „ata, ata," naciskam więc cyngiel, przypominając sobie, że mi brzeg osady wypadał w samym kącie ust... Błysnęło przed oczami, rozległ się potężny huk dziesiątki i ciemność — i cisza zaległa. Czekam z biciem serca, lecz wokół, jak w grobie. Mohamed daje mi znak ręką, że zwierz poszedł. Nabiłem wystrzeloną lufę i postawiłem strzelbę obok. Była wtedy godzina 9-ta.

I znów zaczęły się długie chwile oczekiwania. Nieżywe koźlę majaczyło się przed nami czarną plamą. Mohamed przysunął sobie kubek i począł zwolna żuć kukurydzę, rozgryzając twarde ziarna z pewnym chrzęstem. Trwało to dość długo, gdy wydało mi się, że obok chrupania shikarego, słychać inne — jakby chrupanie kości. Jednocześnie Mohamed dotknął mego kolana i wskazał w stronę koźlęcia. „Assad?" spytałem go szeptem, lecz kiwnął głową, że nie. „Marfain?" (hjena). „Ai-wa" (tak) — odpowiedział... „Więc trzeba spróbować zabić hjenę, kiedy się z lwem nie udało" — pomyślałem sobie — i znów zmierzyłem na chybił trafił w tę stronę, bom absolutnie nic nie widział. Strzeliłem. Tak jak za pierwszym razem, cisza grobowa zaległa po strzale: zwierz uszedł.

Lecz nie upłynął kwadrans, gdyśmy znowu usłyszeli chrupanie kości; znowu strzał i znowu cisza. Ten strzał był jakiś nie normalny, gdyż o mało mnie nie wywrócił. Jednocześnie uczułem silny ból w nosie: krew obficie uchodziła z rany, którą mi

*) Zobaczymy później, że ten akumulator zawiódł oczekiwania.

strzelba swem uderzeniem zadała. Zły już byłem na tę swoją nieudolność widzenia wśród ciemności. Czekałem jeszcze czas jakiś (była wtedy godzina 10 i pół), aż wreszcie znudzony zapaliłem ostatniego papierosa; lecz jeszczem go nie dopalił, gdy Mohamed schwycił mnie za kolano: „Nemer" (pantera) — rzekł szeptem, wskazując mi palcem. „Skoro się nas nie boi — pomyślałem — bo przecież musiała widzieć, że ja papierosa palę, to ja ją spróbuję mym ręcznym akumulatorem oświecić." Wysunąłem więc rękę przez otwór zeriby i nacisnąłem guzik akumulatora. Lecz światło było zbyt słabe, żeby czemkolwiek mogło mi dopomódz. Wtedy spróbowałem innego sposobu. Zmierzyłem się do gwiazd, a potem nie odejmując strzelby od twarzy, przesunąłem lufy w otwór i mierząc nieco ponad czarny cień koźlęcia, strzeliłem. Po strzale rozległo się kilkakrotne, jakby silne i grube miauknięcie, słychać było szelest uciekającego zwierza. „Idrop" (strzelona) — rzekł mi z radością Mohamed.

„Nareszcie — pomyślałem sobie, bo już mi ta bezowocna strzelanina kością w gardle stanęła. — A teraz, kiedy już lew strzałem spłoszony, hjena (?) również, a pantera postrzelona, nic już chyba nie przyjdzie do zeriby. Najlepiej więc jest zasnąć (była wtedy godzina 11-a)." Dałem do zrozumienia Mohamedowi, że ja spać będę, a on niech czuwa, co gdy zrozumiał, owinąłem się w kołdrę i wkrótce zasnąłem. Lecz sen nie bardzo się ima człowieka, gdy się ma w perspektywie, że lada chwila może przyjść jaka bestja i wziąć go za czuprynę. Budzę się, patrzę na zegarek przy świetle akumulatora, — dwunasta; zasypiam, budzę się, — wpół do pierwszej, potem pierwsza. Owinąłem się dobrze w kołdrę, bo noc była djebelnie chłodna, jak na 12° szerokości; zamknąłem oczy, lecz w chwili, gdy sen zaczynał odrętwiać me ciało, uczułem nerwowe ściśnięcie za kolano. „Assad, assad" — mówił szybko Mohamed, a miecz swój już trzymał w ręku. Chwyciłem za broń, szeroko otworzyłem zaspane oczy, lecz wśród ciemności nic widzieć nie mogłem. Słyszałem tylko jakiś niewyraźny szelest i Mohamed mimiką dał mi do zrozumienia, że lew uniósł koźlę. Widocznie jednak daleko z niem nie uszedł, bo wkrótce rozległo się wśród ciszy nocnej chrupanie kości i mlaskanie... Siedziałem na mem krześle, bezsilny wobec niewidzialnego zwierza i słuchać musiałem cierpliwie, jak ucztował w odległości może kilkunastu kroków... Trwało to 20 minut lub ½ godziny...

Wtem shikari chwycił mnie prawą ręką nerwowo za kolano, a lewą sięgnął po szablę... „Assad, assad, assad" — powtarzał szybko szeptem... Zrozumiałem, że lew idzie na zeribę...

I w umyśle moim przemknęła myśl, że potężny ten wróg, zakąsiwszy koźlęciem, czem sobie tylko apetyt zaostrzył, myśli teraz o nas, bo cóż innego mogłoby go skłonić do tego kroku. I wtedy zdjął mnie strach. Gwałtowną pantominą dałem do zrozumienia Mohamedowi, że nic nie widzę; wtedy on skierował moje lufy, ja się do osady przyłożyłem i huknął strzał wśród ciszy nocnej... Słucham... Cisza jak w grobie. Wtem rozległo się tuż w pobliżu straszne, ponure stęknięcie, w którem słychać było, jakby słowa: „drżyjcie przede mną!", potem, drugie, trzecie... a za tem niskie, potrójne ryknięcie, tak straszne, że krew się ścięła w żyłach... Słychać szelest kroków po suchych trawach, a potem znów cisza.

Położenie moje było tak przykre, że stanąłem w zeribie, nad którą całą głową górowałem, w nadziei, że przez wierzch zobaczę cień jaki i będę w stanie strzelić. Nic jednak nie mogłem wśród ciemności rozpoznać. Mimowoli przypomniał mi się senaarski *man-eater*, jak brał z zeriby swą ofiarę; lecz cóż było robić: wolałem to, niż siedzieć na krześle z myślą, że lada chwila spadnie mi na głowę potężne ciało drapieżnika. Cisza panowała zupełna, więc siadłem znów na krześle. Po chwili nanowo rozległo się straszne stękanie, — tym razem już za nami: lew wkoło zeribę obchodził...

I zaczęły się dla mnie chwile niepewności bez końca. Lew ciągle zeribę okrążał, stękając i rycząc od czasu do czasu. Niekiedy podchodził tak blisko, że słychać było jego ryk straszny tuż, tuż przy nas; czasami szeleścił po sąsiednich trawach... Pierwotne uczucie strachu wskutek dziwnej reakcji psychologicznej zmieniało się chwilami w uczucie głuchej złości przeciwko temu wrogowi, który mnie w tak przykrej więził pozycji. Wstawałem wtedy w zeribie, spodziewając się go ujrzeć, lecz gdy nic nie mogłem dojrzeć, strzelałem na oślep z mannlichera w tę stronę, by go jedynie w respekcie utrzymać. Tak mało na to zwracał uwagi, że nieraz wnet po strzale rozpoczynał swój ryk przejmujący.

Z jakąż radością spostrzegłem, że księżyc w ostatniej kwadrze wysunął się już nad horyzont i oświecał swem bladem światłem wierzchołki wyższych drzew i krzaków. Liczyłem, że przy tem słabem świetle będę mógł lwa dojrzeć i strzelić do niego, albo, że się raz do djabła wyniesie. Było wtedy nieco po 3-ej. Jakżeż wolno skracał się cień mojego kopca termitowego! Aż wreszcie o godzinie 4-ej, gdy całą polankę przedemną oblewało blade światło księżyca, lew ryknął potężnie... Mohamed dał mi znać ręką, że sobie poszedł. Jakoż nie słyszeliśmy już go więcej.

Tak więc 3 godziny spędziliśmy wśród strasznej niepewności, narażeni, że każdej chwili lew mógł przeskoczyć żeribę, do czego zresztą nie brakło mu widocznie ochoty, i tylko powstrzymywała go obawa, że ci ludzie tam w zeribie czuwają bezustanku. Gdyby to był *man-eater*, sprawa z nami skończyłaby się mniej pomyślnie.

Otuliłem się w kołdrę, bo chłód był przejmujący, i starałem się zasnąć, lecz sen, skutkiem silnego zdenerwowania, nie imał się mych powiek. Świtać też wkrótce zaczęło, a gdy nawpół rozedniało, usłyszałem nawoływanie *hop, hop!* Hrabiego, który z ludźmi przyszedł dowiedzieć się, co się dzieje ze mną. Obejrzeliśmy tropy lwa, poszliśmy za niemi ze 300 kroków. Śladów farby po strzale nie było, więc Hrabia, śpieszący naprzód, nie radził tracić czasu na niepewnego postrzałka — panterę. Zgryziony niepowodzeniem i skostniały od zimna, wróciłem wraz z innymi do obozu, gdzie nas już czekała gorąca herbata.

Zaraz po 8-ej wyruszyliśmy z obozu, pozostawiając za sobą karawanę. Droga prowadziła wciąż starem łożyskiem Nilu, które miejscami rozszerzało się znacznie, tworząc obszerną dolinę, to znowu zwężało. Pośrodku tej doliny rozciągało się spore jeziorko, na którem stada kaczek *(Dendrocygna viduata)* żerowały tą wczesną porą. Stefan, jako główny dostawca ptaków do kuchni, zlazł ze swego osiołka, bez trudu podkradł się do stada i kilkoma strzałami zabił trzy kaczki, między któremi jedną zwyczajną cyrankę.

Wkrótce potem Ahmed-Idris zatrzymał konia i pokazał nam szeregi wielkich dołów, mających blisko łokieć w średnicy i przynajmniej ¾ — głębokości. Były to tropy słoni, pozostałe jeszcze z czasów pory dżdżystej, kiedy grunt od ciągłych deszczów rozmięka, a miejscami nawet pokrywa się niewątpliwie wodą. Jak przy pierwszym tropie lwa, tak i tutaj doznałem niezwykłego wrażenia na myśl, że znajduję się w kraju, gdzie przebywa ten największy z żyjących dziś czworonogów, o którym tyle się naczytałem w opisach eksploratorów i myśliwych afrykańskich. W podobnych chwilach człowiekowi mimowoli przychodzi na myśl, czy nie śni przypadkiem, tak mało prawdopodobną wydaje mu się rzeczywistość. Niemniej w tym wypadku widok tropów słoni napełnił dusze nasze niewypowiedzianą radością, że nareszcie po tak długiej podróży dotarliśmy do okolic, gdzie te zwierzęta spotkać można.

Minąwszy jeziorko, wkroczyliśmy do suchego łożyska rzeki, zarośniętego miejscami krótką, zieloną trawą, to znów wysoką, suchą trzciną, aż w końcu koło godziny 10-ej, porzuciwszy dawne

łożysko Nilu, wkroczyliśmy do gęsto zarośniętej dżungli. Zaczęły się ukazywać pierwsze okazy pięknej wachlarzowatej palmy; drzewa były tu większe, niż dotychczas spotykane. Posuwaliśmy się tak, dość szybkim truchtem, gdy naraz usłyszeliśmy za sobą jakiś krzyk, jakby nawoływanie. Hrabia spodziewał się gońca z Karkocz z odpowiedzią na telegram do Omdurmanu w kwestji parowca na Nilu Białym; przypuszczaliśmy więc, że to wysłaniec nas goni. Okazało się wszelako, że to jeden z ludzi naszej karawany pędzi za nami na rasowym wielbłądzie,*) przynosząc niezwykłą wiadomość, że trzy lwy zaległy na samej drodze i nie chcą puścić karawany.

Nie było czasu do namysłu. Hrabia oddał oba swe sztucery (cal. 450 i 303) Arabowi na wielbłądzie, ja chwyciłem mego mannlichera i poprzedzani przez obu shikarich — Idrisa i Mohameda — pogalopowaliśmy z powrotem; za nami mknął na swym wielbłądzie Arab, popędzając krzykiem swego krnąbrnego wierzchowca, który strasznym rykiem manifestował swe niezadowolenie z tak szybkiej jazdy.

Był to szalony galop, po wijącej się wśród kępiastej trawy ścieżce, gdzie lada chwila nasze konie potknąć się mogły, narażając nas na ciężki upadek. Ja w pośpiechu bata nie wziąłem, krzykiem więc i piętami ekscytowałem swego rumaka, którego widocznie siły zaczynały opuszczać. Galopowaliśmy tak ze 20 minut, gdy na zakręcie doliny spostrzegliśmy wreszcie w odległości ½ wiorsty rozsypaną karawanę: ludzie stali i pokazywali coś ku gąszczom, za nimi wielbłądy spokojnie żerowały.

Gdyśmy dopadli do karawany, dowiedzieliśmy się, że dwa (a nie trzy) lwy — lew i lwica — po naszem już przejściu zasiadły, jak psy, na samej drodze i gdy karawana do nich podeszła, mimo krzyku ludzi, ruszyć się z miejsca nie chciały. Wygląda to na opowiadanie z „Tysiąca i jednej nocy", aby dwa lwy mogły wstrzymać pochód karawany, złożonej z 50 ludzi i 24 wielbłądów; a jednak musieliśmy dać temu wiarę wobec niezbitych faktów. Dragoman Szaja powziął doskonałą myśl posłania za nami gońca, który lwy objechał gąszczem i nas dogonił.

Oba lwy na chwilkę przed naszym przyjazdem zeszły z drogi do gąszczów, nie dlatego jednak, aby się ludzi bały, lecz prawdopodobnie, że im skwar słoneczny dokuczać zaczął. Jeden z nich stał jeszcze na brzegu i jego to ludzie palcami pokazywali.

---

*) Wielbłądy takie, zwane „mehari", służą do szybkiej, wierzchowej jazdy.

W czasie galopu tak nam w gardłach pozasychało, że literalnie językiem poruszać nie mogliśmy; szybko więc odwilżyliśmy usta wodą, Hrabia oba swe sztucery nabił, sam wziął 450, Fadilowi dał 303; ja podciągnąłem sprężynę mannlichera i tak ruszyliśmy we dwóch ku gąszczom, poprzedzani przez młodego shikarego. Zrobiwszy jakie sto kroków, Fadil zatrzymał się i ręką wskazał ku dżungli. Wysunęliśmy się z za krzaka, który nam widok zasłaniał, i zrównawszy się z Fadilem, spostrzegliśmy w odległości 70 kroków wspaniałego zwierza.

Stał prawie bokiem do nas, odwróciwszy ku nam swą dumną głowę. Cienie krzewów, pod któremi się znajdował, tworzyły na jego ciele rodzaj plam i zebrowania. Patrzał wprost na nas, jakby z pogardą; gdyśmy jednak parę kroków zrobili, aby się zbliżyć do niego, ruszył, lecz znowu stanął. Nie było rady, trzeba było z tego miejsca strzelać, bo jeszcze kilka kroków i upragniony zwierz ukryje nam się wśród gąszczu dżunglowego.

Stanęliśmy więc i spokojnie zmierzyliśmy do groźnego nieprzyjaciela. Ja mierzyłem na komorę i trzymałem go na muszce; nie chcąc jednak psuć Hrabiemu strzału, czekałem, aż detonację usłyszę. I gdy runął strzał, ja pociągnąłem lufami, wiedząc z doświadczenia, że zwierz ruszy, i cyngiel nacisnąłem.

Po tych dwóch, prawie współczesnych, strzałach lew ani ryknął,*) ani też znaku nie dał. Wydało mi się tylko, że gdy ginął w gąszczu, zadem jakby pociągnął.

— Teraz pójdziemy za postrzałkiem — rzekł do mnie Hrabia, nabijając wystrzeloną lufę.

Chciałem i ja zmienić ładunek z magazynu, lecz mechanizm się zaciął i niepodobna było zamknąć sztucera. Hrabia wziął go do ręki, lecz też nic nie mógł poradzić. Wtedy dał mi swój cal. 303, nabity kulami w półpancerzu niklowym. Stary Ahmed Idris, który dotychczas szedł za nami, wysunął się teraz naprzód: jego obowiązkiem było prowadzić nas po tropie, co też spełnił, nie czekając rozkazu.

Była to chwila niezwykle uroczysta. Każdy z nas wiedział, że lew postrzelony w dziewięciu wypadkach na dziesięć rzuca się, gdy iść po jego tropie; a w tym razie niebezpieczeństwo było tem groźniejsze, że gęste krzaki i wysoka do pasa trawa stanowiły doskonałe ukrycie dla ranionego zwierza. Mimo więc najbystrzejszego wzroku można było zetknąć się z nim oko w oko, a wtedy biada nam.

---

*) Lew raniony zwykle ryczy strasznie z bólu i wściekłości.

— Będzie źle — myślałem sobie — ktoś z nas może skórą opłacić tę całą awanturę.

Szliśmy tak zwolna — przodem Ahmed Idris, za nim my dwaj obok siebie, gdy jednak nieco dalej krzaki się ścieśniły, zmuszony byłem iść za Hrabią. Nikt z nas dwóch nie wiedział, czy lew jest raniony, czy nie, bo ani nie było czasu tropów badać, ani też Idrisa o to pytać. Cała nasza uwaga wytężona była na boki — w myśli, że wnet usłyszymy straszny ryk i ujrzymy szarżującego zwierza. Chwilami robiło mi się żal starego shikarego, który, nie posiadając broni, był wystawiony na największe niebezpieczeństwo, jako przodem idący. Trudno jednak bawić się w sentymenty: Idris wiedział, na co się godzi.

Trop skręcił raz pod prostym kątem na lewo, nieco dalej znów — na prawo. Zrobiliśmy tak ze 150 kroków od strzału, gdy naraz Fadil, idący o kilka kroków za mną, dogonił mnie, schwycił silnie za rękę i rzekł szybko szeptem: „Assad, assad". Odwróciłem się, lecz ponieważ z tego miejsca już nic widać nie było, więc nie uprzedzając Hrabiego, szybko cofnąłem się za Fadilem z 10 kroków i stanąwszy obok niego, ujrzałem lwa w odległości 20 kroków na lewo od naszego pierwotnego kierunku. Leżał w cieniu rozłożystego krzewu, na górce, nieco wyżej naszej pozycji, zwrócony do nas prawym bokiem, z głową. dumnie do góry podniesioną... Patrzył nam prosto w oczy...

Wiedziałem, że tu w grę wchodzi moje lub Fadila życie, więc spokojnie, lecz szybko, zmierzyłem w łeb i cyngiel ściągnąłem... Lew, jak piorunem rażony, wywrócił się, rozkraczając szeroko swe potężne łapy.

Żadne pióro nie jest w stanie opisać uczucia radości, jakie ogarnia myśliwego na widok wywracającej się, podobnej sztuki. Obok nasyconej żyłki myśliwskiej wchodzi tu w grę uczucie niewypowiedzianego zadowolenia, żeśmy siebie i innych wybawili z groźnego niebezpieczeństwa. Nie zapomnę też nigdy w życiu radości, jaką mi ten strzał spowodował.

Nie bacząc na ostrzeżenie Hrabiego, rzuciłem się do lwa, którego ciałem wstrząsały przedśmiertne dreszcze. W jednej chwili znalazło się koło nas ze dwudziestu krajowców — w części okolicznych mieszkańców, a w części ludzi z naszej karawany, którzy widocznie szli naszemi śladami w pewnej odległości. Potrząsając swemi włóczniami lub mieczami, wydawali głośne okrzyki na naszą cześć, a jednocześnie lwu wymyślali, gdyż jest zwyczajem wszystkich prawie ludów Afryki wschodniej lżyć tego groźnego nieprzyjaciela, gdy od celnej kuli zginie. Jeden nawet z okolicznych mieszkańców, nie bacząc na nas wszystkich,

wypalił ze swego remingtona w zad nieżywego już drapieżnika, przyczem darł się w niebogłosy.

Zabita sztuka była to dobrze wyrośnięta lwica, mierząca 8 stóp i 4 cale, to jest średnią miarę dorosłej samicy. Okazało się, że z dwóch pierwszych naszych strzałów dostała tylko jedną kulę w brzuch tuż za żebrami i nieco wysoką. Ostatnia moja kula trafiła ją pod prawe oko i wyszła tuż przy lewem uchu, druzgocąc zupełnie kości czołowe i ciemieniowe tak, że z całej czaszki można było tylko obie szczęki razem z zębami zachować. Ponieważ trudno było sprawdzić, do kogo należała pierwsza kula, więc sztuka ta uznaną została za spółkową.

Oglądanie lwicy i sprawdzanie kul zajęło nam kilka minut czasu. Idris wtedy zwrócił nam uwagę, że należy spróbować, czy nam się nie uda lwa od pary zabić, gdyż niewątpliwie stoi on gdzieś w gąszczu nieopodal. Stary więc poprowadził nas dżunglą. Szliśmy w tym porządku, co i poprzednio, pilnie wypatrując wśród gąszczu. Lew jednak ustępował widocznie przed nami, gdyż mimo najbaczniejszej uwagi spotkać się z nim nie mogliśmy. Zrobiwszy przeto obszerny krąg, wróciliśmy do zabitej lwicy.

Nasi Arabowie z trudnością wynieśli ją na łąkę, gdzie nastąpiło fotografowanie zarówno jej, jak i głównych uczestników polowania.

Było już wtedy koło 11-ej, więc Hrabia rozkazał cofnąć karawanę o pół wiorsty, gdzie grupa wielkich drzew zapewniała nam doskonały cień na postój południowy, i tu rozłożyliśmy się obozem. Kucharz Bohos wziął się do sporządzenia śniadania, a tymczasem jakich dziesięciu Arabów pod moją dyrekcją obciągało skórę z lwicy. Była tak tłusta, jak karmny wieprzak, nic więc dziwnego, że Arabom szła ślinka do ust na widok białego i tłustego mięsa. Rezultat był taki, że ledwie skórę obciągnięto, już mięsa śladu nie zostało: tak je szybko rozchwytali i na surowo zjedli nasi ludzie i okoliczni mieszkańcy; przyczem, jak zwykle w takich razach, przyszło do ostrej kłótni, która się omal bójką na noże nie skończyła.

Czytałem wielokrotnie, że mięso lwa jest bardzo smaczne. W samej rzeczy, pozór ma nader apetyczny, jest białe i tłuste; brała i mnie też ochota spróbować. Poleciłem tedy Bohosowi, by mi piękny kawałek wyciął i befsztyk na śniadanie sporządził. Gdy jednak podczas śniadania służący przyniósł mi tę niezwykłą potrawę, przyszła mi refleksja, czy przypadkiem zabita lwica nie ma na sumieniu jakiej ludzkiej ofiary, i w jednej chwili doznawszy uczucia wstrętu, próby zaniechałem. Mniej wybredni

byli nasi kairscy służący, którzy befsztyk z lwa z apetytem spożyli, smak jego bardzo chwaląc.

Zwrócę jeszcze uwagę na ciekawy zbieg okoliczności. Lwica nasza padła d. 14-go lutego. Otóż co do dnia — 14-go lutego 1896 roku Hrabia postrzelił w Somalilandzie lwa, za którym myśliwi poszli; lecz wówczas, gdyby nie poświęcenie się Alikara i nie strzał celny hr. Tomasza Zamoyskiego, cała sprawa mogła się była skończyć bardzo traigcznie.

Istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że te dwa lwy, które naszą karawanę zatrzymały i z których zabiliśmy samicę, były to te same, które mnie poprzedniej nocy w zeribie trzymały w oblężeniu. Odległość między obu miejscowościami, gdzie opowiedziane wypadki nastąpiły, wynosi nie więcej nad 5 do 6 kilometrów, co dla lwa, włóczącego się nieustannie, stanowi nic nieznaczącą przestrzeń. Potwierdza to zdanie Mohameda, że do mej zeriby przyszły dwa lwy, z których jeden porwał zabite przez panterę koźlę, gdy drugi (zapewne lwica) oczekiwał w pewnej odległości na zdobycz.

Jeszczem nie skończył ałunować skóry zabitej lwicy, gdy ludzie nasi już ładowali paki na wielbłądy, a o godzinie 1½ po południu wszystko było gotowe do wymarszu. Mimo dotkliwego skwaru, ruszyliśmy raźno, zadowoleni z tak szczęśliwie zakończonego polowania. Głównym też tematem rozmowy naszej podczas marszu były wypadki ubiegłego ranka.

ROZDZIAŁ VI.

Tibna. — Żóraw czubaty. — Tropy słoni. — Ahmed-Mogit. — Noc w obozie. — Dżungla. — Wypaleniska. — Pięć arielów jednego dnia.

O godzinie 4½ stanęliśmy na nocleg w miejscowości, zwanej Tibna, położonej nad brzegiem łąki, wśród pięknej i dostatecznie ocienionej dżungli. Łąka owa jest przedłużeniem starego koryta Nilu, o którem już tylokrotnie wspominałem. Zjawiło się kilku okolicznych Arabów, od których Hrabia zasięgnął języka co do miejscowej zwierzyny.

Z opowiadania ich okazało się, że lwy stale okolice te odwiedzają, słonie do wodopojów przychodzą, a hypopotamy z rzeki na łąkę wychodzą. Tylko co do bawołów wiadomości były niepomyślne, a mówiłem już poprzednio, że głównym celem naszej wyprawy były właśnie te straszne przeżuwające, gdyż hr. Potocki nigdy się jeszcze z niemi nie spotkał. Mimo więc dobrych widoków polowania, Hrabia zdecydował się następnego ranka ruszyć dalej, by nie dać się ubiedz ks. Arenbergowi, goniącemu nas, jak czarna zmora.

W pobliżu naszego obozu znajdowała się wśród dżungli ciekawa osada Arabów, żyjących wyłącznie z łowiectwa i rybołówstwa. Kilka szałasów z trawy dżunglowej, otoczonych wspólną zeribą, służyło tym dzikusom za siedzibę. Mnóstwo suszonego lub suszącego się mięsa, skóry i rogi antylop — świadczyły dosadnie o rodzaju procederu, jakim się mieszkańcy tutejsi trudnili. W braku broni palnej, której użycie jest im wzbronione od czasów Mahdiego, ludzie ci zaspakajają swe instynkty przy pomocy

wnyków, rozstawianych po ziemi w ogromnych ilościach. Są to proste pętle ze sznurka, przymocowane do pieńka lub krzaka. Antylopa musi w nie stąpić nogą, by się petla zaciągnęła.

Na uwagę zrobioną przez Hrabiego, że tego rodzaju polowanie jest surowo wzbronione, łowcy wyrazili głęboką skruchę i chęć poprawy, co nie wyklucza bynajmniej pewności, że po naszym odjeździe w dalszym ciągu ten rodzaj łowiectwa praktykowali.

Noc była cicha, gwiaździsta, jak wszystkie noce w Sudanie w suchej porze roku. Gdym się nad rankiem obudził, słychać było od strony łąki chlupanie wody i sapanie potężnych hypopotamów; w bliskości obozu rozlegało się od czasu do czasu niskie, zwykle potrójne ryknięcie pantery, które hr. Potocki trafnie porównywa do głosu tępej piły. W obozie już ruch się poczynał, lecz nie słychać jeszcze było głosu Hrabiego, który nas zwykle ze snu budził. Owinąłem się więc w kołdrę, bo chłód ranny dreszczem ciało przejmował, i zasnąłem powtórnie.

O 5-ej rano wstaliśmy, a w godzinę potem wyruszyliśmy z obozu w zwykłym porządku. Zrobiwszy zaledwo kilkaset kroków, spostrzegliśmy nad błotkiem na brzegu łąki przechadzające się dwa żórawie czubate *(Balearica pavonina)*, a obok nich parę olbrzymich bocianów *(Ephippiorhynchus senegalensis)*. Jak jedne, tak drugie, nie zdawały się zwracać na nas zbytniej uwagi, można więc było zaryzykować podchodzenie. Wziąłem śrótówkę, a nabiwszy ją grubym śrótem (3 zera), podszedłem ku nim z palcem na cynglu. Wybór był trudny, gdyż zarówno żóraw, jak i bocian mógł stanowić cenny nabytek dla naszej kolekcji, a okazja strzału tak w jednym, jak w drugim wypadku, dość rzadko się zdarzała. Zdecydowałem się jednak strzelać do żórawia, którego hr. Potocki pragnął mieć w swojej kolekcji trofeów. Gdym podszedł na 80 kroków, ptaki zerwały się; szybko wziąłem na cel jednego z żórawi, który padł ze strzaskanem skrzydłem. Dobiwszy go, włożyliśmy ostrożnie do sakwy na wielbłądzie i ruszyliśmy dalej.

Po bardzo krótkim czasie napotkaliśmy świeże (z poprzedniej nocy) tropy lwa. Widocznie włóczył się w bliskości obozu, tylko wbrew zwyczajowi nie dał nam znać o sobie swym potężnym rykiem. Dalej znów wpadliśmy na ślady słoni z poprzedniego dnia. Grunt w dżungli jest twardy, lecz pokryty cienką warstwą drobniutkiego pyłu. Na takim terenie trop słonia wygląda, jak delikatny odcisk dużego kręgu, poprzecinanego drobnemi żyłkami, które chropowata podeszwa zwierza na piasku wytłacza. Obok tych tropów widoczne były wszędzie olbrzymie

kupy pomiotu, które, jak twierdzi słusznie Edward Foa, przypominają kształtem pomiot koński, z tą tylko różnicą, że każda oddzielna buła jest wielkości głowy rocznego dziecka. Wreszcie o przejściu słoni świadczyły tu i owdzie spotykane drzewa i drzewka, złamane u podstawy, lub z korzeniem wyrwane i pochylone.

Trudno zrozumieć, w jakim celu słonie wywracają drzewa na swej drodze. Gdyby im chodziło o dostanie się do górnych, zatem delikatniejszych gałązek, to przy ich wyniosłym wzroście, a przy małej stosunkowo wysokości drzew dżunglowych, mogłyby to łatwo uczynić, sięgając wprost trąbą do czubka drzewa. Przypuszczać więc jedynie należy, że czynią to ze swawoli, aby siłą swą nieporównaną popisać się przed sobą. Słoń opiera się podobno czołem o pień drzewa, a następnie odpycha się nogami, aż póki pnia nie złamie, lub go z korzeniem nie wyrwie.

Pokazywano też nam inne jeszcze ślady słoni. Poza Tibną zaczęliśmy spotykać pierwsze boababy *(Adansonia)*, które tem są w świecie roślinnym, czem słonie w świecie zwierzęcym. Olbrzymy te posiadają pień chropowaty, pokryty miękką korą barwy zielonawo-szarej. Rzadko kiedy pień jest okrągły, lecz raczej prostościenny, najczęściej o czterech względnie płaskich ścianach. Średnica pnia dochodzi niekiedy bajecznych rozmiarów (4 do 5

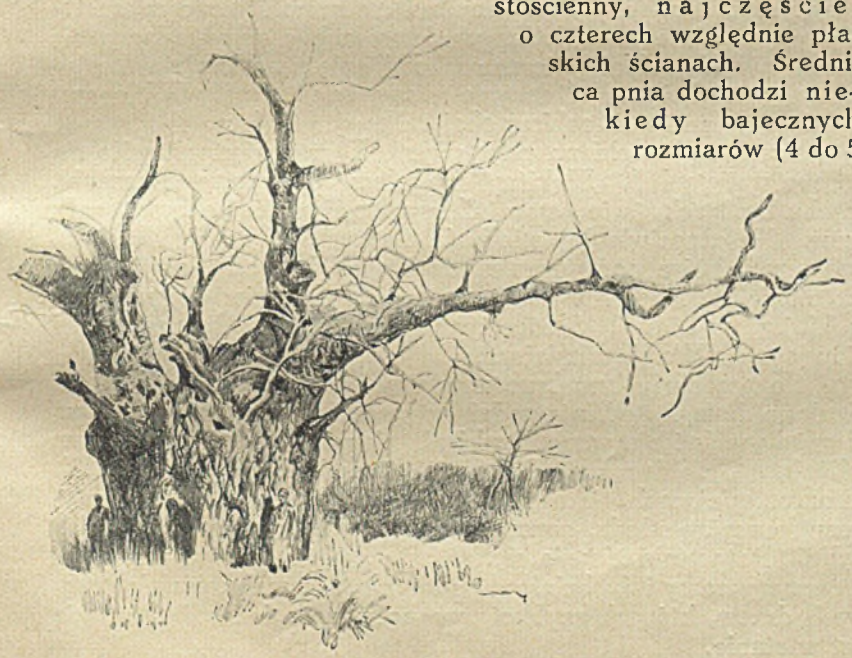

metrów, a według d'Orbigny'ego — 25 stóp, czyli 12½ łokci). Boababy nad Nilem Błękitnym posiadają koronę dość ubogą i w porze suchej zupełnie liści pozbawioną. Wielokrotnie łowcy nasi pokazywali nam w dalszej naszej podróży olbrzymie szramy i głębokie dziury, wybite kłami słoni na pniach boababów, a których powstanie tylko swawolą, a może niezwykłem rozjątrzeniem zwierząt, wytłómaczyć sobie można.

W dniu tym (15-go lutego) postój południowy urządziliśmy w miejscowości Taula, a stąd w trzy godziny doszliśmy do Ahmed-Mogit, miejsca naszego noclegu, nad samym brzegiem Nilu położonego. Nasza służba kairska wzięła się zaraz do rozpięcia namiotu i ustawienia łóżek polowych, gdy Assad zajął się przygotowaniami do obiadu. Już nakrył mały, polowy stolik czystym, jak śnieg, obruskiem, już porozstawiał na nim talerze i butelki, gdy pomocnik jego zajął się tymczasem ochładzaniem w „refrygeratorze" wina „Gumpoldskirchen". Kucharz Bohos porozstawiał swe kociołki na rozpalonem ognisku i smaży już coś, mając sobie do pomocy Azisa. Stary Szaja, nasz dragoman, wydaje głośno rozkazy, posyła ludzi po wodę do rzeki i czuwa nad porządkiem ogólnym. Tymczasem wielbłądy rozjuczono i na paszę puszczono. My dwaj, znużeni marszem i gorącem, zasiedliśmy wygodnie na składanych krzesłach i przyglądamy się z pewnem zadowoleniem temu ruchowi, a jeszcze bardziej krajobrazowi, który się przed oczyma naszemi roztoczył. Ochłonąwszy nieco ze znużenia, robimy obaj całkowitą tualetę.

Brzeg tu wysoki na parę piętr. U stóp naszych wije się szeroką wstęgą Nil, „Błękitny" w całem tego słowa znaczeniu. Po obu brzegach gęsta, zwrotnikowa roślinność pokrywa cały grunt. Na przeciwległej mieliźnie piaszczystej uwija się stado małpeczek, które pod wieczór przybiegły do wody, aby ugasić pragnienie. Różnorodne ptactwo żeruje spokojnie; ciągną sznury ibisów lub żórawi. Słońce tymczasem chyli się ku zachodowi i żar jego szybko się zmniejsza.

Na przeciwległym brzegu w niewielkiej od nas odległości zapalono dżunglę. Wiatr pędzi ku rzece tumany szarego dymu, od spodu widać czerwone języki płomienia; słychać jakby szum zbliżającego się deszczu. Pożary te dżungli widać codzień w kilku naraz miejscach. To krajowcy zapalają trawy, aby z nastaniem deszczów młoda, soczysta ruń posłużyła za paszę dla ich bydła. Pożar taki ciągnie się nieraz szerokim pasem, obracając w perzynę trawy i drobniejsze podszycie, a osmalając pnie grubszych drzew, których szybko przechodzący ogień zniszczyć nie jest w stanie.

Nil Błękitny.

Z nastaniem zmierzchu podano tyle upragniony obiad, bo już się nam żołądki buntować poczęły. *Menu* nasze mogłoby zadowolić nawet bardzo wybrednego smakosza: buljon z jarzynkami, polędwica z antylopy z kartoflami, pentarki z ryżem i kompot z doskonałych, kalifornijskich brzoskwiń. Do tego wino białe i pół buteleczki szampana, a na zakończenie wyśmienita kawa „po terecku" i papierosy egipskie. Trudno chyba o lepsze jedzenie wśród dzikiej dżungli sudańskiej.

Assad zapalił nam świecę, oprawioną w ogrodowym lampionie. Rozmawiamy sobie wesoło o naszych planach na przyszłość, przyglądając się z zachwytem wspaniałemu pożarowi dżungli, który teraz w całej pełni zapłonął. Hrabia każe zawołać shikarich na zwykłą, poobiednią „radę wojenną". Stary Idris, Abdallach i Mohamed zasiadają w kucki koło naszego stolika i rozpoczyna się badanie przy pomocy tłómacza, którym jest zwykle służący Ahmed, mówiący doskonale po angielsku, lub stary Szaja, władający biegle francuskim językiem. Według powziętego planu jutro rano każdy z nas wyruszy osobno, wziąwszy ze sobą shikarich, pachołków i wielbłąda pod żywność, wodę dla ludzi i zwierząt, a ewentualnie pod zabitą zwierzynę.

Ponieważ wstać trzeba wcześnie, więc zapisawszy wrażenia w dzienniku, który obaj skrupulatnie prowadzimy, już o 8-ej kładziemy się do łóżek: Hrabia w namiocie, ja tylko pod przykryciem mego mustikera, przez który nawskroś widać nawet gwiazdy na niebie.

Głęboko wryły się w mej pamięci te cudne noce sudańskie, jak zresztą cała ta wyprawa, pełna wrażeń nowych, a uroczych.

Wkoło naszych łóżek palą się jaskrawe ognie, a przy nich grupy Arabów i murzynów, zajętych spożywaniem wieczornej strawy lub wesoło gwarzących z sobą. Niekiedy między nimi wszczyna się sprzeczka — najniewinniejsza zresztą, ale pozornie przybierająca tak groźny charakter, że nieświadomy rzeczy mógłby nawet krwawy epilog przewidywać. Gdy się ta kłótnia zbytnio zaostrza, rozlega się głos Szai, który chwilowy spokój zarządza. Wielbłądy ułożyły się do spoczynku i spokojnie żują spożytą paszę; tylko czasami który z nich zaryczy strasznie, niby lew groźny: osły perjodycznie rozpoczynają swój koncert. A od rzeki dolatuje gwar daleki żórawi i głos jakiś dziwny, niby wołanie ludzi o pomoc...*).

---

*) Zdaje się, że głos ten wydaje gatunek orła bielika *(Haliaetus vocifer)*.

Słucham więc tego zmieszanego zgiełku, a myśl moja biegnie do kraju, do drogich mi osób, tam daleko, o tysiące wiorst... Nademną czyste, wyiskrzone niebo, migocze miljonami gwiazd: w samym zenicie wspaniały Orion, tam Plejady, ku północy tuż nad horyzontem Wielka Niedźwiedzica, niby wóz ze złamanym dyszlem, do góry zwróconym. Krzyż Południowy jeszcze nie wszedł...

Szybko sen morzy znużone powieki, pogrążając ciało moje w sennem znieczuleniu. Zasypiam tak mocno, że gdy się obudzę, zda mi się, że ledwie parę minut przespałem, a tu już w obozie ruch ranny się rozpoczyna; ludzie ognie podniecają i słychać urywane rozmowy. Od strony dżungli dochodzi potężne stękanie lwa, przytłumione, a jednak tak groźne, że mimowoli respektem przejmuje duszę naszą. Budzę Hrabiego, bo już pora wstawać, i obaj słuchamy tego wspaniałego koncertu.

W dalszym ciągu naszej wyprawy nieraz jeszcze słyszałem z obozu ryk lwa i zawsze sprawiał on na mnie silne wrażenie, jakby mieszaninę zachwytu i poszanowania. Od dziecka lubiłem przyglądać się lwom, choćby nawet w menażerjach lub ogrodach zoologicznych. Niepospolity majestat tego zwierzęcia przykuwał wzrok mój magnetyczną siłą. Tak samo i ryk jego potężny, rozlegający się wśród ciszy nocnej, czyni, że go słuchamy z zachwytem, o ile znajdujemy się we względnem bezpieczeństwie.

O 5-ej rano wstaliśmy, a po całkowitem umyciu się i wypiciu rannej herbaty, przygotowaliśmy się do wyprawy — każdy na swoją rękę, jak to wyżej zaznaczyłem. Ja wziąłem z sobą obu moich shikarich — Mohameda i Ibrahima, a nadto dwóch młodych Arabów, którzy się do nas w Sendzie przyłączyli. Na wielbłąda naładowano zapas wody, oraz koszyk z żywnością. Towarzyszył mi też Stefan, uzbrojony w śrótówkę kaliber 12-y, gdy dla mnie wzięto mannlichera i cal. 10 na wypadek spotkania ze słoniami lub bawołami. Szliśmy bowiem, jak to mówią „na podumajkę", a możliwość spotkania grubego zwierza nie była bynajmniej wykluczona. Dla mnie na wypadek znużenia prowadzono moją szpakowatą kobyłę, dla Stefana — osiołka.

Wyruszyliśmy z obozu w chwili, gdy rąbek czerwonego słońca wynurzał się z za horyzontu, zatem o godzinie 6-ej mniej więcej, a przebywszy łąkę, wkroczyliśmy w dżunglę, kierując się przeważnie od rzeki, to jest, jak w tem miejscu, trzymając się przeważnie kierunku południowego, a niekiedy zachodniego. Od łąki dżungla poprzerzynana dość jest głębokiemi jarami, któremi zapewne spływa woda w porze deszczów. W tej części natrafiamy

na większe drzewa, a nawet na boababy, wśród których rośnie wysoka trawa. Po jarach i dolinkach rosną palmy wachlarzowe, zwykle bezpienne, o wielkich, sztywnych liściach, które starannie omijać należy, aby zbytniego szumu w marszu nie sprawiać. Tej to przyrzecznej części lubi się trzymać lew i pantera, gdyż gęsta i wysoka trawa lub nieprzebyte krzaki stanowią dla nich doskonałe, dzienne schronienie.

Wydostawszy się z pasa przyrzecznego, wkroczyliśmy na teren, jak stół, równy, pokryty charakterystyczną dla tych okolic dżunglą. Są to niewysokie, dość rzadko rozsiane drzewa, przeważnie akacjowe, a między niemi trawa wysoka do pasa, lub wyżej, koloru słomy, prawie biała. Trawa ta w znacznej części podeptana przez grubego zwierza, a ścieżki, niby ludzkie, przecinają dżunglę we wszystkich kierunkach, — przeważnie jednak biegną od północy na południe, to jest od rzeki w głąb puszczy.

Zbieracz gumy.

Cienia w dżungli prawie niema, bo drzewa rosną zbyt rzadko, a nadto drobnolistne korony przepuszczają na wskroś masę światła słonecznego. Przewagę stanowi tu pewien gatunek akacyj (zapewne *Acacia nilotica?)*, o korze prawie tak czerwonej, jak koral. Z tego to właśnie drzewa Arabowie sudańscy otrzymują gumę arabską, która stanowi jedno z największych źródeł zbytu w Sudanie. Ludzie nasi w marszu zbierali większe kawałki tej żywicy i jedli ją z apetytem, a nawet mnie ją nieraz ofiarowywali, lecz sprobowawszy raz tego przysmaku, dziękowałem im stale, znajdując go równie mdłym, jak żywicę naszych drzew owocowych.

Trawa dżunglowa, jak to nadmieniłem, bywa różnej wysokości: do pasa, do ramion, a miejscami może się w niej ukryć jeździec wraz z koniem. Stosowna do tego bywa i jej grubość, która niekiedy dochodzi do grubości trzciny stawowej. Trawa

taka pod naciskiem stóp ludzkich łamie się z łatwością, a kawałki jej, padając, wydają dźwięczny odgłos, jakby kawałki szkła tłuczonego.

Odbiegłem na chwilę od przedmiotu, aby wam dać pojęcie o charakterze dżungli nad brzegami Nilu Niebieskiego, gdyż to wam uprzytomnić może warunki, w jakich się tam poluje. Zanim jednak wrócę do mej wycieczki, słów kilka dorzucę o wypaleniskach, jakie się co krok tu spotyka.

Krajowcy zapalają dżunglę, aby swe pastwiska użyznić, a ponieważ wszystkie osady zgrupowane są wyłącznie na wybrzeżach Nilu, więc i wszystkie pożary od rzeki się zaczynają i biegną w kierunku wiatru, który w porze suchej dmie stale z północy na południe, — ten więc kierunek posiadają wszystkie bez wyjątku wypaleniska. Szerokość ich i długość zależne są od siły wiatru, im bowiem wiatr silniejszy, tem pożar węższym pasem, lecz szybciej naprzód się posuwa, i przeciwnie. O zachodzie słońca wiatr prawie zupełnie ustaje i dlatego pożar w nocy zamiera.

Widzimy więc, że wszystkie wypaleniska w dżungli mają kierunek od północy ku południowi, — różnej długości i szerokości. Gdy się w głąb puszczy o kilka godzin drogi zapędzimy, już tam wypalenisk nie spotkamy.

Pożar niszczy doszczętnie trawę i drobniejszą roślinność, stanowiącą podszycie dżungli, większe jednak drzewa ostać mu się mogą, cierpią tylko na tem, że wskutek osmalenia rozwój ich częściowo wstrzymanym zostaje. Według zdania Edwarda Foa, tu szukać należy przyczyny, dlaczego drzewa dżunglowe są karłowate i pokrzywione.

Horyzont w dżungli jest w różnym stopniu ograniczony. W miejscach, gdzie pożar nie przeszedł i trawa rośnie w całej pełni, ledwie na kilka kroków przejrzeć można, gdy przeciwnie — na wypaleniskach lub miejscach więcej zdeptanych, wzrok nasz sięga między rzadko stojącemi drzewami na kilkaset kroków. Względnie też do tego myśliwy stosuje środki ostrożności.

W takiej to okolicy i w takich warunkach zrobiłem pierwszą moją wycieczką myśliwską. Porządek marszu był następujący: przodem jechał konno Mohamed, jako główny kierownik wycieczki; za nim szedłem ja, mając w ręku mannlichera, potem Ibrahim, niosąc cal. 10, dalej Stefan, chłopcy z naszemi wierzchowcami, a za nimi Abdallah — sudański murzyn z plemienia Dinka — prowadził wielbłąda z jukami, pozostając o paręset kroków w tyle, aby zbytnim szelestem nie płoszyć zwierzyny.

Tropy słoni spotykaliśmy na każdym kroku, a nawet przeważnie jechaliśmy ścieżkami, wydeptanemi przez te olbrzymy; rozrzucony jednak tu i owdzie pomiot pochodził najmniej z przed trzech albo czterech dni. Te pozostałości służą shikarim za wskazówkę, jak dawno zwierzyna przeszła. Rozłamując pojedyńcze grudy, określają z największą dokładnością, jak dawne jest przejście tych zwierząt. Nadto kierują się porzuconemi tu i owdzie gałązkami, pościnanemi przez słonie, których mniejsze lub większe uschnięcie stanowi pewną wskazówkę co do daty przejścia zwierzyny. Same odciski stóp lub racic są mniej wydatne na tropach z dnia poprzedniego, gdyż wiatr je w części zanosi lekkim pyłem dżunglowym, zacierając do pewnego stopnia ostre kontury.

Po parogodzinnym marszu Mohamed zatrzymał konia, wskazując mi odcisk jakby olbrzymich racic, bardzo wydłużonych i ostrym szpicem zakończonych. Były to świeżutkie tropy żyrafy. Chciał mnie prowadzić niemi, lecz odmówiłem, gdyż żyrafa w niektórych dystryktach Sudanu podlega absolutnej ochronie, a do takich liczył się kraj, przez nas odwiedzany. Byłbym się zdecydował iść za tropem, gdybym miał jaką taką szansę dogonienia zwierza, którego sam widok byłby mnie zadowolił. Lecz żyrafa należy do najostrożniejszych w świecie zwierząt, a przytem wędruje szybko i daleko, zapuszczając się w głąb dżungli jeszcze dalej, niż słonie. Nie chciałem więc tracić czasu dla bardzo niepewnej szansy ujrzenia tego ciekawego zwierzęcia.

Stadka arielów *(Gazella Soemmeringi)* spotykaliśmy kilkakrotnie, lecz żadne z nich na jaki taki strzał zejść się nie dało. Ariel sudański jest to „aul" Somalisów, tylko odeń nieco mniejszy, i dlatego uchodzi za odmianę lokalną, oznaczoną przez zoologów nazwą *typica*, gdy rasa somalijska zwie się *berberana*.

Ariel jest to antylopa wielkości daniela, pięknej, płowej barwy, tylko czoło ma czarne, a zad i spód ciała czysto białe. Obie płci noszą rogi, dochodzące u samców do 16 cali angielskich długości, mierząc ich krzywiznę. Rogi są lirowato wygięte i końcami ku wewnątrz zwrócone.

Ariele, spostrzegłszy ludzi, ruszają niekiedy z kopyta; częściej jednak odchodzą stępa, zatrzymując się od czasu do czasu, aby ciekawie popatrzeć na przedmiot ich niepokoju; to znów ruszą kłusa, a przebiegłszy kilkadziesiąt lub więcej kroków, przystają.

Dlatego, mając czas do dyspozycji i zachowując środki ostrożności, łatwo zejść na możliwy strzał (100 do 200 kroków)

prawie każde dostrzeżone stadko lub pojedyńcze sztuki. Należy tylko iść z dobrym wiatrem, czyniąc jaknajmniej szelestu i kryjąc się w trawach lub za krzakami.

Nie uganiałem się też za arielami, bo mi chodziło o spotkanie z grubszym zwierzem, jeśli nie ze słoniem lub bawołem, to przynajmniej z „aborufem" *(Hippotragus equinus)*, antylopą wielkości prawie konia, której świeże tropy kilkakrotnie spotykaliśmy. Gdy jednak spostrzegłem o 100 kroków stojącą pojedyńczą sztukę ariela, nie wytrzymałem. Zwierz stał na sztych, zatem w pozycji dla strzelającego niewygodnej; to też pierwsza kula chybiła. Ariel jednak nie ruszył się, pilnie nam się przyglądając. Szybko zmieniłem ładunek z magazynu i drugą kulą położyłem na miejscu nie dość ostrożnego zwierza.

Trudno jest opisać radość moich ludzi na widok padającej sztuki. Biegli zawsze na wyścigi, wykrzykując z zapałem: „ Kwois al hakim!" — roś w rodzaju „wiwat doktór!" — nazywano mnie bowiem w obozie doktorem dlatego, żem ludziom całej karawany aplikował lekarstwa, dając im na przeczyszczenie, to znów chininę, lub bandażując rany i zasypując je jodoformem.

I w tym wypadku, ledwie strzelona sztuka padła, już moich czterech Arabów było na niej, podrzynając zwyczajem mahometańskim gardło, aby krew obficie spłynęła. Przystąpiono też zaraz do patroszenia i gdy z drgającego jeszcze ciała wyjęto wątrobę, krwią ociekającą, wnet ją na kawałki pokrajano i z największym apetytem spożyto. Ten sam los spotkał żołądek, z którego ci ludzie, chciwi mięsa, ledwie nieco nożem zawartość zeskrobali. Wstrętny ten widok przywiódł mi na myśl sceny kanibalizmu... Później sceny te powtarzały się tak często, żem się do nich przyzwyczaił.

Patroszenie i troczenie antylopy do wielbłąda zajęło nam blisko pół godziny czasu, poczem ruszyliśmy dalej. O godzinie 10-ej, zatem po czterogodzinnym blisko marszu, zatrzymałem się, aby dać ludziom wypocząć i spożyć skromne śniadanie.

Mimo rannej godziny, pragnienie dokuczało nam bardzo; napiliśmy się więc wody, a następnie Stefan rozpakował kosz z żywnością. Mieliśmy baraninę i pentarki na zimno, makrelki w oliwie, chleb, a do popicia herbatę, zaprawioną troszką limoniady i koniaku. Resztki niedojedzonego śniadania oddaliśmy shi-

karim, którzy nietylko pentarki wraz z kośćmi spożyli, ale nawet sporą goleń od baraniny dokumentnie schrupali. Można im zębów pozazdrościć.

Po półgodzinnym postoju dałem sygnał do odwrotu. Teraz zdecydowałem się strzelać do wszelkiej zwierzyny, gdyż nie

było prawie żadnej szansy spotkania grubego zwierza. Jakoż niedaleko od miejsca naszego wypoczynku spostrzegliśmy parę arielów, stojącą o jakie 120 kroków. Wybrawszy grubszą sztukę, strzeliłem do niej, kładąc trupem na miejscu. Po wypatroszeniu jej (wątróbka i żołądek znów zniknęły z niesłychaną szybkością) ruszyliśmy dalej.

W tej odwrotnej drodze ja jechałem na koniu, a Stefan na osiołku, gdyż skwar był silny i nużący. Nie wiem, czyśmy ujechali godzinę od miejsca zabicia ostatniej sztuki, gdy Mohamed wskazał mi stadko arielów — sztuk może 10 lub 12 — stojące w odległości 200 kroków. Zsiadłem tedy z konia i wziąwszy mannlichera, zacząłem je podchodzić, lecz płochliwe zwierzęta ruszyły stępa z miejsca i mimo środków ostrożności,

Pięć arielów jednego dnia.

jakie starałem się zachować, utrzymywały stale tę samą odległość około 200 kroków. Zniecierpliwiony wreszcie, wybrałem chwilę, gdy się zwierzęta w gęstą kupę między drzewami zbiły i strzeliłem do zadów. Rezultat był niespodziewany, gdyż po strzale pozostały dwie sztuki, z których jedna miała głęboką obcierkę po zadzie, a druga dostała kulę w sam kark.

Radość moich ludzi była nie do opisania. Tym jednak razem zjedli tylko same wątróbki; żołądki zaś po oczyszczeniu wypchali kiszkami i tak spakowane przytroczyli do wielbłąda, chowając widocznie owe specjały na potem.

W dalszym marszu spotkaliśmy jeszcze w jednem miejscu świeże tropy żyrafy, a w dwóch innych — tropy „katamburo" *(Cobus defassa)*, antylopy, dorównywającej wielkością sporemu jeleniowi parkowemu.

Słońce tymczasem prażyło nas swemi pionowemi promieniami. Śpieszyłem też do obozu, utraciwszy już nadzieję spotkania zwierzyny, gdy naraz Mohamed pokazał mi znów parę arielów w odległości jakich 150 kroków. Chodziło mi o rekord; miałem już cztery sztuki zabite; a może jeszcze i piątą uda się zastrzelić... Zsiadłem więc szybko z konia, a ponieważ antylopy stały bokiem, wolałem tedy strzelać na dalszy dystans w tej dogodnej pozycji, niż ryzykować podchodzenie. Strzeliłem na schwał z miejsca i spostrzegłem, że sztuka znak dała, ruszyła jednak z kopyta. Pobiegliśmy na trop i spostrzegliśmy dość obfitą farbę. Ibrahim i Joussouf (Józef), jeden z dwóch młodych Arabów, puścili się kłusem po tropie; ja pobiegłem za nimi, lecz pędzili tak szybko, żem wydążyć nie mógł i po chwili wróciłem do koni.

Nie upłynęło 5 minut, gdyśmy usłyszeli odległe wołanie. Był to niechybny znak, że moi chłopcy dosięgli antylopę. Ruszył też ku nim konno Mohamed i po 10 minutach wrócił, wioząc na zadzie konia przytroczoną sztukę. Miała ona kulę przez szynkę — bez naruszenia kości. Nie mogłem się nadziwić, jak ci moi chłopcy mogli tak szybko dojść zwierza z raną, względnie bardzo lekką. W Sudanie z paroma takimi biegusami obejść się można bez psów gończych i tropowców.

Zadowolony z rezultatu, obładowany łupami, wróciłem o godzinie 3-ej do obozu, gdzie już zastałem Hrabiego, który mnie też niezwłocznie fotografował, siedzącego przy tak obfitej zdobyczy. Wybrawszy najpiękniejszego kozła, obciąłem mu głowę wraz z szyją i do kolekcji troefów spreparowałem, mając do pomocy wspomnianego tylko co Joussoufa,

który od owego dnia został mianowany moim przybocznym „skinner'em"*). Chłopak ten szybko wyuczył się nowego rzemiosła i w dalszym ciągu wyprawy doskonale mnie w niem wyręczał.

Hrabia, wracając z wycieczki, wpadł niedaleko obozu na świeże tropy lwa; naradziwszy się przeto z Idrisem i Abdallą, rozkazał im zrobić zeribę i po wczesnym obiedzie udał się na miejsce zasadzki w towarzystwie Idrisa. Lew w samej rzeczy kręcił się w nocy około obozu, dając nam znać o sobie, swym przejmującym rykiem; do zeriby jednak nie podszedł.

O świcie wrócił Hrabia i zaordynował wymarsz na godzinę 6-tą. Szybko naładowano wielbłądy, konie i osły posiodłano, a o wschodzie słońca ruszyliśmy do następnego etapu, gdzieśmy stanęli o godzinie 4-tej po południu, spotkawszy po drodze dwukrotnie tropy lwów. Nadto ludzie nasi widzieli poraz pierwszy „tetela" *(Bubalis tora)*, antylopę wielkości krowy, pokrewną somalijskiej *Bubalis Swaynei*.

---

*) Od wyrazu *skin*, po ang. skóra. *Skinner* dosłownie znaczy kuśnierz, lecz w Afryce „skinnerami" nazywają się krajowcy, umiejący preparować skóry do wypychania.

niente

ROZDZIAŁ VII.

El-Harun. — Spotkanie z Aborufami. — Phacochery. — Katamburo. — Lew, czy pantera. — Szarża dzika. — Na tropach bawołu. — Słoń i telegraf. — Dwanaście strzałów do jednej sztuki.

Miejsce, wybrane na obóz, zwie się *El-Harun*. Jest tu niewielkie jeziorko w starem łożysku Nilu, a przy niem pod ścianą dżungli kilka szałasów, otoczonych zeribą. Krajowcy z arabskiego plemienia Kenana trudnią się prawie wyłącznie rybołówstwem. Namiot rozbiliśmy na łące pomiędzy jeziorkiem a zeribą krajowców.

Następnego ranka wyruszyliśmy o 6-ej na wspólną wyprawę pod wodzą naszych shikarich, wziąwszy z sobą wielbłąda z prowiantem i wodą. Szliśmy prawie ciągle w kierunku zachodnim, to jest od rzeki, która w tem miejscu płynie z południa na północ. Co krok spotykaliśmy tropy słoni, lecz wszystkie z dni poprzednich. Wreszcie po parogodzinnym marszu łowcy nasi pokazali nam w odległości 200 kroków stado „aborufów" — wielkich antylop, o których niedawno wspominałem. Wśród gąszczów widoczne były tylko szare ich boki. Hrabia prowadzony przez Idrisa, zaczął je podchodzić. Tymczasem Fadil, jakby czując, którędy zwierzęta pójdą, poprowadził mnie na przełaj. Rozległy się dwa, szybko po sobie następujące wystrzały, a potem jeszcze jeden. Fadil puścił się kłusa, a ja za nim i w tej chwili spostrzegłem całe stado, migające w otworach gęstwiny o jakie 200 kroków. Było sztuk 8, czy 10. Pomykały dość wolnym galopem i to mnie zbałamu-

ciło, gdyż w przypuszczeniu, że stado zatrzyma się, nie ryzykowałem na razie zbyt trudnego strzału. Tymczasem antylopy poszły sobie do licha i tyleśmy je widzieli. Było to moje jedyne spotkanie z tym pięknym zwierzem. Później już ich nigdy nie widziałem, mimo że często za tropami chodziłem.

O pół do pierwszej zatrzymaliśmy się, żeby spożyć śniadanie, co też uczyniliśmy z należytym apetytem; poczem ruszyliśmy z powrotem. W paru miejscach spotkaliśmy znowu tropy żyraf, a nawet za jedną z nich puściliśmy się, lecz Idris zgubił

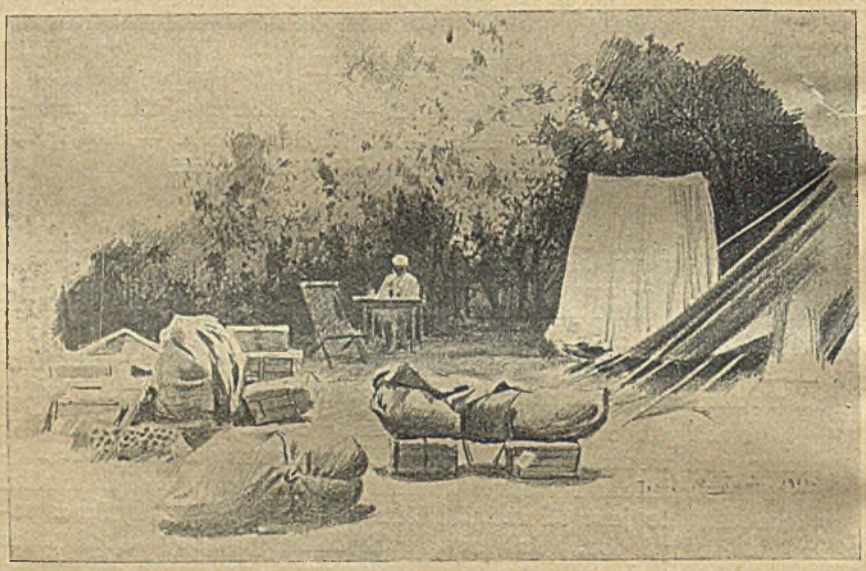

Obóz w El-Harunie.

ślad na twardym gruncie. W jednem miejscu natrafiliśmy na szkielet żyrafy, zjedzonej przez lwa. Mimowoli odtworzyliśmy sobie w wyobraźni tę wspaniałą scenę walki olbrzyma, którego jedyną obroną jest szybkość biegu, z królem krwiożerczym dżungli.

Powrót nasz uwieńczyło jeszcze spotkanie stadka *phacocherów (Phacochoerus aeliani)*, wstrętnie brzydkich dzików

afrykańskich. Było ich 5 sztuk: potężny odyniec, maciora i trzy mniejsze. Stały spokojnie, żerując o jakie 150 kroków; nie podejrzewały widocznie naszej obecności. Zanim jednak zdecydowaliśmy się na strzały, dziki nas zwietrzyły i szybko zniknęły w wysokich trawach... Odyniec w ucieczce wznosi ogon prostopadle.

Ponieważ kilkakrotnie wrócimy jeszcze w toku naszego opowiawania do tej zwierzyny, nie od rzeczy będzie obznajmić z nią czytelników naszych.

Phacocher posiada łeb monstrualnie brzydki, płaski, z oczyma, jakby na guzach osadzonemi. Pod oczyma znajdują się wielkie brodawki skórne, zwiększające jeszcze brzydotę tego dzika. Kły wierzchnie są do góry zagięte i dochodzą niekiedy do 25 centymetrów długości; dolne — podobne są do kłów naszego dzika i równie, jak u niego, ostrzą się na górnych. Całe ciało pokryte bardzo rzadką szczeciną, tylko na karku i grzbiecie rośnie długie, rudawe pióro, tworzące jakby rodzaj grzywy.

Stare odyńce dochodzą wysokości 1 metra 15 cent. w kłębie, co przy potężnych kłach i wrodzonej złośliwości czyni z nich bardzo niebezpiecznych przeciwników. To też krajowcy boją się ich nie mniej, jak lwa lub bawołu. Zwą go po arabsku „sanhir" lub „haluf" (świnia).

O godzinie 4-ej po południu wróciliśmy do obozu. Przed wieczorem wyszły na łąkę w znacznej od nas odległości jakieś antylopy, które krajowcy nazywają „baszmat". Hrabia podchodził je z Fadilem, lecz zbyt były ostrożne, aby się na pewny strzał zejść dały. W następstwie okazało się, że były to znane antylopy abisyńskie *(Cervicapra bohor)*.

Na wieść o naszem przybyciu zjawiło się w naszym obozie pięciu Arabów z niezbyt odległej wioski Dissy. Wszyscy byli mniej więcej czarni, chociaż rysy ich zdradzały silną domieszkę krwi arabskiej. Dosiadali rącze i kształtne konie, a uzbrojeni byli w długie dzidy i miecze derwiszowskie. Przywódca ich, Mohamed, wysoki i szczupły Arab, typu murzyńskiego, oświadczył nam, że wszyscy doskonale znają sposoby polowania na słonie i bawoły — i wyraził ochotę przewodniczenia nam w wycieczkach na tę niebezpieczną zwierzynę, gwarantując, że nas doprowadzi zarówno do słoni, jak i do bawołów. Hrabia zgodził się na propozycję i tym sposobem nasza karawana powiększyła się czasowo o pięciu ludzi.

19-go lutego wyruszyliśmy z obozu, jak zwykle wraz ze wschodem słońca. Mówiono nam potem, że wkrótce po naszym

odjeździe, zanim jeszcze karawana obóz opuściła, dwa lwy rozpoczęły wspaniały koncert na przeciwległym brzegu rzeki.

Siedmiu shikarich, jadących przodem, robiło wrażenie małego oddziałku derwiszów; myśmy posuwali się za nimi w zwykłym ordynku. Co chwila spotykaliśmy ślady słoni: olbrzymie kupy pomiotu, drzewa połamane lub pochylone, ścięte gałązki akacji i t. p. Niedaleko od obozu łowcy wskazali nam stadko arielów. Strzelałem do nich, lecz dla znacznej odległości raniłem tylko jedną sztukę. Nieco dalej Idris zatrzymał znów konia. Tym razem Hrabia poszedł próbować szczęścia i ku wielkiej naszej radości zabił wspaniałego „waterbok'a" *(Kobus defassa)*, którego krajowcy zwą „katamburo". Jest to antylopa wielkości jelenia parkowego, tylko na krótszych nogach. Cała pokryta jest szerścią szaro - brunatną, a długość rogów wynosi 30 cali angielskich.

Odciąwszy głowę do spreparowania, ruszyliśmy dalej, gdy część Arabów naszych została na miejscu, aby zabitą sztukę poćwiartować i na wielbłąda ułożyć.

Wcześnie, bo o pół do dziesiątej, przybyliśmy do miejscowości Abkuk, gdzie mieliśmy zamiar zabawić dni parę. Obóz rozbiliśmy na brzegu łąki pod ścianą dżungli, wybierając kilka cienistych drzew, jako ochronę od palących promieni słońca. Wkrótce nadciągnęła nasza karawana. Bohos sporządził śniadanie, a ja tymczasem wtajemniczałem Joussoufa w arkana sztuki preparowania. Po śniadaniu, około godziny 2-ej, wyruszyliśmy na polowanie — każdy w swoją stronę. Ja wziąłem Mohameda, Ibrahima i Joussoufa, a jako broń — mannlichera, śrótówkę i ptaszniczkę.

Opuściliśmy obóz w chwili największego upału. Żar był rzeczywiście ogromny, gdyż wiatr nie przewiewał pośród gęstej dżungli. Posuwaliśmy się zwolna, mając wszędzie horyzont ograniczony do 50, a najwyżej do 100 kroków, dzięki dość gęsto rosnącym drzewom i wysokiej, nie wszędzie podeptanej trawie. Przodem szedł Mohamed, niosąc mego mannlichera, za nim ja z laską w ręku, a dalej Joussouf z Ibrahimem.

Uszliśmy tak parę wiorst od obozu, gdy naraz Joussouf chwycił mnie z tyłu za rękę, pokazując coś przed nami. Ledwiem miał czas rzucić okiem w tę stronę, gdy z pod dużego drzewa o 20 kroków przed nami pomknął wielki jakiś drapieżnik, tak prawie duży, jak zabita przez nas lwica — i w jednej chwili zniknął nam w trawach. „Lew?" — zapytałem Mohameda. „Ai wa" — odpowiedział.

Nabiwszy śrótówkę 3 zerami, gdyż innej rezerwy nie miałem, i wziąwszy do rąk mannlichera, poszedłem za Mohamedem na trop. Tu jednak okazało się — tak przynajmniej twierdził mój shikari — że była to bardzo duża pantera, a nie lew, jak mi to zrazu oświadczył. Puściliśmy się wolnym krokiem za tropem, lecz pośród gęstej i wysokiej trawy tropienie było niełatwe, a przytem zwierz ustępował widocznie. Po kwadransie śledzenia shikari zgubił tropy; poszliśmy więc dalej szukać szczęścia.

Wkrótce też Mohamed wskazał mi stado pentarek. Nie mając nadziei dnia tego na grubszego zwierza, zdecydowałem się strzelać do nich i już zmieniłem ładunek w śrótówce na Nr. 1, gdy naraz Mohamed szeptem dał mi znak, wskazując jednocześnie ręką przed siebie. Zdziwiony, co by to być mogło, zwróciłem oczy w tym kierunku i spostrzegłem nie dalej, jak o 40 kroków, dużego *phacochera*, stojącego w trawach bokiem do nas bez najmniejszych oznak przestrachu. Zmieniłem szybko śrótówkę na mannlichera i wziąłem na cel potwornego dzika; mierząc jednak, czułem, że go biorę na miękkie, a mimo to strzału mego nie skorygowałem. Zdarzało mi się to nieraz w mojej karjerze myśliwskiej i nigdy nie umiałem sobie wytłómaczyć psychologicznej przyczyny tych błędów, które jedynie chyba gorączką myśliwską objaśnić sobie należy.

Po strzale zwierz pomknął, a ja puściłem się za nim, szybko zmieniając w czasie biegu ładunek z magazynu. Dzik migotał mi tylko pośród traw, wstrzymałem więc kroki — i strzeliłem powtórnie, lecz i tym razem kula go nie ułożyła. Biegłem więc za nim, bo czułem, że pierwszą kulę mieć musi napewno; jednocześnie wsunąłem nowy ładunek do lufy, gdy *phacocher* zatrzymał się, stając bokiem do mnie w odległości 60 kroków. Tym razem spokojnie już zmierzyłem na komorę i z radością spostrzegłem, że zwierz w strzale rulował i tłukł się na miejscu w przedśmiertnej agonji. Puściłem się doń pędem, zmieniając jednocześnie ładunek, lecz w chwili gdym się znajdował o jakie 30 kroków, zwierz raptem zerwał się z głową zadartą, z ogonem, jak struna, do góry wzniesionym, w szalonych susach ruszył wprost na mnie. W mgnieniu oka stanąłem i szybko zmierzywszy — wypaliłem. Dzik ani się stropił, lecz sadził wprost na mnie. Widząc, że już nie zdążę zmienić ładunku, rzuciłem sztucer na ziemię i *nolens-volens* chwyciłem się rękoma za niskie gałęzie akacji, aby się do góry podciągnąć. Toż samo uczynili moi ludzie, którzy biegli za mną w nieznacznej odległości.

Opatrzność jednak uchroniła mnie od tej sromoty, abym polując na szlachetną zwierzynę, jak lwy i słónie, miał uciekać na drzewo przed podłym dzikiem.

Rozjuszony *phacocher* gonił już ostatkami sił i padł w odległości sześciu kroków ode mnie. Starał się jeszcze podnieść, lecz napróżno.

W jednej chwili Ibrahim wraz z innymi był przy mnie, a szarpiąc mnie za rękę, krzyczał: „Strzelaj, strzelaj!". Dałem do zrozumienia, że strzał tu całkiem zbyteczny, lecz gdym do dzika chciał podstąpić, Mohamed i Ibrahim chwycili mnie za ręce i nie puścili. Dopiero gdy zwierz przestał się poruszać, uwolniłem się od nich i zbliżyłem się, żeby zdobycz obejrzeć.

Był to czteroletni odyniec z doskonale rozwiniętemi, dolnemi kłami, które były równie ostre, jak u naszego dzika. Górna jednak para, podkręcona do góry, wyrosła dopiero do połowy na zewnątrz.

Przy egzaminie strzałów okazało się, że pierwsza kula trafiła na miękkie, jak się tego spodziewałem. Drugi strzał, do uciekającego w trawach — chybiłem; trzecią kulę wpakowałem na komorę i ta zadecydowała o losie *phacochera;* czwarta wreszcie, strzelana w szarży, strzaskła przednią nogę powyżej kolanka.

Moi ludzie przystąpili natychmiast do ćwiartowania zabitej sztuki. Skórę, starannie obciągnięto, gdyż Arabowie cenią

ją bardzo, jako przydatną na różne wyroby, czem się różnią od Somalisów, którzy, jako prawowierni mahometanie, nawet się nie dotykają tego nieczystego zwierzęcia.

Zabraliśmy tylko skórę, łeb — jako trofeum — i obie szynki. Resztę wciągnięto na drzewo — przez psotę, aby lew, czy hjena dostać się doń nie mogły. Natomiast pantera, doskonale łażąca po drzewach, łatwo mogła skorzystać z tej nadspodziewanej śpiżarni.

Była godzina 4-a, gdyśmy te wszystkie operacje ukończyli, a nie wiedząc dokładnie, jak daleko jesteśmy od obozu, postanowiłem wracać, żeby przed 6-ą być na miejscu. Jakoż nieco po 5-ej ujrzeliśmy nasz tabor. Hrabiego jeszcze nie było. Wrócił dopiero o zachodzie słońca pod świeżem wrażeniem, jakiego doznał, spotkawszy po raz pierwszy w życiu stado bawołów. Strzelał do nich na jakie — 100 kroków, lecz wśród wysokich traw nie mógł odróżnić dokładnie profilów pojedyńczych sztuk. Jeden z bawołów uszedł, silnie postrzelony. Tropiono go przez 1½ godziny, lecz bez skutku. W Afryce postrzałka trudno dosięgnąć, gdyż wskutek niezwykłego gorąca, farba szybko ścina się na skórze i w małej tylko ilości okapuje na ziemię. Mimo to Hrabia postanowił dnia następnego śledzić jeszcze za postrzelonym bawołem — ze słabą zresztą nadzieją skutku.

Nad ranem dnia 20 lutego, obudziwszy się, usłyszeliśmy ryk lwów w pobliżu obozu. Była ich widocznie para w niewielkiej od nas odległości, bo się konie i inne zwierzęta płoszyły, okazując przestrach rżeniem, chrapaniem lub rykiem. Przyzwyczajeni już zresztą do tego codziennego prawie koncertu, mało zwracaliśmy na to uwagi.

Pierwsze brzaski dnia zastały nas już na nogach, a o wschodzie słońca byliśmy obaj gotowi do wymarszu.

Jakkolwiek disseńscy Arabowie, postawieni na czatach, dali nam znać, że widzieli słonie w nocy przy wodopoju, Hrabia odłożył polowanie na tego grubego zwierza do innej okazji, mając na widoku dalsze śledzenie postrzelonego bawołu, a ewentualnie nowe spotkanie z tą tyle upragnioną zwierzyną. Rozdzieliliśmy się na dwie partje. Tym razem nie brałem ze sobą wielbłąda, lecz natomiast kilku ludzi do niesienia zapasów wody i żywności.

Poszedł też ze mną Stefan, dla którego te wycieczki stanowiły miłą rozrywkę, choć zazwyczaj uwieńczały się w jego osobie jedynie zabiciem kilku pentarek.

Jakolwiek rozeszliśmy się z Hrabią w różnych kierunkach, nie upłynęło kwadransa od chwili opuszczenia obozu, gdyśmy się z nim wśród dżungli spotkali.

— Chwilę przedtem — rzekł mi — pomknęły przed nami dwa lwy. Moi ludzie widzieli je na oko. Jeden ma być bardzo duży.

W samej rzeczy, na tropach znać było, że jeden z lwów przechodził zwykłą miarę. Rozeszliśmy się znowu: Hrabia szedł po tropach, a my okrążaliśmy bokiem, aby ewentualnie drapieżnikom przeciąć drogę. Zelektryzowało mnie też wkrótce potem oświadczenie Stefana, że widział lwa, pomykającego w trawach na lewo od naszej drogi. Mohamed stanowczo oświadczył, że była to gazella, lecz Stefan uparcie obstawał przy swojem, twierdząc, że widział doskonale kształty zwierzęcia, a nawet ogon. Aby więc nie mieć sobie nic do wyrzucenia, poszliśmy w rozsypkę po dżungli, pilnie wypatrując, czy wśród traw nie ujrzymy groźnego nieprzyjaciela. Mohamed tak był pewny swego, że z nami iść nie chciał. Obeszliśmy tak spory szmat dżungli i po kwadransie wróciliśmy do shikarego, aby dalszy marsz rozpocząć.

Co chwila spotykaliśmy tropy bawołów, aż wreszcie Mohamed wskazał mi świeżutki pomiot tej zwierzyny. W tropach znać było, że jesteśmy na śladzie pojedyńczej, dużej sztuki, zapewne starego byka. Mohamed poprowadził nas niemi, zalecając jaknajwiększe środki ostrożności. Szliśmy wolno i cicho za shikarym, którego sokole oczy badały okolicę. Trzymałem też w ręku cal. 10 na wypadek tak upragnionego spotkania. Po półgodzinnym marszu Joussouf i Stefan mówią mi, że słyszeli głuchy ryk słonia; Mohamed utrzymuje, że to — ryk bawołu.

Wszytko mi zresztą jedno, czy to będzie słoń, czy bawół, gdyż zarówno jednego, jak drugiego, pragnąłbym zabić. Na nieszczęście mamy wiatr bardzo nieprzyjazny, a wysoka i mało wydeptana trawa ogranicza nam horyzont do kilkudziesięciu kroków. Mohamed rzuca więc trop, aby zwierza okrążyć i z dobrym wiatrem podejść. Ten jednak manewr nie udał nam się gdyż doszedłszy do miejsca, skąd głos słyszano, jużeśmy tam zwierza nie zastali: musiał nas usłyszeć lub zwietrzyć i utąpił w głąb dżungli, a świeżego tropu już się nam nie udało podjąć. Tym sposobem po godzinie denerwującego marszu musieliśmy dalszego śledzenia zaniechać.

Dzień ten wogóle był bardzo niefortunny. Oprócz tropów żyrafy nic do śniadania nie spotkaliśmy, nawet mory i ariele wyniosły się gdzieś do licha — i dżungla była niezwykle pustą.

O pół do 10-ej najniespodziewaniej spotkaliśmy się znów z Hrabią. Był to wypadek niezmiernie rzadki, aby rozszedłszy się w różnych kierunkach, spotkać się znowu wśród bezbrzeżnej dżungli. Opowiedziałem Hrabiemu o nieudanem tropieniu bawołu. On mi znów zakomunikował ,że tropił oba lwy przez 1½ godziny, aż wreszcie znudzony, rzucił ślady i błądził po dżungli w poszukiwaniu tropów bawolich. Lwy poszły w kierunku Dissy.

Rozeszliśmy się, a w chwilę potem, znalazłszy trochę cienia, zatrzymałem się na śniadanie, poczem ruszyliśmy z powrotem do obozu, gdzie stanęliśmy w południe. Była to dla mnie jedyna dłuższa wycieczka, z której powróciłem, nie strzeliwszy ani razu.

Hrabiego spotkałem pod samym obozem. Zabił piękny okaz „baszmata" *(Cervicapra bohor)*. Jest to antylopa wielkości dużego rogacza ukraińskiego, z końcami rogów, ku przodowi zagiętemi. Kozioł tylko nosi rogi, gdy koza jest bezrożna. Całe ciało tej antylopy pokrywa dość ostry włos jaskrawo rudej barwy, jaśniejszy na spodzie. Mięso baszmata jest grubowłókniste i w smaku dla europejczyka niepożądane; sudańczycy jednak bardzo w niem gustują.

Baszmaty spotykaliśmy w dość znacznej ilości w Abkuku; przedtem widzieliśmy je na poprzednim etapie w Harunie, a już w Dissie, o parę ledwie godzin marszu od Abkuku, nie spotkaliśmy ich ani razu, mimo że we wspomnianej miejscowości spędziliśmy blisko tydzień czasu.

Zjadłszy śniadanie i wypocząwszy nieco podczas najgorętszych godzin dnia, ruszyliśmy ,każdy w swoją stronę, o godzinie 3-ciej. Wziąłem z sobą czterech ludzi do niesienia broni i wody, gdyż skwar był silny, a obfita transpiracja pobudzała pragnienie. Zwykle mieliśmy z sobą duże manierki, obszyte wojłokiem, który przy wyjściu z obozu maczało się w wodzie. Wskutek parowania zawarta w manierce woda, czy

herbata z koniakiem i cytryną utrzymywała się w stanie względnej świeżości.

Ta popołudniowa wycieczka, z której powróciłem o pół do 6-tej, dała mi tylko jedną gazelkę *mora*. Orpócz tego zestrzelałem jeszcze „baszmata", lecz ten zginął mi w wysokich trawach i mimo pościgu mych dzielnych chłopaków, Ibrahima i Joussoufa, przepadł bez wieści. Natomiast Hrabia wrócił o 6-tej z pięknym okazem starego baszmata.

Wieczorem podczas „rady wojennej" — mój pierwszy shikari, Mohamed, pokazał mi ranę na wielkim palcu prawej nogi. Arabowie sudańscy używają strzemion z bardzo grubego drutu, na których trzymają się tylko wielkiemi palcami nóg. W ten to sposób Mohamed skaleczył się i wskutek rany był prawie niezdolny do marszu. Zaaplikowawszy mu przemycie phenolem Boboeuf'a i przysypawszy ranę jodoformem, chory palec obandażowałem. Niemniej jednak trudno było spodziewać się szybkiego zagojenia, a brak Mohameda mógłby się niekorzystnie odbić na rezultaice moich polowań. To też następnego ranka wziąłem dla niego osiołka, który ewentualnie mógł mi służyć do niesienia zabitej zwierzyny.

Opuściliśmy obóz przed wschodem słońca i poszliśmy zrazu łąką w kierunku południowym. W odległości jakiej pół wiorsty od obozu, ludzie moi wskazali mi pod dżunglą na samym brzegu łąki jakąś wielką antylopę, — raz mówili, że to „tetel" *(Bubalis tora)*, to znów, że „katamburo" *(Kobus defassa)*. Było to w każdym razie moje pierwsze i, niestety, jedyne spotkanie z wielkim gatunkiem antylopy; to też użyłem wszelkich środków ostrożności, aby go na możliwy strzał podejść.

Zwierz stał od nas w odległości mniej więcej 500 kroków i widocznie spostrzegł nas, gdyż zwrócił się przodem i przestał żerować. Między nim, a nami znajdował się wielki, rozłożysty krzak, który obrałem sobie, jako zasłonę moich ruchów, licząc, że z za niego będę mógł wygodnie strzelać. Zostawiłem więc ludzi na miejscu, aby ściągali na siebie uwagę zwierza, a sam chyłkiem zacząłem się podkradać, osłoniony wspomnianym krzakiem. I byłby się ten manewr z pewnością udał, gdyby nie przeklęta para baszmatów, których w wysokiej trawie nie zauważyliśmy. Spłoszone mojemi ruchami, szurgnęły hałaśliwie i pociągnęły za sobą tetela, pozbawiając mnie tej jedynej okazji zabicia wielkiej antylopy.

Ta przedpołudniowa wycieczka nie zaznaczyła się niczem osobliwem. Strzelałem parę razy do baszmatów, lecz bezskutecznie. W końcu zabiłem jednego. W powrotnym marszu

znaleźliśmy na samym rozstaju pod linją telegrafu, biegnącego do Roseires, szkielet wielkiego słonia. Była to niewątpliwie ofiara żyłki myśliwskiej którego z oficerów angielskich, najprędzej pułkownika Smyth'a, „mudira" Roseires.*) W każdym razie dziwne wrażenie robił ów szkielet reprezentanta najdzikszych okolic świata, leżący obok słupów telegraficznych, któreśmy uważać zwykli za oznakę najwyższej cywilizacji.

Mimowoli przyszło mi na myśl, że te kolosy, które do niedawna wałęsały się tutaj stadami, po paręset sztuk liczącemi, ustąpić muszą, mimo ochrony władz, przed postępem cywilizacji europejskiej. Bo słoń, jak i nosorożec, hypopotam, bawół, żubr, bizon lub łoś żyć nie może obok kolei żelaznych i z czasem zniknąć musi z powierzchni ziemi. Żywot tych zwierząt wśród szeregu wieków przedłużyć tylko możemy stosowaniem praw ochronnych, lecz ich nie ustrzeżemy od fatalnej zagłady.

Wróciwszy do obozu około 12-tej w południe, zastałem już Hrabiego z parą pięknych *phacocherów*, które dubletem podczas swej wycieczki położył.

Nie chcąc tracić drogiego czasu, po południu znów wyszliśmy na polowanie, każdy na swoją rękę, jak to zwykle robiliśmy. Błądząc po dżungli, napotkałem tylko dwie pary baszmatów, które jednak do strzału mnie nie dopuściły. Już ku zachodowi słońca, wracając do obozu, wyszedłem na łąkę, gdy ludzie moi pokazali mi w znacznej odległości pojedyńczego baszmata, który widocznie dla żeru dżunglę opuścił i szczypiąc trawę, posuwał się zwolna ku środkowi łąki. Zostawiwszy mych shikarich na brzegu dżungli, zacząłem się do zwierzyny podkradać, korzystając z wysokiej trawy, jaka w tem miejscu rosła. Zwierz tymczasem kierował się ku środkowi łąki, gdzie niższa, zielona trawa widocznie go nęciła. Był jeszcze odemnie o 400 kroków, a ja doszedłszy do czystego miejsca, już dalej nie mogłem ryzykować podchodzenia, więc z tego miejsca strzeliłem. Baszmat nie zdradził nawet najmniejszej oznaki przestrachu, tylko łeb w moją stronę skierował i uszu nadstawił. Strzeliłem powtórnie, potem trzeci raz, a widząc, że kule moje górują, zacząłem brać cieńszą muszkę (*nb.* strzelałem bez lunety, której nigdy nie używałem podczas naszej wyprawy).

Zwierz stał ciągle na miejcsu, zwracając się tylko do mnie raz przodem, to znów bokiem lub tyłem. W ten sposób wystrze-

---

*) Nie należy go łączyć z pułkownikiem Smith'em (przez *i*), mudirem Karkocz, o którym wspominałem uprzednio.

liłem 11 razy — wyraźnie jedenaście razy! — aż w końcu pozostał mi jeden tylko ładunek. Przyszło mi wtedy na myśl, czy zwierz przypadkiem nie jest raniony, gdyż podczas jednego ruchu wydało mi się, że utknął na jedną nogę. Wówczas zdecydowałem się iść ku niemu na czworakach po czystej łące. Baszmat, widząc mnie teraz wyraźnie, zwrócił się frontem, — stał jednak na miejscu. Mając wtedy pewność, że zwierz musi być raniony, zerwałem się i kłusem puściłem ku niemu. Gdym dobiegł na jakie 100 kroków, antylopa ruszyła, utykając silnie i zataczając się, a zrobiwszy kilkadziesiąt kroków, stanęła znowu, zwracając się do mnie bokiem. Wtedy, spokojnie wymierzywszy, strzeliłem po raz 12-ty i nareszcie zwierza powaliłem.

Opisałem cały ten wypadek szczegółowo, gdyż jest to jeden z najciekawszych epizodów myśliwskich, jakie mi się kiedykolwiek zdarzyły. Okazało się bowiem, że jedna z owych 11-tu kul (czwarta lub piąta z rzędu) strzaskała wysoko przednią nogę, lekko po brzuchu „sztrejfowała" i rozwaliła szynkę od wewnątrz; mimo to zwierz nawet znaku nie dał i stał, jak chybiony. Nie ruszył się też, gdym potem jeszcze sześć czy siedem razy strzelał. Ostatnia moja kula, która zwierza położyła na miejscu, trafiła pod sam krzyż, nieco ku tyłowi.

A teraz muszę wytłómaczyć, dlaczego mam pewność, że to czwarta lub piąta, a nie inna kula trafiła. Egzamin ran upewnił mnie że postrzał musiał być dany od frontu; a na sztych właśnie strzelałem czwartą i piątą kulę, gdy poprzednie i następne wypuściłem do boku lub do tyłu.

Zostawiwszy ludzi na miejscu, aby antylopę wypatroszyli, poszedłem sam łąką do obozu, odległego nie więcej, jak o wiorstę drogi. Na zakręcie łąki spotkałem Hrabiego, który usłyszawszy mą kanonadę i przekonany, żem trafił na stado bawołów, szedł mi na odsiecz w towarzystwie shikarich. Wróciliśmy razem do obozu, gdzie już na nas czekał Bohos z gotowym obiadem.

ROZDZIAŁ VIII.

Dissa. — Polowanie na słonie.

Następnego ranka, 22-go lutego, o świcie opuściliśmy Abkuk, kierując się do Dissy, ostatniego etapu naszej wyprawy. Po drodze mogliśmy zauważyć, że roślinność staje się coraz obfitszą, drzewa coraz większe, wachlarzowata palma rośnie coraz gęściej. Klimat też tu coraz wilgotniejszy, gdyż rankami zauważyć nawet można było rosę, czego dotychczas ani razu nie obserwowaliśmy. Miejscami droga prowadziła wśród tak wysokiej trawy, że się w niej jeździec wraz z koniem mógł ukryć swobodnie.

Jechaliśmy w części gęstą dżunglą, w części łąkami, stanowiącemi niewątpliwie dawne koryto Nilu, aż wreszcie po dwugodzinnym, dość szybkim marszu wydostaliśmy się na obszerną równinę, pokrytą od brzegów zeschłą, żółtą trawą, a pośrodku zajętą przez spore jeziorko, w znacznym stopniu zarośnięte. Na brzegach jeziorka pasły się liczne stada bydła z rodzaju zebu

(z garbem na grzbiecie), tak wielce rozpowszechnionego w Sudanie. Stada czapel, ibisów, dzikich gęsi i kaczek kręciły się po trawach, zarastających jeziorko.

Obóz rozbiliśmy nad brzegiem Nilu, w niewielkiej odległości od osady Dissy, złożonej z kilkunastu szałasów. Olbrzymi sykomor, rosnący nad brzegiem, użyczył nam gościnnego cienia. Z jednej strony drzewa rozbito namiot i ustawiono stoliki; z drugiej Bohos rozłożył swą kuchnię, a obok niego roztasowała się nasza służba kairska. Nadciągnęli Arabowie disseńscy wraz ze swemi kobietami, które nam mleka krowiego przyniosły w prezencie. Gdy jednak Szaja zapytał, czy nie sprzedadzą nam cielaka, zażądano za niego 4 funty szterl.!

Dziwni bo to ludzie, ci Arabowie nad Nilem Błękitnym. Sami mięsa wołowego nigdy nie jedzą, ani też bydła swego nie sprzedają, a jednak hodują je w znacznej ilości, bo w samej Dissie ze 300 sztuk naliczyć było można. Podatek rządowy jest bardzo znaczny, wynosi bowiem 30 piastrów egipskich (około 3 rubli) od sztuki rocznie.*) Jedyną korzyść, jaką ci ludzie ciągną ze swego bydła, stanowi mleko, którego w części używają w stanie naturalnym, a w części na sery przerabiają. Bydło więc rogate jest dla nich bogactwem, z którego prawie żadnych korzyści nie osiągają, a które im kosztów jedynie przysparza.

Od miejscowych ludzi zasięgnęliśmy też języka co do okolicznej zwierzyny. Według nich słonie przychodziły w ostatnich czasach prawie codziennie do jeziorka od strony południowo-zachodniej. Wiadomość ta dawała nam nadzieję, że wreszcie będziemy mogli zapolować na tę królewską zwierzynę. Natomiast o bawołach nie było słychać wcale. Wreszcie Arabowie zakomunikowali nam, że dwa lwy włóczą się po okolicy. Była to niewątpliwie ta sama para, którą Hrabia spotkał w Abkuku. Na mniejszą zwierzynę nie można było polować na razie, by strzałami nie płoszyć słoni, które w sąsiedztwie mogły się przypuszczalnie wałęsać.

W tem przypuszczeniu ja zostałem w obozie, gdy Hrabia poszedł w towarzystwie disseńskiego Mohameda na rekonesansową wycieczkę; shikarich swoich posłał natomiast, by zbudowali zeribę z drugiej strony jeziorka pod ścianą dżunglową.

Strzelałem tylko dnia tego ptaszki do kolekcyj z mej

---

*) Podatek od wielbłąda wynosi w stosunku 7 rubli, od barana lub kozy 1 rubla rocznie.

małokalibrowej broni, która mało huku robiła, a następnie zająłem się ich preparowaniem.

W robocie tej przeszkadzały mi bardzo rany, jakie mi się potworzyły na palcach obu rąk. Były to niewątpliwie tak zwane „wrzody nilowe". Należy tu objaśnić czytelników, że woda w Nilu Błękitnym, jakkolwiek bardzo smaczna i zdrowa do picia, zawiera jakieś bakterje, które, dostawszy się do krwi, powodują jątrzące się i bolesne wrzody. Hrabia padł pierwszy ofiarą tej choroby po wykąpaniu się w Senaarze w podróżnej wannie. Porobiły mu się wtedy na dłoniach i na obu przedramionach spore i zaognione wrzody, które jednak pod wpływem kilkakrotnych smarowań phenolem Boboeuf'a szybko ustąpiły. Mnie wówczas dolegliwość ta ominęła, lecz gdym następnie przy chodzeniu po dżungli pokaleczył sobie palce kolcami, wszystkie ranki zaczęły się jątrzyć, i skóra zaczęła schodzić, jak przy zwykłem obieraniu się. Najgorzej jednak wyglądała rana na wierzchu nosa, którą sobie zrobiłem, strzelając w zeribie do pantery z 10-go kalibru. Utworzył się ogromny strup, zajmujący prawie połowę nosa; z pod strupa sączyła się ciągle materja lub woda. Mimo wielokrotnych smarowań phenolem, rana nie goiła się i ustąpiła dopiero na dzień przed przybyciem do Chartumu, a ślady jej noszę po dzień dzisiejszy. Dodam jeszcze, że rana ta podczas marszów na skwarze słonecznym silnie nabierała materją i dotkliwie dawała mi się we znaki.

A skwar to był nielada, gdy w dniu, o którym mowa (22 lutego), w cieniu dosięgał + 32° R. Jest to najwyższa temperatura, jaką w czasie naszej wyprawy obserwowaliśmy.

Hrabia wrócił z wycieczki, zachwycony roślinnością okolic jeziorka, lecz zły na Mohameda, który straciwszy kierunek drogi, błądził przez parę godzin po wysokich trawach, nie mogąc trafić do obozu. Jedynym rezultatem tej wycieczki był wspaniały okaz orła białogłowego *(Haliaëtus vocifer)*, którego Hrabia zabił do naszej kolekcji.

Już przedtem spotykaliśmy wspaniałe te ptaki na brzegach Nilu, na piaszczystych mieliznach lub na czubkach drzew wysokich. Nigdzie jednak nie widzieliśmy ich w takiej obfitości, jak nad brzegami jeziorka Disseńskiego. Biała, jak śnieg, głowa i pierś lśnią na słońcu zdaleka. Co paręset kroków można tu było spotkać parę lub pojedyńcze sztuki tego gatunku, a były tak dowierzające, że je łatwo było zejść na strzał dogodny. Przypuszczam, że ściąga je tu obfitość ryb, które stanowią główne pożywienie orła wrzaskliwego.

Nad wieczorem Hrabia poszedł do zeriby, ja zaś pozostałem w obozie. Noc przeszła spokojnie, a gdy nad ranem Hrabia powrócił, dowiedziałem się od niego, że dwa lwy włóczyły się w bliskości zeriby, lecz do przynęty nie podeszły, jedynie rykiem zwiastując swą obecność. Słonie tej nocy nie podchodziły do jeziorka.

Dzień 23-go lutego zeszedł mi na strzelaniu ptaszków do kolekcji, a następnie na preparowaniu. Hrabia zrobił wycieczkę w okolicę, nie spotkał jednak grubego zwierza, a nie chciał ryzykować strzałów do mniejszych antylop, aby alarmu w okolicy nie czynić. Nad wieczorem poszedł znów do zeriby, lecz tym razem wziął z sobą źrebaka — osiołka w nadziei, że będzie on dla lwa lepszą przynętą. Gdy służący Ahmed, który Hrabiego odprowadzał do zeriby, wrócił, opowiedział nam, że słyszał ryk lwa w okolicach jeziorka.

Co do słoni, postanowionem zostało, że jeżeli w nocy przyjdą do wodopoju, jutro, skoro świt, pójdziemy ich tropami. Wprawdzie miejscowi Arabowie proponowali nam podchodzenie tych kolosów w nocy przy wodzie, lecz Hrabia nie chciał się zgodzić na ten rodzaj polowania, jako przedstawiający najwyższe niebezpieczeństwo. Powalić słonia na miejscu przy słabem świetle księżyca w pierwszej kwadrze jest rzeczą hazardu, a raniony słoń zwykle szarżuje, i wtedy śmierć niechybna czeka nierozważnego myśliwca.

Prawidłowe polowanie na słonie polega na śledzeniu po tropach, gdy nocą wodopój odwiedzają. Słonie przychodzą do wody w różnych porach nocy, zabawiają przy niej godzinę lub dwie, a następnie odchodzą w głąb dżungli. Każdy słoń czy każde stado odwiedza wodopój co drugą noc. Napiwszy się i poigrawszy dowolnie, kolosy te odchodzą, żerując w pierwszej godzinie, a następnie szybszem tempem posuwają się w głąb dżungli, aż do godziny 10-ej lub 11-ej, kiedy skwarne promienie słońca zmuszają je do wypoczynku. Wówczas stają w cieniu jakiego większego drzewa i spokojnie drzemią, opędzając się od much swemi olbrzymiemi uszami. Jest to chwila, kiedy myśliwy może je zdybać.

Wyruszać można po tropach dopiero, gdy dobrze rozednieje, gdyż inaczej niepodobna jest tropów rozpoznać. Tym sposobem słonie mają zawsze kilka godzin awansu; a ponieważ posuwają się naprzód względnie dość szybko, więc byłoby niepodobieństwem dosięgnąć ich w ciągu jednego dnia, gdyby nie ten kilkogodzinny postój, na którym odpoczywają.

Cała trudność polega na trzymaniu się dobrego tropu i to właśnie stanowi całą niepospolitość sudańskich i wogóle środkowo afrykańskich shikarich.

Wspomniałem już poprzednio, że w stronach, gdzie słonie przebywają, dżungla jest poprzerzynana we wszystkich kierunkach ich ścieżkami, które na każdym kroku krzyżują się, rozwidlają i jedne w drugich giną. Mamy tu więc tropy z poprzedniej nocy, z dwóch dni, z trzech i t. d. Rozróżnić zaś tropy świeże na suchym pyle lub na zeschłych trawach jest sztuką nielada. Pozostawiony od czasu do czasu pomiot lub porzucone tu i owdzie gałązki drzew są dla łowca wskazówkami doskonałemi, lecz właściwie jest to tylko rodzaj kontroli, czy tropu nie zmylił, bo kał i gałązki spotyka się względnie rzadko, więc między jednym i drugim shikari niemal że węchem iść musi. Wracać po tropach wrazie zmylenia — to tyleż czasu straconego, ile mniej szansy, że się słonia dopędzi.

Obznajmiwszy was z klasycznym sposobem polowania na słonie, wrócę do przerwanego opowiadania. W nocy z soboty na niedzielę, gdym spał w najlepsze, obudzono mnie wieścią, że słonie są przy wodzie. Zerwałem się szybko z łóżka. Była godzina pierwsza w nocy; w obozie nikt nie spał, tak wiadomość ta wszystkich zelektryzowała. W rzeczy samej od strony jeziorka dochodziły dziwne głosy: raz było to przenikliwe trąbienie o bardzo wysokiej nucie, to znowu niski, basowy poryk, które słoń prawdopodobnie gardłem produkuje. Słychać też było plusk wody, mimo że dzieliła nas wiorstowa przestrzeń od wodopoju.

Po godzinie wszystko ucichło, więc poszliśmy spać na nowo. Gdy nad ranem o 5-tej wstałem, już Hrabia nadciągał z zeriby i opowiedział mi, że próba z elektrycznym reflektorem nie udała mu się. Ów reflektor jest to spora latarka, którą przy pomocy sprężynowej klamry umocowywa się od spodu przy wylocie luf pierwszej lepszej strzelby. Izolowany drut posiada guzik, który myśliwy trzyma w lewej ręce pod lufami. Drut łączy się ze skrzynką, zawierającą akumulator elektryczny, naładowany na trzy miesiące. Skierowawszy lufy w żądanym kierunku, myśliwy naciska guzik, przez co wywołuje połączenie lampki z akumulatorem. Światło jest bardzo silne i zupełnie wystarczające do należytego wzięcia na cel zwierzyny.

Przyrząd ten ma przedewszystkiem jedną wielką wadę, a mianowicie, że go można używać jedynie na zasadzkach, gdyż ciężką skrzynkę z akumulatorem ułożyć trzeba na ziemi. Oka-

zało się też, że wbrew twierdzeniu Edwarda Foa, który z podobnym aparatem jakoby polował na lwy, zwierzyna światła się lęka. Oto w jaki sposób hr. Potocki wypróbował swój akumulator.

Siedząc w zeribie przy osiołku, znudzony długiem wyczekiwaniem, zasnął. Około 1-szej po północy shikari zbudził go nagle w chwili, gdy pantera mordowała biednego długoucha. Hrabia skierował lufy w stronę walczących zwierząt, lecz zaledwie nacisnął guzik i silne światło oblało miejsce walki, pantera, spłoszona widocznie tą niespodziewaną jasnością, umknęła w mgnieniu oka, zanim myśliwy miał czas zmierzyć do niej. Następnie drapieżnik wracał jeszcze dwa razy. Hrabia próbował mierzyć do niej po ciemku, bez użycia akumulatora, lecz oba razy spłoszona pantera umykała, jak oparzona. I tak noc przeszła, nie nastręczywszy możności strzału.

Słuchałem tego opowiadania, pijąc szybko ranną herbatę. Przygotowania nasze do wyprawy trwały krótko i dobrze jeszcze przed wschodem słońca byliśmy gotowi do wymarszu.

W wyprawie oprócz nas dwóch i Stefana brali udział: disseński Mohamed, prowadzący konwój, jako tropiciel, dalej czterech naszych shikarich: Ahmed-Idris, Abdallah, Mohamed i Ibrahim, — służący kairski Ahmed, Hasaballa i Fadil w charakterze pachołków do dźwigania broni, wreszcie jeden z poganiaczy wielbłądów, gdyż wielbłąda trzeba było wziąć z zapasem żywności i wody na wyprawę, z której mogliśmy wrócić dopiero następnego dnia. Oprócz tego przyłączyło się do nas 11-tu derwiszów disseńskich, dosiadających ogniste rumaki i uzbrojonych w długie lance i miecze. Zarówno oni, jak i nasi łowcy, byli zupełnie nadzy, tylko na biodrach mieli wąską przepaskę. Przypuszczam, że groźne niebezpieczeństwo, z jakiem jest połączone polowanie na słonie, skłoniło ich do tego, gdyż nagie i śliskie ciało daje gwarancję swobodniejszych ruchów wśród kolczastych zarośli, aniżeli ubranie, o które chwytają się z łatwością ciernie dżunglowe. Ten jednak sposób polowania w ubiorze Adama i Ewy dostępny jest tylko dla miejscowej ludności; europejczyk dziesięciu kroków nie byłby w stanie zrobić wśród strasznych cierni akacjowych, a opowiadanie Edwarda Foa, że zwykł był tak polować w gąszczach afrykańskich, do fantastycznych zaliczyć muszę.

Zarówno my dwaj, jak i łowcy nasi, pojechaliśmy także konno, podczas gdy Stefan dosiadł swego kłapoucha. Długa i szybko prowadzona wyprawa na silnym skwarze słonecznym

wykluczała możność pieszego marszu. Tylko Ibrahim, Ahmed, Hasaballa i Fadil poszli piechotą, jak również *sais* Hrabiego — Mohamed.

Przodem pojechał disseński Mohamed, jako mający na oku tropy; za nim trzech shikarich w charakterze kontrolerów i konsultantów w miejscach, gdzie ślady były wątpliwe; dalej Hrabia, ja i reszta wyprawy.

Okrążając jeziorko, po drodze zajechaliśmy do zeriby Hrabiego i tu ze zdziwieniem spostrzegliśmy, że osiołek, zagryziony przez panterę, znikł. Widocznie drapieżnik po odejściu Hrabiego porwał go i zawlókł w gąszcz; musiał jednak sporego źrebaka zarzucić sobie na grzebiet, gdyż nie było najmniejszych śladów, aby go wlókł po ziemi. Nie mieliśmy czasu zastanawiać się długo nad tym wypadkiem — i raźno ruszyliśmy naprzód.

Wkrótce też dojechaliśmy do miejsca, którędy słonie do wody schodziły. Była to głęboka i wąska wyrwa w dość stromym brzegu doliny; stąd też pojechaliśmy już tropami, które zrazu prowadziły wysokopiennym lasem akacjowym, po gruncie suchym, popękanym i głęboko podziurawionym dołami, utworzonemi w porze dżdżystej przez stopy słoni, kiedy teren był jeszcze rozmiękły. Wkrótce jednak dostaliśmy się do pasa wzgórz i głębokich parowów, a stąd wkroczyliśmy do typowej dżungli z czerwonokorą akacją.

Ślady słoni spotykaliśmy na każdym kroku: świeżutki pomiot, który jeszcze nie miał czasu obeschnąć, połamane drzewka, porozrzucane tu i owdzie gałęzie. Mohamed jechał ciągle truchta, a i my za nim musieliśmy się tego tempa trzymać. Tylko w miejscach, gdzie się tropy rozwidlały, zatrzymywał się na jedno mgnienie, lecz wnet ruszał dalej z nieporównaną wprawą doskonałego tropowca. W zachwyt wprawiał nas ten czarny Sudańczyk, tropiący szybko i pewnie po spalonym i twardym gruncie wypalenisk, na których świeży odcisk nóg nawet takiego olbrzyma, jak słoń, był prawie niedostrzegalny, a w najlepszym razie niezmiernie trudny do odróżnienia od starych, kilkodniowych tropów.

Wkrótce też wyszły na jaw ujemne strony towarzystwa całej czeredy derwiszów. Większość ich dosiadała ogiery, a że w orszaku naszym było też kilka klaczy, więc nic dziwnego, że pierwsze z nich ciągłem rżeniem oznajmiały swe miłosne zapały. Irytowało to słusznie Hrabiego, który za każdym razem odwracał się w stronę eskorty i grożąc pięścią, wymyślał Sudańczykom, na czem świat stoi.

— Ja wiem, o co tym durniom chodzi! — rzekł do mnie:— oni chcą stado otoczyć i słoniom tylne nogi popodcinać*). Ale zjedzą djabła, jeżeli ja im na to pozwolę.

Jechaliśmy tak od kilku godzin i słońce zaczęło nas już przypiekać swemi palącemi promieniami. Hrabia odwracał się od czasu do czasu w moją stronę i wyrażał wątpliwość, czy Mohamed trzyma się dobrego tropu. W samej rzeczy pomiot i porzucone gałązki ukazywały się coraz rzadziej; widocznie słonie w tem miejscu posuwały się już szybciej, a że miały przynajmniej cztery godziny awansu przed nami, więc i szansa dogonienia była dość słaba. Nie było jednak innej rady, jak polegać zupełnie na doświadczeniu naszych prowodyrów. Niemniej wszelako, jeśli nie zupełne zwątpienie, to przynajmniej wątpliwość zaczęła się wkradać do naszych umysłów.

Wyjechaliśmy właśnie na dość obszerne wypalenisko, gdy naraz Hasaballa, który biegł przy koniu Hrabiego, zatrzymał nas ruchem i wskazując nieco na lewo, rzekł szeptem: „Fil" (słoń). Na to magiczne słowo skierowaliśmy oczy we wskazanym kierunku i w rzeczy samej dojrzeliśmy w odległości jakich 400 kroków wśród gąszczu kilka wyniosłych, czarnych mas. Zeskoczyliśmy szybko z wierzchowców, Hrabia nabił swój cal. 450, ja wsunąłem ładunki do mego paradoksa cal. 10; lecz nasi starzy łowcy wyrazili pewną wątpliwość co do istoty samych mas czarnych. Jakoż po wyegzaminowaniu ich przez lornety, okazało się, że były to gniazda termitowe. Po tem emocjonującem *intermezzo* ruszyliśmy dalej.

Około godziny 11-ej, czyli po 5-ciu i ½ godzinach nieustannego i szybkiego marszu, Hrabia zaordynował postój, aby zwierzętom i ludziom zapewnić wypoczynek. Nadzieja dogonienia słoni osłabła bardzo i nawet sami łowcy nie byli absolutnie pewni, czy się trzymają dobrego tropu. Nie chcąc jednak zaniechać pościgu przed ostatecznem przekonaniem się, postanowiono, że gdy my będziemy odpoczywali i śniadali, trzech shikarich — Mohamed disseński, Abdallah i mój Mahomed — pójdą trzema różnemi tropami, a w razie, gdyby który z nich słonie dopędził, wróci i nas powiadomi.

---

*) Ten rodzaj polowania był powszechny w Sudanie przed zaprowadzeniem praw ochronnych, a dziś jeszcze praktykuje się na terytorjum Abisynji. Zwykle w czasie takiego polowania kilku z łowców opłaca życiem swą odwagę.

Rozsiedliśmy się tedy w dość skąpym cieniu akacjowego drzewa. Stefan i Ahmed rozłożyli przed nami zimne zakąski, które z prawdziwym apetytem spożywaliśmy, słuchając tłómaczonych nam przez Ahmeda opowiadań naszych Arabów o wojnach mahdistowskich. Mój shikari, Ibrahim, pokazywał nam swe rany, otrzymane w bitwie pod Omdurmanem, Fadil zabawnie naśladował ruchy i chód Kitchenera, którego nieraz widział w Chartumie, i tak nam czas szybko płynął. Po śniadaniu uszykowałem 11-tu derwiszów w szyku bojowym, aby przy pomocy zdjęcia fotograficznego przechować ich rysy w pamięci. Okazało się jednak potem, że wszystkie klisze mego aparatu były przetrzymane, prawdopodobnie wskutek wadliwego nastawienia migawki.

Była godzina 12-ta, gdy ukazał się zziajany Abdallah, oznajmiając, że słonie dogonił i widział je własnemi oczyma. Nie było czasu do stracenia. Zostawiwszy przeto cały orszak wraz z końmi, wielbłądem i osłem na miejscu, udaliśmy się we dwóch piechotą, mając za przewodnika Abdallę, oraz kilku ludzi do niesienia broni. Hrabia miał Hasaballę i Fadila; ja sam niosłem paradoks cal. 10, gdy Ahmed wziął mego mannlichera, jako broń zapasową. Towarzyszył nam także Stefan z colindjanem.

Szliśmy bardzo szybko za Abdallą, mimo, że skwar był dokuczliwy. Ostatnią nadzieją naszą było przyłapanie słoni na postoju południowym, bo gdyby ruszyły naprzód, wymknęłyby się nam bezpowrotnie. Po półtoragodzinnym forsownym marszu Abdallah wskazał nam w milczeniu mokre miejsce. Słonie musiały być blisko, gdyż inaczej woda wyparowałaby szybko pod palącemi promieniami słońca. Jakoż o paręset kroków od tego miejsca Abdallah zatrzymał nas i skinąwszy na ludzi, aby się nie ruszali, poprowadził nas obu chyłkiem i nadzwyczaj ostrożnie na prawo od słoniowej ścieżki, którąśmy się posuwali. Zrobiwszy ze 20 kroków, stanął i wyprostował się ostrożnie, a my obaj poszliśmy za jego przykładem.

Była to chwila, której chyba nigdy w życiu nie zapomnę. Przed nami, w odległości ledwie kilkudziesięciu kroków, stały w cieniu sporego drzewa akacjowego kolosy, wachlując się swemi potężnemi uszami. Wiele ich było, nie mogliśmy na razie obliczyć, gdyż wysoka trawa zakrywała je w znacznej części. Jeden tylko, największy, stał do nas bokiem; inne tuż przy jego łbie, zwrócone do nas były przodem, czy tyłem—nie wiedzieliśmy na razie, gdyż tylko ich potężne, szare grzbiety wynurzały się

z wysokiej trawy. Stały spokojnie, drzemiąc; nie podejrzewały widocznie naszej obecności.

Zaledwie je spostrzegliśmy, gdy Hrabia szybko zmierzył się ze swego cal. 450. Brała mnie ochota strzelać także do największego z kolosów, którego bok cały był odkryty, lecz przypuszczając, że Hrabia tego właśnie mógł brać na cel, wstrzymałem się, aby podobnie, jak ze lwem, nie spowodować trudnej do rozstrzygnięcia spółki. Do innych znów nie chciałem ryzykować strzału, nie wiedząc, czy przodem, czy tyłem są do nas zwrócone. Nie miałem też czasu na dłuższe refleksje, gdyż w tej chwili rozległ się strzał suchy, urwany...

Słonie zmieszały się na jedno mgnienie, lecz w tej chwili spostrzegliśmy, że zwróciły się ku nam. „Szarżują na nas" — rzekłem do Hrabiego. Lecz on, zmieniwszy z niepospolitą przytomnością umysłu wystrzelony nabój, już się zmierzył do przodem idącego i szybko raz po razie strzelił... Po drugim strzale, prowadzący szarżę kolos osunął się tylko, jakby mu kto odrazu wszystkie cztery nogi podciął. Lecz za nim szedł drugi, ten największy. Nie zatrzymując się, ominął trupa swego towarzysza i sunął prosto ku nam...

Niebezpieczeństwo było groźne, to też bez chwili namysłu poczęliśmy uciekać, ile nogi mogły wystarczyć; przede mną biegł Abdallah, za mną Hrabia. Reszta ludzi tak się rozbiegła, że ich nawet nie widziałem; tylko Stefan stał na miejscu, a gdyśmy go minęli, strzelił z obu luf i wtedy począł uciekać.

Przebiegłszy kilkadziesiąt kroków, przystanąłem, aby zobaczyć, co się dzieje, i ujrzałem Hrabiego, jak zwrócony, znów dwa razy strzelił; przy nim był Hasaballa. Rozległo się straszne przenikliwe trąbienie, jak głos syreny na parowych statkach. Rozjuszony zwierz z trąbą do góry podniesioną sunął prosto ku nam. Poczęliśmy znów uciekać. Oglądam się i widzę, jak Hrabia znów przystanął i strzelił z obu luf, tym razem prawie *à bout portant* w chwili, gdy go słoń o kilka kroków mijał.

Teraz ja byłem bezpośrednio na jego drodze. Zrozumiałem szybko, że uciekając ścieżką, nie zdążę ujść pogoni strasznego zwierza; więc bez namysłu skręciłem w bok, aby się ukryć w wysokich trawach; lecz zaledwiem zrobił kilka kroków, gdy noga wpadła mi w niewidzialny wśród roślinności dół i rozciągnąłem się, jak długi. W tej chwili usłyszałem tuż, tuż za sobą przenikliwe trąbienie, głos straszny, przejmujący, który mi śmierć zwiastował... „Jezusie, Maryo! — pomyślałem — ostatnia moja godzina nadeszła". Zerwałem się szybko, aby zwrot jaki rozpaczliwy uczynić, lecz z radością usłyszałem oddalający się już

łoskot i łamanie gałęzi. Słoń minął mnie, a z nim razem niebezpieczństwo, które mi groziło. I dziś nie wątpię prawie, że życie moje zawdzięczam w tym razie nieprzewidzianemu upadkowi, dzięki któremu ukryłem się przed słabym wzrokiem kolosa.

W jednej chwili zbiegliśmy się na tropach uchodzącego zwierza: dość obfita farba znaczyła je wyraźnie. Ruszyliśmy gęsiego w przypuszczeniu, że może zwierz leży gdzie niedaleko. Miejscami widać było pomiot, krwią zafarbowany, coby pozwalało przypuszczać, że słoń dostał postrzał przez kiszki.

Lecz zwierz uszedł widocznie daleko. Zrobiwszy więc kilkaset kroków, wróciliśmy do zabitej sztuki. Gdyśmy do niej podchodzili, wysunął się naprzód Fadil, który w podobnych wypadkach widocznie głowę tracił i z odległości kilku kroków strzelił jeszcze do nieboszczyka, wydając przy tem nieludzkie krzyki. Naśmieliśmy się później z tego epizodu, bo chłopak ze zbytniego ferworu chybił na tak krótki dystans olbrzymiego zwierza. Zobaczymy w przyszłości, jak ten sam Fadil w podobnych warunkach zepsuł Hrabiemu strzał do stada bawołów.

Zabity słoń była to stara samica z niewielkiemi kłami. W cyckach, które, jak wiadomo, u słonia znajdują się pomiędzy przedniemi nogami, znaleźliśmy mleko. Z egzaminu strzałów okazało się, że dostała dwie kule Hrabiego w samo czoło: jedną — nieco powyżej linji oczu i ta przeszyła całą grubość czaszki, wychodząc tyłem głowy, drugą zaś o jakie dwa cale niżej. Ta to kula sprowadziła piorunującą śmierć zwierzęcia, utkwiwszy w mózgu.

Tutaj mieliśmy szerokie pole do podziwiania ostrości strzału sztucerów Hollanda et Hollanda. Jeszcze niedawno Rowland Ward w dziele swem „*Records of Big-Game*", wydanem w 1899 roku, wspomina, że do słonia afrykańskiego nie można strzelać z frontu, gdyż niema kuli, któraby przeszyła grubość kości czołowej. A tymczasem w danym wypadku niewielka kula cal. 450 przebiła całą długość czaszki, to jest masę kostną metrowej przynajmniej grubości.

Oglądając zabitego słonia, komunikowaliśmy sobie wzajemnie wrażenia tylko co ubiegłych wypadków. Okazało się, że słoni były trzy sztuki: zabita przez Hrabiego samica, wielki samiec, który na nas szarżował, i trzeci, jak się zdaje, podrostek, który odrazu gdzieś w bok skręcił, gdyż go więcej nie widzieliśmy. Hrabia pierwszy swój strzał dał do samicy, która najbliżej nas stała, choć dotychczas żaden z nas nie mógłby powiedzieć napewno, czy przodem, czy tyłem. Przypuszczać jednak można, że wszystkie trzy stały głowami do siebie zwrócone, a w takim

razie zabita sztuka stałaby do nas tyłem w chwili, gdyśmy słonie ujrzeli, i dopiero zwróciła się na nas po pierwszym strzale.

Hrabia, uciekając, przewrócił się także, gdyż mu się nogi w trawie zaplątały, a broń, tylko co wystrzeloną, nabił, leżąc na ziemi, poczem zerwał się i strzelił jeszcze dwa razy w chwili, gdy go słoń miał minąć. Wogóle nie mogłem się nadziwić i dotychczas jestem pełen admiracji dla niezwykłej odwagi i przytomności umysłu, jaką w tak wielkiem niebezpieczeństwie zachował hr. Potocki, zdążywszy nabić broń swoją 5 razy i dając ogółem 7 strzałów.

Niejednemu z czytelników słusznie mogłoby nasunąc się pytanie, dlaczegom ja do słoni ani razu nie strzelił? Wspomniałem uprzednio, dla jakich powodów wstrzymałem się od strzału w chwili, gdyśmy słonie spostrzegli. Gdy zaś ruszyły na nas po pierwszym strzale, nie myślałem nawet o użyciu broni, gdyż nie przypuszczałem na chwilę, aby można dać strzał pewny do szarżującego słonia, szczególniej, gdy się ma w ręku broń tak ciężką i trudną do manewrowania, jak paradoks cal. 10. Mózg słonia, widziany z przodu, ma zaledwie 6 cali średnicy, a pozycja jego na wielkiej powierzchni czoła jest nadzwyczaj trudną do oznaczenia, gdyż nie ma punktów orjentowania się, jak przy strzelaniu do boku, gdzie oko i ucho doskonale wskazują położenie tego ośrodka życia. Widzieliśmy też, że kula może przeszyć całą grubość czaszki, nie sprowadzając najmniejszych perturbacyj w organizmie słonia, skoro zwierz ten z podobną kulą nawet znaku najmniejszego nie dawał. Zresztą naczytałem się i nasłuchałem opowiadań o szarżach słoni, prowadzonych z taką szybkością, że mimowoli większą wiarę dawałem mym nogom i zwinności ruchów, niż mej broni.

Możnaby więc ucieczkę moją nazwać wyrozumowanem tchórzostwem. Pociesza mnie tylko, że wielu myśliwych wypróbowanej odwagi przed słoniami bez pamięci uciekało.

W całej tej aferze 24 lutego mogliśmy sobie powinszować szczęśliwego zakończenia. Przedewszystkiem, gdyby Hrabia nie był powalił na miejscu samicy, mielibyśmy na karku nie jednego, lecz dwa szarżujące słonie, a wtedy nie jeden, to drugi zdybałby nas niechybnie. Ta okoliczność, żeśmy się obaj kolejno przewrócili, gdy słoń był najbliżej każdego z nas, też niewątpliwie życie nam uratowała, bo tym sposobem ukryliśmy się mimowolnie przed krótkim wzrokiem rozjuszonego zwierza.

To jedyne podczas naszej wyprawy spotkanie ze słoniami pozwoliło mi sprawdzić słuszność twierdzenia, że jest to najgroźniejszy nieprzyjaciel, jakiego myśliwy napotyka. Przed rozju-

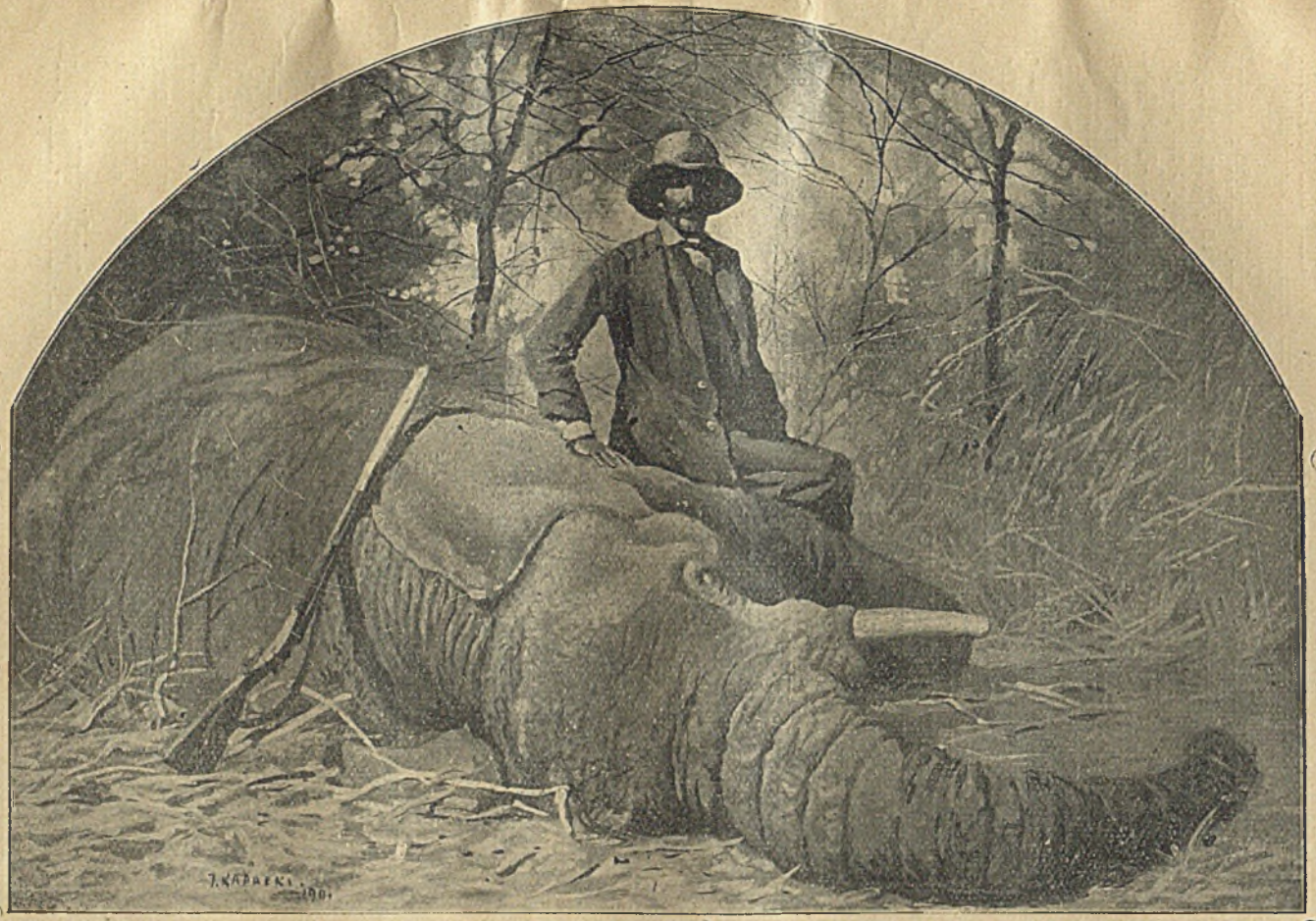

Hr. Józef Potocki przy słoniu.

szonym bawołem można się schronić w ostatniej chwili choćby za drzewo. Jakkolwiek szarża lwa jest straszna, to jednak przytomnie i celnie strzelający myśliwy łatwo może położyć nieprzyjaciela w ostatniej chwili. A nadto, wielu to ludzi było pod lwem i mimo to uszło śmierci, z mniejszemi lub większemi obrażeniami, że przytoczę sławnego Livingstona i hr. Esterhazego. Przed szarżującym nosorożcem równie łatwo uskoczyć w bok, według słów ks. Henryka Liechtensteina, jak przed elektrycznym tramwajem. Tymczasem ze słoniem sprawa stokroć trudniejsza. Zwierz ten przy swojej niemal ludzkiej inteligencji, zdaje sobie doskonale sprawę z tego, co robi. Jeżeli więc trafimy na mizantropa, możemy być pewni, że za pierwszym danym sygnałem, zdradzającym naszą obecność, mieć go będziemy na karku. A słoń załatwia się ze swym nieprzyjacielem sumarycznie: chwyci trąbą, uniesie do góry, rzuci o ziemię, i nieszczęsny myśliwy już ma wszystkie kości pogruchotane. Dla pewności, w dodatku, straszny ten zwierz bierze swego nieprzyjaciela pod nogi i depce go niemiłosiernie.

O ile mogłem zrozumieć, w polowaniu na słonie należy zachować następującą taktykę. Podejść do sztuki lub do stada jaknajbliżej, co przy dobrym wietrze i przy słabo rozwiniętym wzroku i słuchu tego zwierza nie jest bynajmniej rzeczą trudną, strzelać z boku nieco powyżej linji, łączącej oko z otworem ucha. W razie zaś, gdyby zbytnia odległość nie pozwalała na strzał pewny w głowę, mierzyć na komorę, starając się przeszyć serce. Jeśli strzał nasz nie powali sztuki na miejscu, lub gdyby w stadzie znalazł się niestrzelany mizantrop, który zapragnął rozprawić się z nami, uciekać, ile nogi starczą, nie wprost od zwierząt, lecz w bok, licząc się zawsze z kierunkiem wiatru, aby odjąć groźnemu nieprzyjacielowi możność zdybania nas węchem.

Wróćmy jednak do naszego opowiadania. Gdyśmy byli zajęci oglądaniem słonia, nadjechali konno wszyscy derwisze i wyprawili hałaśliwą owację Hrabiemu, potrząsając wojowniczo swemi lancami, poczem udali się na tropy ranionego słonia, obiecując, że muszą go prędzej czy później odnaleźć. Myśmy tymczasem oczekiwali nadejścia wielbłąda, gdyż nam pragnienie dawało się we znaki. Po kilkakrotnem fotografowaniu zabitej sztuki, pozostawiwszy na noc do jej pilnowania Ibrahima i Hasaballę, około w pół do czwartej ruszyliśmy z powrotem, do obozu, od którego, jak liczyliśmy dzieliła nas przynajmniej 30-wiorstowa przestrzeń.

Już o zachodzie słońca spotkaliśmy stado arielów, największe, jakie w całej wyprawie widzieliśmy, gdyż mogło liczyć 200

do 250 sztuk. Zsiadłem z konia i zacząłem je podchodzić, lecz ostrożne zwierzęta zwolna oddalały się, utrzymując stale odległość jakich 200 kroków. Strzeliłem na ten dystans kilka razy, lecz bez skutku. Wreszcie po jednym z takich strzałów stado rozbiło się na dwie partje. Korzystając z powalonego przez słonie drzewa, począłem ostrożnie podchodzić jedną z nich i udało mi się zbliżyć do zwierząt na dystans 150 kroków. Strzeliłem w kupę i z radością spostrzegłem, że dwie sztuki padły od jednej kuli; a gdy reszta w popłochu zaczęła uciekać, zmieniłem szybko nabój z magazynu i powaliłem jeszcze jedną dużą samicę. Tymczasem usłyszałem po za sobą strzały. To Hrabia i Stefan urządzali kanonadę do drugiej części stada. Okazało się, że i Hrabia zabił jednego z uciekających arieli. Nie chcąc tracić czasu przy patroszeniu i troczeniu na wielbłąda czterech antylop, zostawiliśmy na miejscu mojego Mohameda, Ahmeda i wielbłądnika, a my dwaj, wziąwszy z sobą Stefana, Abdallę i Fadila, ruszyliśmy ku obozowi, gdyż zmierzch już począł zapadać. Poprowadził nas Abdallah.

Wkrótce noc zapadła i tylko wąski księżyc rzucał nieco światła. Pozsiadaliśmy z koni, gdyż wśród ciemności kolczaste gałęzie drapały nam twarz i ręce. Szliśmy tak w milczeniu, znużeni całodziennym marszem, wyglądając, rychło ujrzymy disseńską łąkę. Cały zapas herbaty w manierkach wyczerpał się, i pragnienie poczęło mi silnie dokuczać.

Było już po 7-mej, gdyśmy spostrzegli, że przewodnik nasz, Abdallah, zaczyna coś bałamucić: okazało się, że wśród nocy zgubił kierunek. Śliczna perspektywa! Nocować w dżungli z pustemi żołądkami, z ustami, spieczonemi od pragnienia! I zaczęło się błądzenie wśród kolczastych gąszczów, ze słabą nadzieją wybrnięcia przed świtem z tego labiryntu ścieżek słoniowych. Wprawdzie obecność palm dawała nam nadzieję, że znajdujemy się gdzieś w pobliżu rzeki, lecz Abdallah tak się stropił, że nieraz wracał po własnych śladach. Na szczęście Dissa była już niedaleko, o czem zwiastowało nam odległe szczekanie psów i ryk bydła, któreśmy parokrotnie usłyszeli. Te głosy wskazały nam właściwy kierunek.

Wreszcie po dwugodzinnem błądzeniu wydostaliśmy się na disseńską równinę, a o 9-tej stanęliśmy w obozie, witani z niekłamaną radością przez naszych poczciwych ludzi, którzy przypuszczali, że nas jakie nieszczęście na polowaniu spotkało.

Ugasiwszy dokuczliwe pragnienie, z prawdziwą rozkoszą zasiedliśmy do obiadu. Apetyty mieliśmy wilcze, gdyż przez cały dzień zjedliśmy tylko po kawałku zimnego mięsa. Było

też „oblewanie" zabitego słonia i bez końca opowiadań na temat wypadków dnia ubiegłego.

Gdy o godzinie 11-tej kładliśmy się spać, ludzie nasi z wielbłądem jeszcze nie przybyli. Nadciągnęli dopiero o 1-szej w nocy. Od godziny 7-mej wieczór do samego obozu szedł za nimi lew, rycząc od czasu do czasu. Widocznie przytroczone do wielbłąda ariele budziły w nim taki apetyt. W każdym razie sytuacja naszych ludzi była wysoce przykra, zważywszy, że żaden z nich nie miał broni palnej; a zresztą cóżby znaczyła broń palna, gdyby lew zapragnął atakować ich pośród nocnych ciemności.

ROZDZIAŁ IX.

Jeszcze raz w zeribie. — Wycieczka hr. Potockiego na drugą stronę Nilu i zabicie aborufa. — Odwrót. — Polowanie na bawoły. — Olbrzymi phacocher. — Sprawka pantery. — Zabicie tetela.

ełne wrażeń polowanie na słonie było kulminacyjnym punktem naszej krótkotrwałej wyprawy. Zbliżał się już marzec, więc należało myśleć o odwrocie, aby według pierwotnego planu zdążyć na święta Wielkiej Nocy do Europy. Hrabia jednak nie chciał wracać drogą już przebytą, to jest lewym brzegiem Nilu Błękitnego, a ponieważ, jak to wiemy, projekt przerznięcia się do Nilu Białego należało porzucić, więc pozostawała nam droga na rzeki Dinder i Rahad—dwa dopływy Nilu Błękitnego. Według zdania krajowców można tam było spotkać bawoły, słonie, żyrafy i inną grubą zwierzynę w większej obfitości, aniżeli w okolicach Dissy; lecz natomiast brak drogi karawanowej wzdłuż Dinderu, aż vis-à-vis Karkocz, czynił podobną wyprawę nader awanturniczą. Prowadzenie karawany z 24 wielbłądów przez dziką dżunglę mogło narazić nas ewentualnie na stratę kilku tygodni czasu po nad obliczenia. Aby jednak mieć pewniejsze dane co do tego kierunku, Hrabia napisał list do mudira Roseires, Smyth-beya, prosząc go o radę, jak postąpić należy. W odpowiedzi pan gubernator przesłał Hrabiemu dwa listy w odstępie dwóch dni czasu.

W pierwszym z nich odradzał drogę z Dissy do Dinderu, aby, jak mówił, „nie krzyżować planów ks. Arenberga", który ten kierunek miał rzekomo wytknięty. W drugim zaś nakreślił zupełnie inne motywy. „Nie radzę Hrabiemu, pisał w swym liście, zapuszczać się na wschód od Dissy, gdyż miejsca te są uważane za rezerwy (miejsca ochronne)". Z tego wyprowadziliśmy sens moralny taki, że pan gubernator, jako zapalony myśliwy, nie bardzo pragnął wpuszczać innych sportsmenów do owych „miejsc ochronnych", w których sam polował. W każdym razie trzeba się było zgodzić z tą jego wolą, a wtedy pozostawała nam jedyna droga do powrotu: lewy brzeg Nilu, którędyśmy już przeszli.

Dzień 25-go lutego poświęciłem na strzelanie ptaszków do kolekcji, a następnie na ich preparowanie. Ponieważ w okolicy włóczył się wielki lew i pantera — zapewne ta sama, na którą Hrabia zasiadał — więc zapragnąłem spróbować raz jeszcze szczęścia z zasadzki. Zjadłszy wcześnie obiad, wziąłem ze sobą kilku ludzi i około 5-tej po południu udałem się na drugą stronę łąki, aby sobie porządną zeribę urządzić. Po drodze spotkałem disseńczyków, którzy z mięsem zabitego słonia wracali. Opowiedzieli nam, że postrzałka tropili przez półtora dnia i że tenże kilkakrotnie zalegał, lecz dojść go nie mogli.

Przybywszy na miejsce, zdumiony byłem, jak Hrabia miał odwagę siedzieć w urządzonej dla siebie zeribie. Był to płotek z luźno porzuconych gałęzi, ledwie metr wysoki i tak przejrzysty, że widoczne było, co się wewnątrz dzieje. Przytem wysunięto zeribę ku środkowi łąki, co samo przez się mogło budzić czujność w zwierzęciu.

Przy pomocy moich ludzi, oraz kilku disseńczyków, przeniosłem zeribę pod ścianę dżungli, wybierając za podstawę krzak bardzo gęsty i wysoki, który jeszcze wzmocniłem kolczastemi gałęźmi, aby sobie doskonale tyły zabezpieczyć. Od frontu i z boku narzucano gałęzi blisko na 2 metry wysokości i tym sposobem urządziłem sobie rodzaj kolczastej fortecy, która jakkolwiek nie dawała absolutnej gwarancji bezpieczeństwa, to jednak budziła większe zaufanie, aniżeli poprzednio robione zeriby. Koźlę przywiązałem o trzy kroki od wylotu, dzięki czemu wrazie ukazania się lwa lub pantery strzelałbym *à bout portant*.

Miałem z sobą sztucer Hrabiego cal. 450 z lampą elektryczną i akumulatorem, oraz mannlichera, jako rezerwę. W zeribie zasiadł ze mną Mohamed.

Noc zeszła mi bez gwałtowniejszych wrażeń. Od godziny 1-szej po północy włóczyła się w pobliżu pantera, gdyż ryk jej

wielokrotnie słyszeliśmy, lecz do zeriby nie przyszła. Widocznie nasycona mięsem osła, którego porwała przed dwoma dniami, nie mogła się odważyć na porwanie koźlęcia i tylko ochrypłym rykiem zwiastowała nam swe niezadowolenie. Lwa nie słyszałem ani razu przez całą noc, lecz był w pobliżu zeriby, bo nazajutrz spotkałem świeże jego tropy.

Natomiast od strony jeziorka, które zaczynało się o kilkadziesiąt kroków od mej zeriby, dochodziły mnie przez noc całą dziwne i urozmaicone głosy. Był to czasami krzyk ptactwa, to znów grube chrząkanie *phacocherów* lub pluskanie brodzących po wodzie zwierząt. Często powtarzał się jakby odgłos łopatki, której nasze praczki używają przy praniu bielizny. Mówiono mi następnie, że to krokodyle ruchami ogona po wodzie głos ten powodują. Dwa razy doszedł mnie głos jakby przyciszonego trąbienia, a zapytywany Mohamed objaśnił mnie, że to słonie do wodopoju przyszły; lecz zarówno ludzie nasi w obozie, jak i disseńscy mieszkańcy stanowczo temu dnia następnego zaprzeczyli.

O godzinie pół do 5-tej przyszedł służący mój Ali wraz z kilku chłopakami i przyprowadził dla mnie osiołka, na którym wśród ciemnej jeszcze nocy wróciłem do obozu.

Następnego ranka Hrabia, korzystając ze stojącej u brzegu rządowej gayassy, przeprawił się na drugą stronę Nilu, aby tam trochę popolować. Wziął z sobą wielbłąda z zapasami żywności i namiotem, a także Bohosa, Assada i kilku shikarich. Ja tymczasem wraz ze Stefanem zrobiłem mniejszą wycieczkę myśliwską, z której powróciłem o 11-tej przed południem, zabiwszy pięknego koziołka mora *(Ourebia montana)*. Zjadłszy śniadanie i spreparowawszy główkę tej pięknej gazelli, wyszedłem po południu znów ze Stefanem, lecz spotkaliśmy tylko same pentarki, których Stefan zabił 6 sztuk do kuchni.

Wieczorem, gdy zajęty byłem pisaniem dziennika, dano mi znać, że ludzie widzieli panterę o kilkadziesiąt kroków od obozu. Doszła mnie też dnia tego wiadomość, że ks. Arenberg obozuje już w Riguebie.

Postanowione było, że gdyby tej nocy słonie przyszły do wodopoju, to ja następnego ranka pójdę za niemi. Noc jednak zeszła spokojnie i rankiem dnia 27 lutego disseński Mohamed, któremu czaty powierzono, dał mi znać, że o słoniach nic nie słyszał. Wybrałem się przeto do dżungli na większą wyprawę, wziąwszy z sobą wielbłąda i kilku ludzi. Stefan towarzyszył

mi i tym razem. Spotykaliśmy wszędzie ślady aborufów i żyraf, lecz na samą zwierzynę nigdzie nie natrafiliśmy i o godzinie 2-ej po południu wróciliśmy do obozu, nie dawszy ani jednego strzału.

Po południu nadciągnął Hrabia z drugiego brzegu, przywożąc z sobą głowę zabitego przez siebie, wspaniałego aborufa *(Hippotragus equinus)*. Jest to wielka antylopa maści szarobrunatnej z czarną pręgą na grzbiecie. Na karku i kłębie posiada dość długą, stojącą grzywę, od której zapewne pochodzi jej nazwa łacińska. Rogi zabitego kozła wynosiły po łuku 28 cali angielskich, choć rekordowe dochodzą do trzydziestu kilku.

Oprócz tej antylopy widział Hrabia na przeciwległym brzegu tetela *(Bubalis tora)*, który jednak do strzału nie dopuścił. Tropy żyraf i bawołów spotykano tam w obfitości, a służący Assad przyniósł mi znalezione przez się pióro strusia, coby dowodziło, że znajdują się tu i te, tak rzadkie dzisiaj ptaki.

Z pierwszym brzaskiem dnia we czwartek, 28-go lutego, opuściliśmy Dissę po pięciodniowym pobycie, kierując się w powrotnej drodze do Chartumu. Wyruszyliśmy przodem z łowcami, gdy karawana pod wodzą Szai pozostała za nami. Etap na ten dzień wyznaczony był tylko do Abkuku, gdzie mieliśmy jeszcze spróbować szczęścia na bawoły, gdyż za Harunem już nie było żadnej szansy spotkania się z tą wspaniałą zwierzyną, o którą tak bardzo chodziło hr. Potockiemu.

W połowie drogi między Dissą a Abkukiem dojeżdżaliśmy właśnie do samego brzegu Nilu, gdy idący obok mnie Fadil wskazał mi świeżutkie tropy bawołów. Dałem o tem znać Hrabiemu, który po krótkiej naradzie zdecydował się iść za tropami w towarzystwie disseńskiego Mohameda, Hasaballi i Fadila. Ja zaś udałem się do Abkuku, aby tam pod kierunkiem starego Ahmed-Idrisa i Abdalli podobną wycieczkę uczynić.

Przybywszy na miejsce o 8-mej rano, pozostawiłem w obozie Stefana wraz z resztą ludzi, a sam, wziąwszy tylko wspomnianych dwóch shikarich, udałem się do dżungli. Miałem z sobą paradoks cal. 10 i mannlichera.

Poszliśmy zrazu łąką wzdłuż brzegu dżungli. O wiorstę drogi od obozu spotkaliśmy parę gazellek mora, które bez trudu dały się zejść na 100 kroków. Zapytany przezemnie Ahmed-Idris pozwolił mi do nich strzelać bez obawy spłoszenia bawołów, gdyby się te w sąsiedztwie znajdowały. Jakoż wybrawszy większą z dwóch sztuk, strzeliłem i strzaskałem mej ofierze obie przednie nogi, tuż przy piersi. Mimo tak strasznego okaleczenia, biedne stworzenie zaczęło uciekać i skryło się w wysokich trawach dżunglowych, lecz obfita farba znaczyła wyraźnie szlak ucieczki i wkrótce biedna antylopa dostała się pod nóż moich shikarich, którzy ją szybko wypatroszyli i w gęstym krzaku ukryli. Ostrożność taka jest niezbędna, gdyż w dżungli włóczą się ciągle zbieracze gumy arabskiej, którzy na alarm, spowodowany wystrzałem, mogliby nadejść i zabitą sztukę sobie przywłaszczyć.

Ledwieśmy ruszyli z miejsca patroszenia gazelli, gdy łowcy moi wskazali mi świeżutkie ślady stada bawołów. Porzucone tu i owdzie plastry pomiotu były jeszcze ciepłe; stado musiało się znajdować bardzo blisko. Szło ono w rozsypkę, gdyż tropy zajmowały szlak szeroki. Abdallah i Ahmed-Idris posuwali się naprzód równolegle do siebie, zachowując jaknajwiększe środki ostrożności. Co chwila jeden z nich nachylał się, brał w rękę ciepły jeszcze pomiot i pokazywał mi go znacząco. Jednocześnie obaj badali okolicę swym sokolim wzrokiem.

Ja posuwałem się za nimi ostrożnie, wzruszony myślą, że za chwilę ujrzę po raz pierwszy tego strasznego zwierza, na którego widok drżą najodważniejsi myśliwi. Jakoż chwila ta szybciej nadeszła, niż mogłem się spodziewać.

Nie upłynęło może 20 minut od chwili podjęcia tropu, gdy naraz Abdallah, który w tem miejscu szedł przodem, przypadł do ziemi, ja i Ahmed-Idris powtórzyliśmy ruch ten momentalnie, gdyż był to znak, że bawoły są już na widoku. Wziąłem ostrożnie cal. 10 od Ahmed-Idrisa i broń nabiłem*). Jednocześnie Abdallah, niosący mego mannlichera, dawał mi nieme

*) Unikaliśmy zawsze dawania broni nabitej naszym ludziom od chwili, gdy jeden z nich przez nieostrożność wystrzał spowodował. Tylko broń z bezpiecznikami nosili nabitą.

znaki, bym mu w tej broni bezpiecznik zluzował, mając widocznie na myśli strzelanie do bawołów. Żądaniu temu gwałtowną pantominą odmówiłem, co mi wyszło na dobre, jak to zrozumiecie, gdy wam następnie zdarzenie z Hrabią opowiem.

Na głowie miałem bardzo jasny, prawie biały kapelusz, którego zawsze używałem w podróży; na polowanie zaś brałem inny, obszyty szaro-żółtawym materjałem *khaki*, doskonale pasującym do koloru dżungli. Nie chcąc jasnym hełmem płoszyć ostrożnych zwierząt, zdjąłem go z głowy i oddałem Ahmed-Idrisowi. Była to z mej strony wielka nieostrożność, gdyż słońce mocno paliło i narażałem się tym sposobem na porażenie słoneczne. Lecz w podobnych chwilach rozwaga ustępuje miejsca namiętności myśliwskiej.

Gdy ukończyłem te przygotowania, Abdallah podniósł się ostrożnie, a ja za nim i we wskazanym kierunku ujrzałem w odległości 120 kroków czarne masy zwierząt: stado zbite było w kupę, lecz wśród wysokiej trawy widać było tylko grzbiety i rogi bawołów. Pochyliliśmy się znowu, aby bliżej podejść stado; na nieszczęście wiatr był od nas. Ledwieśmy zrobili parę kroków, gdy bawoły kupą ruszyły; słychać było silny szum, jaki wśród suchej trawy czyniły. Przebiegłszy kilkadziesiąt kroków, stado znów się zatrzymało, nie zdając sobie widocznie sprawy, skąd im niebezpieczeństwo zagraża.

Jednocześnie obaj moi towarzysze podniecali mnie szeptem do strzelania. Jakkolwiek pozycja była trudna, bom nawet pojedyńczych sztuk odróżnić nie był w stanie, zdecydowałem się strzelać nareszcie z obawy, by dalsze próby podchodzenia nie pociągnęły za sobą ucieczki spłoszonych zwierząt. Wstałem więc ostrożnie i mierząc w kupę, nieco poniżej linji grzbietów, wypaliłem z mej ręcznej armatki.

Po strzale zwierzęta ruszyły w popłochu, obłożyły nieco na lewo i znów stanęły, jakby w niepewności, tym jednak razem już na 200 kroków. Arabowie zachęcali mnie ciągle do strzału, lecz ja, nie zważając na ich namowy, szybko zmieniłem wystrzelony ładunek i czekałem dalszego biegu wypadków. Liczyłem, że gdy się zwierzęta uspokoją, będzie je można okrążyć i z dobrym wiatrem podejść.

Aliści stado nagle ruszyło, kierując się tym razem wprost na nas. Była to chwila krytyczna. To też obaj moi łowcy w mgnieniu oka pouczepiali się niższych gałęzi akacyj, krzycząc: „Strzelaj, strzelaj". Ja stałem, nie wiedząc, czy to szarża, czy zwykły ruch przestraszonych zwierząt, które nie zdają sobie sprawy, skąd im grozi nieprzyjaciel. W każdym razie narażony

byłem na wielkie niebezpieczeństwo, bo nawet w tym ostatnim wypadku zwierzęta mogły mnie mimowoli stratować. Miałem obok cienkie drzewko, któreby zaledwie mój ciężar unieść mogło.

Na szczęście stado przebiegłszy ze 100 kroków, skręciło nieco na prawo od pierwotnego kierunku i wypadło na zupełnie odkryte miejsce. Bawoły szły jak huragan i tak zbitą masą, że niektóre z nich, znajdujące się pośrodku, unosiły się niekiedy całemi przodami do góry, parte z obu boków przez swych towarzyszów. Gdy się ze mną zrównały — a były wtedy o jakie 80 kroków — zmierzyłem w sam środek tej ciemnej lawiny i cyngiel ściągnąłem. Chciałem zaraz strzelić z drugiej lufy, lecz uczepiony za drzewo Abdallah znalazł się na linji mego strzału. Stado z hałasem zniknęło w wysokich trawach.

Pobiegliśmy na strzał i spostrzegliśmy w odległości 100 kroków, szamoczącą się w przedśmiertnej agonji sztukę. Był to niewielki, może roczny byk. Unosił się na przodku, starając się podnieść i ryczał chwilami, więc też podbiegłem na 10 kroków i skróciłem jego męczarnie, wpakowawszy mu w kark kulę z mannlichera.

W tej chwili usłyszeliśmy szybko po sobie następujące dwa strzały. Widocznie Hrabia szedł naszemi tropami i zetknął się ze stadem, do którego przed chwilą strzelałem.

Uszczęśliwiony zabiciem bawołu, poszedłem z mymi łowcami na pierwszy mój strzał, dany do stojącego jeszcze stada, lecz tu nawet farby nie znaleźliśmy. Jak przypuszczam, strzał ten musiałem zgórować.

Nakrywszy zabitą sztukę suchą trawą, aby ją ukryć przed wzrokiem ciekawych, ruszyliśmy do obozu, gdzieśmy około 10-tej stanęli. Wkrótce po nas zjawił się wysłaniec Hrabiego z rozkazem zabrania dwóch wielbłądów do przewiezienia zabitej zwierzyny.

Gdy Hrabia przybył do obozu, rzecz cała się wyświetliła. Podjęte przez niego tropy należały do tego samego stada, które mnie się zejść udało, i gdyby Hrabia, zamiast iść niewolniczo za śladami, posłuchał był własnego swego instynktu i poszedł dżunglą na przełaj, byłby jeszcze w porę mnie zdybał i w polowaniu wziął udział. Tymczasem Mohamed trzymał się ciągle tropów, które przed samym Abkukiem prowadziły znowu do rzeki, aby skręcić do dżungli w miejscu, gdzie je moi łowcy podjęli. W chwilę po moich strzałach Hrabia usłyszał tętent zwierząt. W nadziei, że to bawoły, przykucnął do ziemi, lecz zawiódł się, gdyż było to stadko baszmatów, z 6-ciu sztuk złożone. Dubletem dwa z nich trupem położył. Idąc dalej za tropem bawołów, znalazł moją zabitą sztukę, a nadto sprawdził, że druga jeszcze w stadzie farbowała, czego ani ja, ani ludzie moi nie spostrzegli. Trudno jest mi orzec, którą kulą została ta sztuka raniona, ponieważ jednak nie znalazłem farby na moim pierwszym strzale, więc przypuszczam, że moja druga kula przeszyła na wylot — prawdopodobnie przez kiszki — jedną sztukę i zabiła drugą. Przypuszczenie to potwierdza się jeszcze okolicznością, że w zabitym byku pocisk nie wyszedł na drugą stronę, co byłoby faktem niezwykłym przy szalonej penetracji paradoksów Hollanda.

Wymarsz nasz z Abkuku naznaczony został na dzień następny, więc też po południu, gdy żar słoneczny trochę ustąpił, wziąłem mych chłopców i poszedłem do dżungli. Pod zachód słońca powróciłem do obozu, przynosząc piękny okaz baszmata. Postrzeliłem też ciężko morę, lecz moi chłopcy, mimo strasznych wysiłków, dogonić jej nie mogli.

Przestrzeń pomiędzy Abkukiem a Harunem była krańcem terenu, na którym się można było spotkać z bawołami, więc też Hrabia chciał jeszcze raz skorzystać z tej ostatniej szansy i wyruszył wczesnym rankiem dnia 1-go marca naprzód w towarzystwie swych shikarich, łudząc się nadzieją, że po drodze trafi na świeże tropy tych zwierząt.

Ja z karawaną miałem później wyruszyć, by ruchów myśliwych nie krępować. Gdy więc obliczyłem, że Hrabia już dostatecznie się oddalił, wyruszyłem z miejsca obozowania; lecz zaledwieśmy zrobili z wiorstę drogi, gdyśmy w dali na łące spostrzegli naszych myśliwych, idących widocznie po tropach. Zatrzymałem karawanę i sporą chwilę wyczekałem, poczem ruszyliśmy w dalszą drogę. Wkrótce przekonaliśmy się, że Hrabia istotnie posuwa się po świeżutkich tropach stada bawołów. Szły one ciągle samą drogą, aż dopiero po jakiej półgodzinie spostrzegliśmy, że skręcają w głąb dżungli. Puściłem się z moją drużyną dalej, strzelając ptaszki do kolekcji.

W połowie drogi do Harunu, Ibrahim, który tuż za mną prowadził mego konia, rzekł nagle: „Pasza". Sądziłem, że to Hrabia, który wyszedł na drogę po niefortunnem tropieniu bawołów, lecz wnet spostrzegłem na zakręcie dwóch europejczyków, jadących konno, a za nimi dwóch innych na wielbłądach. Zmiarkowałem, że to musi być ks. Arenberg. Zrównawszy się przeto, uniosłem kapelusza i rzekłem:

— Prawdopodobnie mam szczęście rozmawiać z ks. Arenbergiem?

— Tak jest — odpowiedział mi grzecznie dwudziestokilkoletni młodzieniec o typie angielskim, czy flamandzkim, wyciągając do mnie rękę.

Zarekomendowałem mu się, poczem on mi przedstawił towarzysza swego, hrabiego Le Marois, otyłego i czerwonego mężczyznę.

Zaczęły się obustronne zapytania. Jak się okazało, panowie ci oprócz małych gatunków antylop nic dotychczas nie zabili. Księżę narzekał bardzo na Anglików, którzy mu wytknęli mniej więcej tę samą marszrutę, co i nam. Linja łącząca Gedaref i Roseires, miała stanowić wschodnią granicę jego rejonu, więc i on, tak jak my, nie mógł posuwać się do Dinderu na szerokości Dissy. Z tej rozmowy naszej widoczne było, że Smyth-bey w swych listach wykręcał się tylko, powołując się na marszrutę księcia, który rzekomo miał Dinderem podążać.

Zarekomendowawszy księciu Dissę, jako obfitującą w słonie, puściłem się w dalszą drogę i o godzinie pół do 10-tej stanąłem w Harunie, gdzieśmy rozbili obóz w cieniu niewysokich, lecz cienistych akacyj. Hrabia nadciągnął dopiero o godzinie 2-giej po południu, znużony i strasznie zrażony. Z opowiadania jego dowiedziałem się, że tropiąc ciągle bawoły, zeszedł stado

o godzinie 11-tej, lecz wskutek złego wiatru nie mógł bliżej podstąpić, jak na 110 kroków i z tej odległości strzelił. Bawoły zupełnie tak, jak ze mną dnia poprzedniego, ruszyły, zrazu odchodząc, lecz po chwili skręciły prosto na myśliwych, szły jednak kłusa, a nie galopa. Obaj łowcy wciągnęli się na drzewa i jeden z nich chwycił już Hrabiego, aby go za sobą podciągnąć, gdy najniespodziewaniej w świecie znany nam już Fadil, nastraszony widocznie szarżą zwierząt, wyskoczył, jak głupi, naprzód, zaczął wymachiwać rękoma i wreszcie wystrzelił w powietrze z zapasowego sztucera, który trzymał w ręku. Bawoły skręciły i zniknęły w dżungli, a byłyby przyszły Hrabiemu pod same nogi. Mogłem sobie powinszować, że dnia poprzedniego nie zluzowałem bezpiecznika w mym mannlicherze, gdyż inaczej Abdallah byłby mi podobną sztukę wypłatał i tak samo musiałbym patrzeć na znikające w oddali stado.

Hrabia był tym wypadkiem bardzo przygnębiony, gdyż była to ostatnia sposobność zabicia bawołu.

— Nigdy w życiu, mówił mi, nie uderzyłem w twarz nikogo. A jednak w tym wypadku porwała mnie taka pasja, że mimowoli z całej siły wyrżnąłem w papę tego idjotę. Rezultat był taki, że on uśmiechnął się czule do mnie, a mnie ręka dotychczas boli.

Resztę dnia spędziłem na preparowaniu ptaków. Około 5-tej nadciągnęło nad jeziorko stado pelikanów, około pięćdziesięciu sztuk. Brzydki ten ptak wygląda w locie nadzwyczaj majestatycznie, szczególniej, gdy zataczając wielkie koła, zapada na wodę. Ptaki dały nam się zejść tak blisko, że je Hrabia dwukrotnie fotografował przy pomocy swego aparatu. Dziwnem się to wydaje, gdyż pelikan w Europie i w Egipcie należy do najostrożniejszych ptaków.

Wieczorem około 8-mej, w chwili, gdyśmy obaj zajęci byli notowaniem wrażeń, ludzie nasi dali nam znać, że widzieli przy świetle księżyca stado bawołów, ciągnące do rzeki. Zostajemy więc na dzień następny w Harunie, gdyż Hrabia raz jeszcze chce spróbować szczęścia na tę upragnioną zwierzynę.

Lecz i w tym dniu, 2-go marca, św. Hubert nie chciał na nas spojrzeć przychylnem okiem. Całe przedpołudnie, począwszy od świtu, włóczyliśmy się, każdy na swoją rękę, po dżungli i wróciliśmy, zabiwszy po jednym arielu. Jeszcze gorzej udało nam się po południu, gdyż powróciliśmy do obozu z pustemi rękoma.

Na dzień 3-ci marca naznaczony został wymarsz do Tauli, lecz tak nam żal było porzucać te bawole ostoje, że Hrabia zdecydował się jeszcze zostać do południa. Czasem jedna chwila przyniesie więcej, aniżeli całe tygodnie. Myśliwemu przyświeca zawsze ta nadzieja, gdyż inaczej nie byłby w stanie wytrzymać tak forsownych marszów pod prostopadłemi promieniami słońca.

Poszliśmy więc o świcie — każdy w swoją stronę. Ja wziąłem obu moich shikarich i jeszcze jednego człowieka do prowadzenia osiołka, na którego zresztą wsiadł zaraz mój Mohamed, kulejący ciągle na skaleczoną nogę. Nie liczyłem bardzo na spotkanie z bawołami, zdecydowany więc byłem strzelać do wszystkiego, co tylko spotkam po drodze.

Niedaleko obozu spostrzegłem parę gazelli *(Gazella rufifrons)* i jedną z nich zabiłem na 150 kroków. Była to samica cielna. Gdy ludzie moi zajęci byli patroszeniem sztuki i spożywaniem tradycjonalnej wątróbki, spróbowałem podejść drugą sztukę, która kręciła się w pobliżu, zdziwiona zapewne nieobecnością towarzyszki; lecz zamiast niej zeszedłem młode koźlę mory *(Ourebia montana)*, które dobrym strzałem powaliłem. Tak więc w ciągu pięciu minut udało mi się zabić dwie sztuki.

Przytroczywszy obie antylopy do osiołka, ruszyliśmy dalej. Po godzinnym blisko marszu wyszliśmy na obszerną polanę, pokrytą wyłącznie trawą, do kolan wysoką. Pośrodku stał jakiś duży zwierz, lecz mu tylko górną część ciała widać było.

— *Sanhir* — objaśnili mnie łowcy.

Był to więc *phacocher*, ale niezwykle duży. Mimo, że stał od nas na jakie 150 kroków, czy nas zwietrzył, czy usłyszał, bo łeb do góry zadarł i nasłuchiwał. Strzeliłem doń z tego miejsca, lecz zwierz ruszył, a przebiegłszy kilkadziesiąt kroków, znowu przystanął. Strzeliłem powtórnie. Dzik ruszył z kopyta i zniknął nam w gąszczu. Żałowałem potem, żem nie starał się podejść go od strony dżungli, gdyż tym sposobem udałoby mi się może zmniejszyć odległość do 100 lub 80 kroków. A był to rzeczywiście okaz wyjątkowo duży.

W dniu tym mieliśmy szczęście do *phacocherów*, gdyż nieco dalej spotkaliśmy znowu całe stado, złożone z 4-ch sztuk (2 duże i 2 mniejsze), a w powrotnej drodze łowcy moi prawie że nastąpili w wysokich trawach na wielkiego odyńca, który z hałasem z przed nóg im pomknął. W obu jednak wypadkach nie doszło do strzału.

Około godziny jedenastej wróciłem do obozu, a wkrótce potem nadciągnął i Hrabia. Wnet po śniadaniu karawana wyruszyła naprzód, a w godzinę po niej i my obaj wraz z naszymi łowcami puściliśmy się w drogę. Odtąd w powrotnej drodze szliśmy zawsze za karawaną: ruszając z południowego postoju, doganialiśmy ją zwykle po półtoragodzinnym marszu i przybywaliśmy pierwsi na nocleg. Tylko rano, zwijając obóz, ruszaliśmy stale przed karawaną.

O 4-tej zatrzymaliśmy się na nocleg w Tauli. Ja strzelałem przez resztę dnia ptaszki do kolekcji, gdy Hrabia zrobił w okolicy wycieczkę, z której powrócił, zabiwszy młodego ariela.

4-go marca. Wymarsz o godzinie 5¾. O wpół do dziesiątej przybywamy na południowy postój do Ahmed-Mogit. Włócząc się przy obozie w celu zabicia paru ptaków do kolekcji, odkryłem tropy jakiegoś wielkiego drapieżnika. Przywołany Ahmed-Idris orzekł, że są to ślady pantery. Zaschła krew i skotłowana ziemia świadczyły, że straszny ten łupieżca zamordował tu jakąś ofiarę. Poszliśmy za tropami i w odległości kilkudziesięciu kroków znaleźliśmy ukrytego w gęstym krzaku trupa ariela. Drapieżnik przegryzł mu kręgi szyi, o czem świadczyły głębokie rany po obu stronach karku; następnie wyżarł mu cały jeden bok, poczynając od łopatki, aż do ogona. Była to doskonała okazja do zrobienia zeriby, gdyż zwierz niechybnie powinien był wrócić nocą do swej zdobyczy. Lecz czas mieliśmy obliczony i śpieszyć należało, aby stanąć na 24-go w Kairze. Po śniadaniu więc ruszyliśmy i na nocleg stanęliśmy w Tibnie. Hrabia zrobił jeszcze dnia tego małą wycieczkę, z której powrócił uradowany, zabiwszy najniespodziewaniej wielką antylopę „tetela" *(Bubalis tora)*. Mięso jej zostawił na miejscu, gdyż w pobliżu łowcy widzieli pomykającą lwicę wraz z młodym. Gdyby więc w nocy drapieżnik mięsa spróbował, możnaby nań zasiąść dnia następnego. Lecz wbrew oczekiwaniom lwica do trupa antylopy nie przyszła.

Ranek dnia 5-go marca poświęciliśmy obaj na wycieczkę myśliwską w okolicy Tibny. Hrabia wziął ze sobą swych shikarich; do mnie przyłączył się Stefan. Dnia tego mogłem sprawdzić, jak zwierzyna sudańska nie zdaje sobie sprawy, skąd strzał pochodzi. Ukryty za gniazdem termitowem, strzeliłem na jakie 200 kroków do jednego z pary arielów, stojącej na środku polany. Po chybionym strzale obie antylopy puściły się prosto ku mnie, podbiegły na 60 kroków i stanęły. Ja tymczasem szybko nabój zmieniłem i na ten bliski dystans położyłem

trupem jednego z pary. Byłbym prawdopodobnie sprzątnął i drugiego, lecz ładunek zaciął mi się w magazynie i zanim zdążyłem złe naprawić, zwierz uszedł. Zabiwszy potem jeszcze jednego ariela, około 10-tej wróciłem do obozu, gdzie już zastałem Hrabiego przy nakrytym do śniadania stoliku.

Była to moja ostatnia wycieczka myśliwska w Sudanie. Odtąd raz jeszcze miałem sposobność użycia mego karabinu, jak się wkrótce przekonacie.

Grodziccy - Fogurdot.

ROZDZIAŁ X.

Polowanie na hypopotamy. — Dublet do aborufów. — Lwiątko. — Forsujemy marsze. — Zjawisko miraża. — Powrót do Chartumu.

Karawana wyruszyła z obozowiska w południe, my zaś w godzinę po niej, jak to było naszym zwyczajem w powrotnej drodze. Nie ujechaliśmy jednak 6-u wiorst, gdy spotkaliśmy mego służącego Alego w towarzystwie jednego z właścicieli wielbłądów, czekającego na nas z wiadomością, że tuż obok na rzece zaległy cztery hypopotamy, z których jeden był nawet przed chwilą na lądzie. Zboczyliśmy tedy ze 200 kroków od drogi i podjechaliśmy do rzeki.

Brzeg w tem miejscu był na parę piętr wysoki, skąd widać było lustrzaną powierzchnię Nilu. Rzeka w tem miejscu usłana jest całym archipelagiem drobniutkich wysepek ze stwardniałego iłu, wybielonych pomiotem ptaków, które widocznie zwykły tu swe sjesty odbywać. W górę rzeki od tych wysepek woda tworzy rodzaj spokojnego basenu i to zapewne skłoniło hypopotamy do obrania sobie tego miejsca na siedzibę. Domyślać się też można było, że zgromadziły się tu widziane przedtem w Riguebie gruboskóry, skąd je wypłoszyli uganiający się za rybami krajowcy.

Przeczekawszy chwilkę, ujrzeliśmy kolejno wszystkie cztery potwory, wynurzające się perjodycznie z wody. Jeden z nich ukazywał nam swą wstrętną głowę nie dalej, jak na jakie 100 kroków i do tego zdecydowaliśmy się strzelać obaj razem na komendę. Przyklęknąwszy więc, z oparcia zmierzyliśmy do

niego — i Hrabia zwolna zakomenderował: „Raz — dwa — trzy"! Dwa strzały zlały się w jeden... Olbrzymia głowa zwolna zatonęła i jesteśmy dotychczas przekonani, że zwierz otrzymał śmiertelny postrzał, gdyż od tej chwili, mimo skrupulatnego przeglądu całej okolicy, już tylko trzy hypopotamy na powierzchnię wypływały.

Jeden z nich wynurzał perjodycznie swą głowę w bliskości przeciwległego brzegu, zatem na jakie 350 do 400 kroków od nas. Hrabia strzelił do niego przez lunetę ze swego cal. 303, lecz kula upadła w wodę o kilka kroków po za nim. Zwierz znurkował, a po chwili spostrzegliśmy ze zdziwieniem, że wy-

Po hypopotama.

płynął w pobliżu miejsca, gdzieśmy pierwszego strzałami poczęstowali. Hrabia, nie namyślając się, strzelił do niego, mierząc za ucho. Zwierz zwolna zatonął, a ludzie nasi stanowczo orzekli, że ugodzony został śmiertelnie.

Tak więc przypuszczalnie mieliśmy w rzece dwa zabite hypopotamy. Należało teraz czekać, póki na powierzchnię wody nie wypłyną, co nastąpić mogło dopiero wtedy, gdy gazy brzuch dostatecznie rozedmą. Okres ten zależny jest od temperatury wody i gdy w stojących, niewielkich kałużach ciało hypopotama wypływa po 2½ godzinach, w rzekach o względnie

niskiej temperaturze wody ukazuje się ono dopiero po 6-ciu i więcej godzinach.

Naradziliśmy się, co w tym wypadku począć. Ja byłem zdania, że najlepiej jest cofnąć karawanę do tego miejsca i tu rozłożyć się obozem; lecz Hrabia po naradzie z łowcami zdecydował się jechać dalej do Rigueby, na miejscu pozostawiając jedynie paru ludzi, którzyby dopilnowali chwili, kiedy trupy wypłyną. Była wtedy godzina 3-cia po południu. Zostawiwszy Mohameda i Hassaballę, pociągnęliśmy do Rigueby, gdzie na godzinę 5-tą stanęliśmy.

Wieczorem nadciągnęli do obozu dwaj nasi łowcy z wiadomością, że wprawdzie nie wypłynął na wierzch żaden z dwóch hypopotamów, lecz że w miejscu, gdzie Hrabia strzelał do drugiego z nich, krokodyle wciąż się kotłowały, coby dowodziło, że tam się znajduje trup jednego z nich. Polecił też im Hrabia, aby jeszcze przed świtem wrócili na miejsce, a jednocześnie wysłał jednego z shikarich, aby czatował nad rzeką *vis-á-vis* Rigueby, czy który z zabitych hypopotamów nie płynie.

Tymczasem mieszkańcy Rigueby opowiedzieli nam, że lew od zabitej przez nas lwicy włóczy się wciąż po okolicy i że często zasiada na drodze w miejscu, gdzieśmy jego towarzyszkę zabili. Według ich opowiadania, ks. Arenberg strzelał do niego cztery razy, lecz chybiwszy, dał za wygraną. Wiadomość tę podaję z dobrodziejstwem inwentarza, gdyż Sudańczycy nie słyną z prawdomówności.

Jeszcze przed śniadaniem dnia 6-go marca przyszedł Mohamed z wiadomością, że trup jednego z hypopotamów wypłynął na powierzchnię i oparł się o jedną z wysepek na rzece. swego hypopotama, unosiło się — niby wielka, cielista bomba — z sobą wielbłądy, aparaty fotograficzne, oraz kilku ludzi do pomocy.

Była to prawdziwa wędrówka narodów, gdyż wieść o zabiciu hypopotama lotem błyskawicy rozniosła się po okolicy i wszyscy Arabowie z pobliskich wsi ciągnęli, jak sępy na żer.

W miejscu, gdzieśmy przed paru tygodniami lwicę zabili, spotkaliśmy tropy wielkiego lwa, jak się należy domyślać, nieutulonego w żalu wdowca.

Jadąc dość szybko, w półtorej godziny stanęliśmy na miejscu. Kilkudziesięciu Arabów płci obojga roiło się już na brzegu, a liczba ich zwiększała się coraz to nowymi przybyszami. Wszyscy łykali ślinkę na myśl o łakomym kąsku. Pośrodku rzeki w odległości 150 kroków, w miejscu, gdzie Hrabia strzelał do swego hypopotama, unosiło się — niby wielka, cielista bomba—

ciało potwora, oparte o jedną z wysepek, a przy nim 6-ciu Arabów na małych tratewkach z trzciny czekało naszych rozkazów, przeciągnąwszy do brzegu linę, której jeden koniec przywiązany był do zwierzęcia.

Rozpoczęła się wtedy trudna i mozolna czynność holowania potwora do brzegu. Olbrzymie cielsko osiadało ciągle na mieliźnie, a ludzie na tratewkach, nie mając dobrego punktu oparcia, z trudnością mogli je podważać. Zachodziła ciągła obawa, że wątła i w wielu miejscach powiązana lina, pęknie przy lada naprężeniu. Wreszcie po godzinnych przeszło wysiłkach zdołano hypopotama do brzegu przyciągnąć i do połowy z wody wynurzyć.

Szybko obciągnięto skórę i łeb do wypchania odrąbano. A była to główka nie lada, skoro ją czterech silnych ludzi z trudnością unieść mogło. Wycięte z samego karku mięso tworzyło wielką masę wagi przynajmniej kilkunastu pudów. Rozkład już się na dobre zaczął i przykra woń unosiła się w powietrzu. Mimo to Arabowie z zapałem ćwiartowali nadgniłe mięso, kłócąc się i hałasując w sposób niemożliwy.

Zrobiwszy kilka zdjęć fotograficznych, wygrzebaliśmy się po stromym i wysokim brzegu, gdzie też wyciągnięto nie bez trudu głowę hypopotama. Podczas, gdy ją ładowano na wielbłąda, trzy dziewczynki lat około 12-u, zaintonowały jakiś hymn dziękczynny na cześć „Paszy" (Hrabiego). Arabowie nie mogli wyjść z podziwu, że tak mała kulka (cal. 303) zabiła tak potężnego zwierza.

Uszczęśliwieni rezultatem naszej wyprawy, wróciliśmy do Rigueby około 5-ej po południu. Resztę dnia i wieczór poświęciłem na preparowanie ptaszków do kolekcji.

7-go marca. Pozostaliśmy w Riguebie do południa, gdyż należało łeb odpowiednio do wypchania przyrządzić. Gdy ja włóczyłem się w bliskości obozu, strzelając ptaszki do kolekcji, Hrabia zrobił jeszcze wycieczkę myśliwską, z której powrócił około 9-ej rano, przywożąc z sobą dwa aborufy *(Hippotragus equinus)*, które dubletem zabił. Była to para roczniaków, ale już dobrze wyrośnięta: samiec i samica. Mieszkańcy Rigueby zdziwieni byli tym plonem, gdyż w okolicy nie spotykali nigdy tej pięknej antylopy. Nawet łowcy Hrabiego wzięli je w pierwszej chwili za bydło rogate. Według ich przypuszczenia lew musiał porwać matkę tej młodzieży, gdzieś bardzo daleko, a wystraszone tem antylopy przywędrowały aż pod Rigubę. W każdym razie ucieszyliśmy się bardzo z tego pięknego nabytku, który znakomicie wzbogacił kolekcję trofeów naszej wyprawy.

Opuściliśmy Riguebę o godzinie 2-ej po południu, wyprawiwszy na godzinę przedtem naszą karawanę i stanęliśmy na noc w Naamie. Przyniesiono tu nam kilkodniowego lewka, którego złowiono tegoż samego ranka w okolicach Rigueby. Hrabia kupił go za 20 piastów (około 2 rubli) z zamiarem przewiezienia do Antonin. Był to niewielki kociak z cętkami na ciele i z pręgowatym ogonem. Zrazu karmiliśmy go, przystawiając do cycka owcy lub kozy, których stada po drodze spotykaliśmy. Później jednak dragoman Szaja wpadł na dobrą myśl i z wymienia kozy zrobił sztuczny smoczek, do którego nalewano krowiego mleka. Lewek rósł nam w oczach i był powodem sensacji we wszystkich osadach i miasteczkach, gdzieśmy się zatrzymywali.

Dzień 8-go marca był ostatnim dniem naszego polowania. W drodze zabiliśmy 7 pentarek, a Hrabia powiększył jeszcze swą kolekcję trofeów pięknym okazem gazeli rdzawoczelnej *(Gazella rufifrons)*.

Odtąd szliśmy już bardzo forsownemi marszami, robiąc średnio po 50 kilometrów dziennie, na co myśmy zużywali około 9-u, a karawana około 11-u godzin. Porządek naszych marszów był następujący: my dwaj w towarzystwie Stefana, Ahmeda i obu saisów, prowadzeni przez Husseina, wyruszaliśmy z obozu o 4-ej rano, zostawiając w tyle karawanę i jechaliśmy bez zatrzymywania się do godziny 10-ej. Karawana doganiała nas zwykle w półtorej godziny. Jedliśmy śniadanie i o 1-ej po południu puszczaliśmy naprzód karawanę, sami wyruszając o 2-ej, następnie prześcignąwszy obóz, stawaliśmy około 5-ej na nocleg. Tym sposobem w niedzielę, 10-go marca, stanęliśmy w Senaarze, gdzie pożegnaliśmy się z naszymi łowcami: Idrisem, Mohamedem i Abdallą. Tylko jeden Ibrahim towarzyszył nam do Wod-Medani, gdzie stanęliśmy 12-go marca o godzinie 12½ w południe, zrobiwszy dnia tego 50 kilometrów w półdniowym marszu.

Wskutek tak szybkiej jazdy wszystkie nasze wierzchowce i wielbłądy przybyły do Wod-Medani bardzo zmęczone, więc też należało im dać jaki taki wypoczynek, a to tem bardziej, że wskutek zmniejszenia się naszego ładunku można było zredukować ilość wielbłądów z 24 do 12; te więc 12 od Wod-Medani poniosły znacznie cięższy ładunek.

Z tych wszystkich względów zatrzymaliśmy się w Wod-Medani całą jedną dobę, korzystając z grzeczności pułkownika Fibbs'a i kapitana Armstronga, którzy nam gościnę w swym domu ofiarowali. Był to nasz pierwszy etap w powrocie do cywilizowanego świata. Ciż Anglicy udzielili nam chętnie gazet londyńskich, a nadto dali do przeczytania wszystkie najnowsze de-

pesze agencji Reutera. Niewiele wprawdzie dowiedzieliśmy się z nich, gdyż większość zawierała wiadomości o królu Edwardzie VII lub szczegóły o wojnie transwalskiej; w każdym jednak razie stanowiły one pożądany pokarm dla naszych zgłodniałych umysłów.

Wszyscy nasi wielbłądnicy pochodzili z Wod-Medani, a więc dziwić się nie można, że gdy przyszła chwila wyjazdu w d. 13 marca, wiele trzeba było trudu, aby ich z uścisków stęsknionych połowic i rodzeństwa wyrwać. Wreszcie o godzinie 12-ej karawana była gotowa do drogi; my zaś obaj wraz ze Stefanem, Ahmedem i Husseinem pozostaliśmy jeszcze, aby w gościnnym domu oficerów angielskich zjeść smaczny *luncheon*.

Odległość między Wod-Medani a Chartumem wynosi około 170 kilometrów w prostej linji, biorąc więc pod uwagę liczne zakręty drogi, śmiało możemy ją obliczyć na 180 kilometrów. Przestrzeń tę karawany odbywają zwykle w 5 do 6 dni. My jednak, kierowani niezwykłą energją hr. Potockiego, zaledwie 3 pełne dni marszu na tę drogę zużyliśmy.

Ostatni nocleg wypadł nam w miasteczku Nubie, o 55 kilometrów od Chartumu. Zostawiwszy karawanę za sobą, wyruszyliśmy z obozowiska o godzinie 4-ej rano. Hrabia i Stefan jechali na osiołkach. Hussein i Ahmed na wielbłądach, ja zaś na mej wiernej, szpakowatej klaczy, która mimo półtoramiesięcznej, nieustannej służby, znajdowała się w doskonałej kondycji. Przyłączył się też do nas sais Hrabiego, Mohamed, który mimo perswazji nie chciał iść z karawaną, upodobawszy sobie kłusa na własnych nogach, byle tylko prędzej dostać się do swego rodzinnego miasta. Wzięliśmy z sobą zimne zakąski i zapas wody.

Cały kraj między Wod-Medani a Chartumem przedstawia się jako obszerny step, pokryty białawą zeschłą trawą i rzadko rozsianemi, kolczastemi krzakami. Widok więc wszędzie mieliśmy rozległy, choć niezwykle monotonny.

Z każdego niemal punktu naszej drogi mogliśmy obserwować ciekawe zjawiska mirażu: były to jakby wielkie jeziora, w których, jak w lustrzanej powierzchni, odbijały się krzaki lub drzewa. W miarę zbliżania się jezioro nikło i pozostawał suchy, białawy step, urozmaicony rzadko rosnącą, drzewiastą roślinnością. To znów niekiedy na dalekim widnokręgu ukazywała się grupa wielbłądów; w miarę jednak, jak odległość między niemi a nami malała, wielbłądy się zmniejszały, aż w końcu zdumionym naszym oczom przedstawiała się partja Arabów na osiołkach. Wszystkie przedmioty, widziane ze znacznej odległości, wydłu-

żały się bardzo w kierunku od góry do dołu, wskutek czego ocenialiśmy zawsze przestrzeń dzielącą nas od nich niewłaściwie.

Te ciekawe zjawiska urozmaicały trochę jednostajność naszej podróży, którą zresztą staraliśmy się skrócić rozmową lub wygwizdywaniem znanych piosenek. Myśl naszą zaprzątała ciągle nadzieja, że wkrótce dotrzemy do Chartumu, gdzie na nas czekają pakiety listów z kraju. Półtora miesiąca przerwy, jakież to zmiany sprowadzić mogło! Kto nie był, tak jak my, odcięty przez dłuższy przeciąg czasu od świata cywilizowanego, ten nigdy nie zrozumie, na jak ciężką próbę wystawiona jest cierpliwość ludzka w ostatnich chwilach podróży. Trucht, a nawet kłus naszego wierzchowca wydaje nam się tak powolnym, że mimowoli ruszamy bezustanku naszemi omdlałemi nogami, jakby to mogło tempo naszej jazdy przyśpieszyć.

Począwszy od Nuby, droga karawanowa porzuca brzegi rzeki, uchylając się znacznie *na prawo*, a wskutek tego omija wszelkie osady ludzkie, które, jak wiadomo, rozsiane są prawie wyłącznie nad samym Nilem. To też w ostatnim dniu naszej podróży jechaliśmy ciągle stepem bezludnym, zostawiając na prawo wsi i miasteczka, które grupami palm daktylowych zdradzały swoją obecność.

O pół do 10-tej zatrzymaliśmy się chwilę przy studzience, na ruinach jakiegoś domostwa. Stefan i Ahmed szybko ustawili składany stolik i krzesła. Zakąsiliśmy zimnemi konserwami, popiliśmy Apollinarisem i białem winem, a wpół godziny potem — jazda w drogę.

Pusty i monotonny step nie dawał nam dokładnej miary, jak szybko się naprzód posuwamy. Czasami, gdy nam nogi od dłuższej jazdy zbytnio omdlewały, zsiadaliśmy z naszych wierzchowców i biegliśmy kłusem lub szliśmy szybkim krokiem. Dawało to wypoczynek i nam, i naszym rumakom.

Była może godzina 12-ta w południe, gdy w oddali nad horyzontem ujrzeliśmy dwie niewielkie, podłużne chmurki. Rosły one stopniowo, zbliżały się do siebie, a zarazem do linji horyzontu, aż w końcu zlały się w jedną i z widnokręgiem złączyły. Potem rosły ciągle i rosły, póki nie przybrały form wielkiego pasma gór, widzianego ze znacznej odległości. Było to niewysokie wzgórze za Omdurmanem, — miejsce, na którem przed półtrzecia rokiem generał Kitchener złamał potęgę Kalify. Z racji mirażu wzgórza te przybrały rozmiary potężnego łańcucha górskiego.

Odtad byliśmy świadkami całej serji przeobrażeń na dalekim widnokręgu. Na prawo od pasma gór poczęły występować

pojedyńcze plamki, które znów w miarę naszego zbliżania się rosły, łączyły się z sobą i zlewały z horyzontem. Jednocześnie wynurzała się z przezroczego, jak kryształ, powietrza, jedna wielka, podłużna, czerwona plama o konturach nierównych i bezustannie falujących. Był to Chartum ze swemi grupami palm daktylowych i z wielkim gmachem Kolegjum Gordona.

Wierzchowce nasze, przeczuwając bliski koniec mozolnej podróży, raźno szły naprzód. Odległość szybko malała, coraz wyraźniej malowały się kontury pojedyńczych domostw. O godzinie kwadrans na drugą mijaliśmy już murzyńską dzielnicę miasta, a w pół godziny potem z niekłamaną radością zajeżdżaliśmy przed werendę Chartumskiego hotelu, przebywszy w pół dnia 55 kilometrów, dzielących Nubę od Chartumu.

Była to chwila *luncheonu*, więc też przy kilku stołach siedział z dziesiątek hotelowych gości, którzy nam się pilnie przyglądali. Znać było po ich ogorzałych twarzach, że nie są to turyści: a zresztą sezon turystowski już się był skończył. Wszyscy oni, tak jak i my, przybyli tu z głębi kontynentu: ten z Ugandy, tamten z Fashody, inny wreszcie aż ze Stanu Congo, zrobiwszy tę samą drogę, która Stanley'a okryła nieśmiertelną sławą.

Dyrektor hotelu przyniósł nam cały pakiet listów i „Kurjerów Warszawskich", które z chciwością odczytywaliśmy, zanim nam jedzenie przyrządzono. Samo pobieżne czytanie listów zajęło mi blisko 2 godziny czasu: „Kurjery" zostawiłem na potem, aby je skrupulatnie przestudjować — niemal że z ogłoszeniami.

Przypominam wam, że przyjazd nasz do Chartumu wypadł w sobotę, 16 marca. Była to dla nas okoliczność nader szczęśliwa, bo następnego wtorku miał odejść z Chartunu ostatni w sezonie pociąg osobowy. Mieliśmy więc dość czasu, aby nasze rzeczy spakować i różne sprawy przed wyjazdem załatwić.

Wśród gości hotelowych poznaliśmy kapitanów Sandersa i Dugmore'a. Pierwszy z nich, gubernator Fashody wiózł z sobą parę kłów zabitego przez siebie słonia, z których każdy ważył około 140 funtów angielskich. Są to zatem największe kły, zdobyte przez sportsmena. Znana jest wprawdzie z wystawy w Antwerpji para kłów, ważących po 200 funtów każdy, lecz tamte były niewiadomego pochodzenia i rekord w tym razie należy do kap. Sandersa. Żądał on za te wspaniałe trofea 300 funtów (około 3.000 rubli).

Dugmore, wracający z Ugandy, wiózł z sobą również parę wspaniałych kłów słoniowych, ważących 106 i 104 funty.

Poznaliśmy też w Chartumie porucznika Bertranda, Belgijczyka, zostającego w służbie Stanu Congo. Znany ten eksplorator przedostał się tu z Congo i wracał teraz na urlop do kraju po 3 latach nieobecności. Mieliśmy z niego nadzwyczaj sympatycznego towarzysza podróży w drodze do Kairu.

Nie będę was nudził szczegółami naszej powrotnej drogi. Zaznaczę tylko, że z Chartumu wyruszyliśmy we wtorek, 19-go marca, i stanęliśmy w Wadi-Halfie we czwartek. Stąd na rządowym parostatku zrobiliśmy podróż do Assuanu, gdzieśmy stanęli 23 marca, a następnego dnia, o godzinie 7-ej rano, byliśmy już w Kairze. Napływ turystów z końcem sezonu był tu tak wielki, że ledwie dostaliśmy dwa miejsca na statku „Semiramis", na którym w dniu 30 marca odpłynęliśmy z Aleksandrji.

W Brindisi pożegnałem hr. Potockiego, który zdążał na święta Wielkiej Nocy do Rzymu, a sam stanąłem w Wielki Piątek wieczorem w Warszawie, witany przez przyjaciół i dobrych moich znajomych. Tak więc podróż moja trwała równe trzy miesiące.

Rzućmy teraz okiem na rezultat naszej wyprawy. Oto lista zwierzyny, zabitej przez nas obu:

Słoń (samica)	1
Lew (samica)	1
Bawół (młody samiec)	1
Hypopotam (samiec)	1
Antylopa „roan" *(Hippotragus equinus)*	3
Antylopa „waterbock" *(Kobus defassa)* .	1
Antylopa „hartebeest" *(Bubalis tora)* .	1
Gazella „ariel" *(Gazella Soemmeringi)* .	15
Gazella „rdzawoczelna" *(Gazella rufifrons)*	5
Antylopa „baszmat" *(Cervicapra bohor)* .	7
do przeniesienia	36 sztuk

z przeniesienia	36
Antylopa „mora" *(Ourebia montana)* .	5
Phacocher *(Phacochoerus aeliani)* .	3
Ogółem —	44 sztuki

grubego zwierza.*)

Czy rezultat ten uważać należy za dodatni? Odpowiedź na to znajdziemy w zestawieniu powyższych cyfr z ilością czasu, jaki na właściwe polowanie zużyliśmy. Bo jakkolwiek podróż nasza zajęła okrągłe 3 miesiące, to jednak na terenach myśliwskich spędziliśmy zaledwie 23 dni, to jest od 13 lutego (przybycie do Rigueby) do 7 marca (powrót i wyjazd z Rigueby). W tych 23 dniach były też całe dni i półdniówki marszu, podczas którego zabicie jakiejbądź sztuki wypadkowo tylko zdarzyć się mogło; a w dodatku mój charakter kolektora i preparatora ptaków nie zawsze pozwalał mi się oddawać ulubionemu sportowi. Biorąc to i drugie pod uwagę, obliczyłem skrupulatnie podług dziennika wszystkie dni polowania, licząc za dzień pełny — jeśli obaj robiliśmy całodzienną wycieczkę myśliwską, za pół dnia — jeśli obaj polowaliśmy tylko pół dnia i za ¼ dnia — jeśli jeden z nas dwóch polował tylko ½ dnia, gdy drugi pozostawał w obozie. Według tego porządku wypada: 9 pełnych dni, 6 półdni i 4 ćwierćdni, co razem daje *13 pełnych dni polowania w czasie całej naszej wyprawy.*

Biorąc to pod uwagę, uważać musimy rezultat naszej wyprawy jako bardzo dobry, i za taki też uważany jest przez miarodajnych sportsmenów wiedeńskich.

Nie od rzeczy też będzie zestawienie rezultatów czterech innych wypraw, które jednocześnie z nami Sudan odwiedziły.

Wyprawa Hoyos - Buxton. Brało w niej udział czterech uczestników (dwóch hr. Hoyosów i dwóch braci Buxtonów). Kierunek: prawy brzeg Nilu. Czas trwania wyprawy (od Chartumu do Chartumu) ten sam, co i naszej ekspedycji, lecz sportsmeni ci znacznie szybciej dotarli do terenów myśliwskich i później je opuścili. Zabito: 8 bawołów, 1 lwa, 1 panterę, 1 serwala (dzi-

*) Oprócz tego padło podczas naszej wyprawy: pentarek — 62, dzikich gęsi — 2, dzikich kaczek — 12, żórawi — 7, ibisów — 2, orłów — 2, jastrzębi — 2, i 80 drobnych ptaszków, które powiększyły zbiory Muzeum hr. Branickich w Warszawie.

ki kot) i 72 antylopy. Jeden z uczestników, a mianowicie młodszy hr. Hoyos, został silnie przez ranionego bawołu poturbowany, lecz na szczęście skończyło się tylko na kontuzjach.

Wyprawa Teleky-Coloredo. Brało w niej udział dwóch sportsmenów (hr. Teleky i ks. Coloredo). Kierunek: Chartum, Wod Medani na Gedaref do rzeki Atbary i jej brzegami powrót do Berberu. Czas trwania — znacznie dłuższy od naszej. Zabito: 2 słonie, 3 bawoły, 1 lwa i sporo antylop.

Wyprawa ks. Arenberga. Dwóch uczestników (ks. Arenberg i hr. Le Marois). Kierunek identyczny z naszym (Chartum — Dissa i z powrotem). Czas trwania — nieco dłuższy od naszej ekspedycji. Zabito: 1 słonia, (?), 1 hypopotama i trochę mniejszych antylop.

Wyprawa ks. Liechtensteina. Jeden uczestnik. Kierunek od Chartumu na El-Obeid w głąb kontynentu. Przestrzeń przebyta (w jednym kierunku) 1600 mil angielskich. Głównym celem wyprawy było zdobycie rzadkiego dzikiego barana *(Ovis tragelaphus).* Ks. Liechtenstein barana tego nie zdobył, a zabił tylko kilka antylop *(Oryx leucoryx i Gazella ruficollis).*

Zestawiając powyższe rezultaty, widzimy, że czołowe stanowisko zajmuje bezwarunkowo wyprawa Hoyos-Buxton. Przyczyniła się do tego przedewszystkiem znaczna liczba uczestników (czterech), powtóre — najbogatszy teren myśliwski z całego Sudanu, jakim jest prawy brzeg Nilu Białego; potrzecie — względna szybkość dostania się do niego (od Chartumu 6 dni parowcem), dzięki czemu wyprawa mogła odbywać polowania w ciągu dni 40-tu (od 27 stycznia do 6 marca).

Jakkolwiek wyprawa hr. Potockiego zajmuje względnie do czasu i liczby uczestników drugie dopiero miejsce, to jednak pocieszyć się możemy, że poza sportsmeńskiemi — zdobyła ona ważne rezultaty naukowe. Obecności w Sudanie antylop: „baszmata" *(Cervicapra bohor)* i rdzawo-czelnej *(Gazella rufifrons)* nikt przedtem nie podejrzewał; zdobycie więc obu tych gatunków, jak również bardzo rzadkiej „mory" *(Ourebia montana),* jest ważnym przyczynkiem naukowym. Gazella rdzawo-czelna należy także do wielkich rzadkości zoologicznych i niewiele muzeów europejskich może się poszczycić jej posiadaniem, a myśmy na szczęście zachowali jeden całkowity egzemplarz, który słynny Ward londyński wyprosił sobie do swych zbiorów.

Nie mogę też pominąć milczeniem, że doskonały rezultat naszej wyprawy w znacznym stopniu przypisać należy wyjątkowej energji, oraz znakomitemu talentowi organizatorskiemu wo-

dza naszego, hr. Józefa Potockiego. Sam nieczuły na trudy i dolegliwości, przykładem swym nieustannie podtrzymywał w nas słabnącego pod wpływem znużenia, ducha; sam o wszystkiem myślał, o wszystkiem pamiętał, niczego nie pominął. Nic też dziwnego, że wśród tych dzikich przestrzeni zażywaliśmy względnego dobrobytu, żeśmy na chwilę nie zerwali z cywilizacją, bo nam ją ciągle wszelkie wygody obozowe przypominały.

Ja osobiście mogę się uważać za nader szczęśliwego, bo nie mówiąc o drobniejszej zwierzynie, z którą niemal codziennie miałem do czynienia, w tak krótkim stosunkowo czasie udało mi się zetknąć z trzema najgroźniejszymi nieprzyjaciołmi człowieka: słoniem, lwem i bawołem. Nigdy też nie zapomnę hr. Potockiemu, że mnie do tej wyprawy zaangażował, i do grobu wdzięczność dla niego poniosę, on to bowiem był przyczyną, żem wielki szmat Czarnego Kontynentu zwiedził i zaznał tak nowych, a tak silnych i trwałych wrażeń.

PTAKI NAD NILEM NIEBIESKIM.

ie wiem, czy znajdzie się gdzie na świecie zakątek, w którymby ptactwo w czasie swych zimowych wędrówek gromadziło się w takiej ilości, jak nad brzegami Nilu Błękitnego. Czy przyczyną tego niebywałego zlotu są wyjątkowe warunki bytu, o tem sądzić nie mogę, bo nie mam do tego żadnych danych; a byćby też mogło, że tak masowe zbiorowiska ptaków powtarzają się wszędzie na krańcowych punktach ich wędrówek. Czy tak, czy owak, przyrodnik, lub myśliwy, zwiedzający w porze zimowej brzegi Bahr el Azraku, jak Arabowie nazywają Nil Błękitny, zdumiony jest widokiem niezliczonych stad błotnego i wodnego ptactwa, jakie na pobrzeżnych mieliznach lub na sąsiadujących jeziorkach spotyka.

Piękna ta rzeka, tocząca swe prawdziwie błękitne wody z gór abisyńskich, przy złączeniu się ze swą siostrzycą — Nilem Białym — posiada brzegi niezbyt wysokie; w miarę jednak, jak zbliżamy się ku granicy Abisynji, brzeg jej staje się coraz wyższym, aż w końcu dosięga kilkopiętrowej wysokości. Samo łożysko, licząc od brzegu do brzegu, wynosi może 500 lub więcej kroków, lecz gdy w porze suchej, w której Sudan odwiedziliśmy (luty i marzec), woda znacznie opada, pozostają raz po jednej, to znowu po drugiej stronie, obszerne mielizny piaszczyste, na których ptactwo przelotne z upodobaniem zapada.

Poczynając od osady Mashra-Abad, wzdłuż lewego brzegu rzeki i równolegle do niej, ciągnie się dolina, posiadająca mniej więcej tę samą szerokość, co i Nil Błękitny, to jest około 500 kroków w przecięciu. Od rzeki dzieli ją wał niezbyt wysoki i rozmaitej szerokości, porośnięty zazwyczaj wielką trzcinowatą trawą. Lewym swym brzegiem przylega ona bezpośrednio do dżungli. Dolinę tę uważać należy za dawne koryto Nilu, które wskutek stopniowego zamulania stało się niedostępnem dla wody rzecznej i powoli trawą zarosło. Jako ślady jednak dawnego zbiornika, pozostały jeszcze liczne jeziorka i kałuże wody, które spotykamy co pewną przestrzeń na dnie doliny. Woda w tych rezerwuarach zasila się deszczami w porze dżdżystej i stosownie do głębokości utrzymuje się przez rok cały, lub też wysycha pod koniec pory znojów.

Nie wszystkie wspomniane jeziorka są tego samego typu, gdy bowiem jedne z nich tworzą proste kałuże wody o brzegach mulastych, inne są w znacznej części zarośnięte kępiastą trawą i liljami wodnemi, jak nasze poleskie trzęsawiska. Jak jedne, tak i drugie są doskonałemi żerowiskami dla błotnego i wodnego ptactwa, które na płytkiej, przybrzeżnej wodzie lub wpośród kęp trawy z łatwością znajduje sobie niezbędne na pokarm żyjątka.

Dzięki tak szczęśliwym warunkom podróżnik co krok spotyka niezliczone stada lub pojedyńcze sztuki żórawi, czapel, ibisów, pelikanów, gęsi, kaczek, kuligów, siewek i t. p., a rozmaitość ich jest tak wielka, że w krótkim stosunkowo czasie możnaby tu skompletować pokaźny zbiór ornitologiczny.

Lwia część pośród tych rojów skrzydlatego świata należy się żórawiom, których dwa gatunki spotyka się tu w ilościach nieprzebranych. Jednym z tych gatunków jest nasz pospolity żóraw siwy *(Grus cinerea)*, który tu gromadzi się na swych zimowych stacjach; a drugim — żóraw panienka *(Grus virgo)*, „la demoiselle", jak go Francuzi nazywają. Podobny z wielkości i ubarwienia do żórawia zwykłego, różni się odeń pęczkami białych piórek poza uszami.

Już o jeden dzień drogi w górę rzeki od Chartumu spotykaliśmy liczne stada obu tych gatunków, raz, uszykowane szeregami, niby żołnierze na piaszczystych mieliznach, to znów ciągnące sznurami ze zgiełkiem, który tak mile drażni ucho wielbiciela przyrody. Dostrzedz można było stada po kilkadziesiąt sztuk, a niektóre nawet liczyły do 500 osobników. Nigdy jednak nie zapomnę widoku, jaki nam się przedstawił pod zachód słońca w d. 2-im lutego 1901 roku.

Płynęliśmy gayassą (barką) z Chartumu do Wod-Medani i zbliżaliśmy się właśnie do miejscowości zwanej El Amar. Ciężki nasz stateczek ciągnęła zwolna załoga, gdyż wiatr w tem miejscu nie sprzyjał żegludze. Zajęty byłem preparowaniem jakiegoś ptaszka, gdy hr. Potocki obserwujący pilnie horyzont przez lornetkę, rzekł naraz do mnie.

— Panie, panie, zobacz, co tam żórawi!

Schwyciłem lornetkę i spojrzałem. Daleko na piaszczystej mieliźnie widać było zbitą masę ptactwa, roztasowaną przynajmniej na przestrzeni wiorsty. Zbliżaliśmy się powoli do tej falangi, a w miarę tego coraz wyraźniejsze tworzyliśmy sobie pojęcie o tej niesłychanej ilości ptaków. Dwa mniejsze stada siedziały na piaszczystej wyspie pośrodku rzeki i jedno z nich przy pomocy lornetki mogłem w przybliżeniu obliczyć — było ich 75 do 80 sztuk. To mi dało możność ocenienia mniej więcej liczby ptaków na brzegu. Śmiało utrzymywać mogę, że było tam 15 do 20 tysięcy.

Gdyśmy się zrównali z tem olbrzymiem stadem, Hrabia strzelił z mannlichera. I byliśmy świadkami niebywałego widowiska. Chmury ptactwa zerwały się, zasłaniając część horyzontu i czyniąc zgiełk tak straszny, że całe powietrze było nim literalnie wypełnione. Zdaleka hałas ten był podobny do wrzawy olbrzymiego stada wron i kawek.

Ptaki mieszały się, nie wiedząc, gdzie lecieć, rozbijały na mniejsze partje i w sznury formowały. Jednocześnie w innej stronie horyzontu spostrzegliśmy dwie czy trzy chmury żórawi, tak, że ogólną ilość w przybliżeniu na jakie 50.000 obliczać należy.

Słońce tymczasem zaszło i zmrok szybko zapadał, przybiliśmy więc do brzegu, aby zjeść obiad. Hałas ptactwa trwał ciągle, a gdy noc zapadła i barki nasze popłynęły w górę rzeki, słyszeliśmy do późnego wieczora ten zgiełk niesłychany.

Żałuję bardzo, że nie udało nam się sprawdzić, do jakiego gatunku należały te żórawie. Zbytnia odległość nie pozwalała nam cech charakterystycznych przez lornetkę dopatrzeć, lecz zdaje mi się, że był to żóraw-panienka *(Grus virgo)*, choć bynajmniej nie jest wykluczoną możliwość, że stado, widziane przez nas, składało się z obu wymienionych gatunków.

Podobnie masowego nagromadzenia większych ptaków na małej stosunkowo przestrzeni, nie zdarzyło mi się widzieć ani przedtem, ani potem. Raz jednak — między Wod-Medani i Senaarem — obserwowaliśmy przed wschodem słońca olbrzymi przelot żórawi. Droga nasza prowadziła w tem miejscu z zacho-

du na wschód, a ptaki, ciągnące olbrzymiemi sznurami, przecinały ją pod prostym kątem, kierując się od rzeki wprost na południe. Pojedyńcze stada niejednakowej były wielkości, bo gdy w jednych naliczyć można było do kilkudziesięciu sztuk, inne składały się z paruset osobników. Ciągnęły one szerokim pasem i przelot trwał przynajmniej pół godziny; w sumie więc można było obliczyć ilość ptaków na kilkanaście tysięcy.

Obok wspomnianych dwóch gatunków, nad brzegami Nilu Błękitnego, a szczególniej przy opisanych wyżej jeziorkach, spotyka się od czasu do czasu żórawia czubatego *(Balearica pavonina)*. Najpiękniejszy ten gatunek żórawia jest prawie czarnego koloru, a skrzydła ma słomiasto-białe. Na wierzchu głowy pęk słomiasto-żółtych, nitkowatych piórek stanowi rodzaj czuba.

Żóraw czubaty jest nierównie rzadszym od obu poprzednio wymienionych gatunków, a nieliczne jego stadka, złożone z kilku lub kilkunastu osobników, nie codzień widzieć się dają. Znać też, że ptak ten nie odwiedza, jak tamte, północnych, cywilizowanych krajów, bo człowieka mniej od nich się boi, podpuszczając nieraz na strzał nader bliski. Zresztą uważałem, że nawet te gatunki ptaków, które u nas w Europie do najostrożniejszych należą, tutaj w Sudanie żyją obok człowieka, mało nań zwracając uwagi. Czarny mieszkaniec wnętrza Afryki, pozbawiony broni palnej śrótowej (gdyż karabiny prędzej tu się spotyka), pozostawia w spokoju wszelkiego rodzaju ptactwo, które mu się za to szczególnem zaufaniem odpłaca.

Weźmy np. pelikana *(Pelecanus onocrotalus)*, który nietylko w Europie, lecz nawet w Egipcie uchodzi za jednego z najostrożniejszych ptaków, bo go tam wszelkiego rodzaju powołani i niepowołani nemrodzi salwą strzałów witają, gdy tylko się ukaże. Tymczasem nad Nilem Błękitnym ostrożny ten ptak pozbywa się zupełnie swej nieufności względem człowieka i chętnie zapada w sąsiedztwie jego osad, skoro tylko żer obfity ma zapewniony. Pewnego razu udało się hr. Potockiemu zejść stado, kilkadziesiąt sztuk liczące, na odległość nie więcej jak 80 kroków.

Brzydki ten ptak, gdy go zbliska siedzącego widzimy, posiada w locie taki majestat, że mógłby go pozazdrościć mu nawet orzeł, król ptaków.

Stada pelikanów nie zapadają gromadami na miejsca swych żerowisk lub wypoczynku, jak to zwykły czynić inne ptaki, lecz rozbijają się i pojedyńczo zlatują na ziemię. Położywszy głowę na grzbiecie, z długim dziobem przytulonym do szyi, ze skrzydłami, jak struny naprężonemi, pelikan zatacza wielkie

kręgi, a gdy jego kolej nadejdzie, obok swych towarzyszów zapada.

To, com chwilę przedtem powiedział o niezwykłem zaufaniu, jakiem ptaki środkowej Afryki darzą człowieka, stosuje się także do całej masy wodnego i błotnego ptactwa nad brzegami Nilu Błękitnego. To też europejczyk, przywykły do zachowywania wielkich środków ostrożności, gdy się na polowaniu do nich podkrada, ze zdziwieniem spostrzega, jak tutaj obok człowieka spokojnie żerują, nie zwracając nań bynajmniej uwagi. Stada ibisów *(Ibis religiosa i Falcinellus igneus)*, czaple rozmaitych gatunków, jak: zwykła czapla siwa *(Ardea cinerea)*, dwa gatunki czapli białej *(Ardea egretta i Ardea garzetta)*, czapla olbrzymia *(Ardea goliath)*, dwa gatunki dzikich gęsi *(Chenalopex aegyptiaca i Plectropterus gambensis)*, dzikie kaczki, cyranki, cyraneczki, płaskonosy, najrozmaitsze kuligi, kuliczki, siewki i t. p. przechadzają się w niewielkiej odległości od ludzi, którzy czy to ryby w jeziorkach łowią, czy też bydło pasą. Nawet strzały niekoniecznie je płoszą, bo zerwawszy się i okrążywszy, wkrótce na miejsce powracają.

Brzegi rzeki lub jeziorek nietylko ptactwo błotne i wodne nawiedza. Na piaszczystych mieliznach co krok można napotkać przechadzające się w poszukiwaniu żeru białosępy *(Neophron percnopterus i Neophron pileatus)*, a towarzyszą im zwykle piękne kruki sudańskie *(Corvus scapulatus)*, smolisto czarne, z białą, jak śnieg, szeroką obrożą, okalającą piersi i szyję. Chrapliwy głos tych kruków ciągle tu się słyszy, obok żałosnego pisku kani egipskiej *(Milvus aegyptius)*, która stale trzyma się osąd ludzkich, zbierając niedojedzone szczątki wszelkiego rodzaju.

Do najwspanialszych przedstawicieli pierzastego świata w kraju, przez nas zwiedzanym, należy niewątpliwie orzeł białogłowy, albo lepiej jeszcze: bielik krzykliwy *(Haliaetus vocifer)*. Bliski krewny naszego bielika, posiada jednak stokroć piękniejsze ubarwienie, które go umieszcza w rzędzie najwspanialszych drapieżników. Głowa i szyja wraz z piersią są czysto białe; wierzch ciała czarny, a spód i ramiona czerwono-kasztanowate. Śnieżna białość głowy powoduje, że zdaleka spostrzedz można orła tego na tle zieleni nadbrzeżnej.

Bielik krzykliwy nie tyle trzyma się brzegów samego Nilu, jak raczej jeziorek i kałuż, których płytsze wody bardziej się nadają do łowienia ryb, stanowiących główny pokarm tego drapieżnika. Głos jego dziwny, niby ludzki! rozlega się w różnych porach dnia, a nawet i w nocy: nigdzie go jednak nie słyszeliśmy tak często, jak nad jeziorkiem przy osadzie Dissa,

gdzie orzeł ten do najpospolitszych ptaków należy. Gdy się szło we wspomnianej miejscowości brzegiem jeziorka od strony dżungli, co kilkadziesiąt kroków spotkać można było pojedyńczo lub parami siedzące na drzewach bieliki krzykliwe, gdy inne z nich żerowały w kępiastej, nadbrzeżnej trawie.

Z pomiędzy nadbrzeżnych mieszkańców miejscowej avifauny przytoczyć jeszcze muszę zimorodka żałobnego *(Ceryle rudis)*. Znacznie większy od naszego zwykłego, posiada ubarwienie pstre, składające się z koloru czarnego i białego. Ptaszek ten, żywiący się wyłącznie drobnemi rybkami, zasiada na nadbrzeżnych krzakach lub prostym swym i szybkim lotem unosi się nad powierzchnię wody, aby zatrzymać się na chwilkę, zatrzepotać skrzydłami na jednem miejscu, co zwykł czynić, gdy zdobycz swą w wodzie upatruje.

Zanim ostatecznie brzeg Nilu Błękitnego porzucę, aby was do sąsiedniej dżungli poprowadzić, wspomnieć jeszcze muszę o naszym starym znajomym, bocianie *(Ciconia alba)*. Widzieliśmy go tam daleko, w głębi Afryki, na jego zimowych stacjach, lecz zwykle pojedyńczo i w bardzo małej ilości.

Niezwykle suchy klimat w porze, która naszej zimie odpowiada, jest przyczyną ,że kraj w okolicach Chartumu nadzwyczaj ubogą roślinność posiada. Jest to step równy, jak stół, pokryty dość rzadką, wybieloną przez promienie słoneczne trawą; tylko tu i owdzie rozsiane są krzaki i karłowate drzewka, pozbawione liści, lub bardzo ubogo niemi pokryte. Ku rzece jednak roślinność jest znacznie bogatsza, spotyka się większe, akacjowe drzewa, chociaż grunt jest nagi i stwardniały.

W miarę jak posuwamy się ku południowi, klimat stopniowo staje się wilgotniejszym, co widocznie sąsiedztwu gór abisyńskich przypisać należy, a jednocześnie roślinność coraz to obficiej występuje, dżungla przybiera niejako charakter niskopiennego lasu, trawa tu znacznie wyższa. W okolicach Dissy ze zdziwieniem zauważyć możemy, jeśli rankiem wyjdziemy na przechadzkę, że trawę pokrywa rosa. Po brzegach rzeki i jeziorek trafiają się na każdym kroku piękne, wachlarzowate pal-

my, a drzewa niekiedy dochodzą znacznej wysokości. Tutaj spotykamy również wspaniałe sykomory i olbrzymie baobaby *(Adansonia).*

Ciekawe zjawisko przedstawiają nam wielkie i rozłożyste sykomory. Bogate ulistwienie ich daje doskonały cień, tak upragniony w kraju, gdzie większość drzew w porze suchej albo zupełnie pozbawiona liści, albo tak skąpo ich posiada, że znaczna część promieni słonecznych nawskroś je przenika. To też spotkawszy takie cieniste drzewo, pewni być możemy, że na nim znajdziemy cały świat skrzydlaty, który się tu kryje przed palącym żarem słonecznym. Począwszy od piskliwej kani *(Milvus aegyptius),* która tu swe gniazdo uwiła, a skończywszy na drobnych cukrzykach *(Nectarinia),* dostrzeżemy tu wszystkich prawie drobniejszych przedstawicieli miejscowej avifauny, jeśli tylko cierpliwie pod drzewem czekać będziemy. Tutaj uwija się wspaniała, rajska muchołówka *(Terpsiphone viridis),* której ogon zdobią dwa bardzo długie i wiotkie piórka; obok zbierają drobne owady przedstawiciele naszych gajówek *(Hypolais pallida, Prinia mystacea i Cisticola ruficeps);* tam szukają wypoczynku pięknie ubarwione „bengalis" *(Estrilda cinerea i Estrilda phoenicotis),* aby od czasu do czasu zlecieć na ziemię i wśród pyłu zbierać nasionka trawy. Z wyższych gałęzi dochodzi nas przeciągłe gruchanie synogarlicy *(Turtur roseigularis),* obok której wypoczywa nieruchomie inny gołąbek sudański *(Chalcopelia afra).* Znajdziemy tu jeszcze innych przedstawicieli rodziny gołębiowatych. Tam oto siedzi piękny, do pliszki podobny gołąbek *(Oena capensis),* którego spotkamy wszędzie — od Chartumu do gór abisyńskich, ba! nawet i na przylądku Dobrej Nadziei, boć sama jego nazwa łacińska na to wskazuje. Długi jego ogonek nadaje mu w locie pewną lekkość i elegancję. Zarówno ten gatunek, jak i wspomniana powyżej synogarlica, należy do najpospolitszych ptaków dżungli nad brzegami Nilu Błękitnego. Gdzie się tylko ruszyć, wszędzie zrywają się parami lub po kilka naraz z drzew akacjowych lub z pyłu gruntu dżunglowego.

Z gęstych krzaków przyrzecznych dochodzi nas jakiś głos pełny, fletowy. Wyrzuca go ptaszek wielkości szpaka, połyskująco czarny na wierzchu, a prześlicznie ponsem ubarwiony od spodu *(Laniarius erythrogaster).* Obok tego doskonałego, choć niezbyt bogatego co do repertuaru śpiewaka, podchwytujesz dziwnie ochrypłe i nieharmonijne tony. Jest to głos przedstawiciela rodziny *Timeliidae (Crateropus leucocephalus).*

Szpaki mają tu także swych reprezentantów, lecz znacznie suciej ubarwionych, aniżeli nasze. Jeden z nich *(Lampro-*

colius chalybeus) posiada na całem ciele piórka, połyskujące pięknemi, metalicznemi barwami (zieloną, granatową i purpurową). Inny znów *(Spreo pulcher)* jest całkowicie zielony, połyskujący, a tylko brzuch posiada koloru cynamonowego. Stadka jego, złożne z kilkunastu osobników, dość często spotkać można, jak na suchym gruncie dżunglowym żerują.

Wogóle brzegi Nilu Błękitnego, chociaż nie posiadają avifauny tak urozmaiconej, jak wilgotne lasy brzegów Amazonki, Kordyljerów lub Nowej Gwinei, niemniej jednak przechowują w swych terenach znaczną ilość ptaków świetnie upierzonych, co stanowi prawie wyłączną właściwość krajów podzwrotnikowych. Kilka z nich wymieniłem już poprzednio; o innych wspomnę słów kilka. Weźmy np. trzy gatunki z rodzaju żołna *(Merops)*.*) Jeden z nich *(Merops nubicus)* posiada pióra pięknego, malinowo-różowego koloru, głowę zaś, kuper i podogonie — jaskrawo-niebieskiego. Niemniej piękny jest *Melittophagus frenatus* całkowicie zielony, z pyszną, ponsową barwą gardzieli i szafirowem podogoniem. Trzeci gatunek, najmniejszy *(Melittophagus ocularis)*, jest szmaragdowo-zielonego koloru z żółtą gardzielą i czarną plamką na przodzie piersi. Z prawdziwą rozkoszą przyglądałem się w Harunie, jak wszystkie te trzy gatunki zgromadzały się o zachodzie słońca nad brzegami jeziorka, siadając na nagich badylach krzaków, aby ztamtąd uganiać się po powietrzu za owadami, szybującemi ponad wodą. Zgiełk ich głosów napełniał powietrze w ciągu pół godziny, jaka dzieli zachód słońca od zupełnego zmierzchu. Ptaszki te zataczały łuki, wracały do swych gałązek i porozumiewały się z sobą swym harmonijnym językiem.

Pod względem ubarwienia śmiało może z niemi rywalizować kraska abisyńska *(Coracias abyssinicus)*, podobna do naszej z rozkładu barw na ciele, lecz różniąca się dwoma wiotkiemi i bardzo wydłużonemi piórkami w ogonie. Pięknego tego ptaka dość często spotykałem nad brzegami Nilu Błękitnego.

Niemniej świetnie są ubarwione rozmaite gatunki „bengalis" *(Ploceidae)*. Samiec jednego z nich *(Lagonosticta brunneiceps)* jest całkowicie czerwony, gdy samiczka szara, gdyż w świecie ptaków samce, a nie samice stanowią płeć piękną. Inny znów *(Estrilda phoenicotis)* jest blado-błękitnego koloru

*) U nas żołnami nazywa się niewłaściwie wszystkie większe gatunki dzięciołów. Ornitologiczny rodzaj *żołna* odpowiada łacińskiemu *Merops*.

z czerwonemi plamkami na uszach. Żaden jednak ptaszek z tej rodziny nie zwraca naszej uwagi tak, jak skromnie ubarwiona *Quelea aethiopica*. Wielkości naszego wróbla, jest całkowicie szaro ubarwiona z nieco ciemniejszą pstrocizną na wierzchu ciała. Jedyną jej ozdobą jest dziób pięknego, różowego koloru. Nic przeto w zewnętrznym wyglądzie tej ptaszyny nie uderza naszej wyobraźni i niktby też nie zwrócił na nią uwagi, gdyby nie olbrzymie, wprost fantastyczne masy, w jakich ten gatunek występuje w niektórych częściach Sudanu.

Już poczynając od osady Mashra-Abad, zdumieni byliśmy widokiem niezliczonych stad jakiegoś niby wróbelka, a następnie spotykaliśmy je aż do samej Dissy. Zabite egzemplarze dały mi poznać, że jest to *Quelea aethiopica*, o której Brehm, opierając się na świadectwie Heuglina, mówi, że trafia się w Sudanie w niezliczonych stadach.*)

Ptak ten odbywa dwa razy dziennie perjodyńcze przeloty, raz zrana, przed wschodem słońca, i wtedy ciągnie w kierunku rzeki z północy na południe, drugi raz po zachodzie słońca — w kierunku przeciwnym, to jest, z południa na północ. Niezliczone stada ciągną wtedy z szumem tak silnym, jak szum wiatru w lesie podczas burzy, a zbita masa ptactwa jest tak gęsta, że zasłania miejscami całą sekcję nieba. Stada, widziane ze znacznej odległości, robią wrażenie gęstego dymu lub czarnej chmury, mknącej ze znaczną szybkością; a gdy rankiem lub wieczorem staniemy w pobliżu rzeki, chmur takich widzimy dziesiątki naraz w różnych stronach horyzontu.

Ażeby dać wam pojęcie o masie tych ptaków, przytoczę tylko przelot, któryśmy obserwowali w dniu 4 marca pomiędzy Harunem a Tibną. Ptaki ciągnęły zbitą masą i prawie bez przerwy przez 20 minut! Więc nie miljony, lecz miljardy być ich tam musiały.

Stada w przelocie swym zapadają niekiedy na trzcinowate trawy lub na krzaki nadbrzeżne, lecz zwykle tylko chwilę zabawią, poczem ciągną dalej, jakby parte jakąś niewidzialną siłą. I nigdy nie umiałem sobie wytłómaczyć tych perjodycznych, dziennych przelotów ku południowi i z powrotem. Bo jeśli ptaki te lecą w poszukiwaniu lepszych żerowisk, to dla-

*) Brehm w swem dziele *(La vie des animaux)* używa synonimowej nazwy *Quelea sanguinirostris*. Uczony ten zwiedził brzegi Nilu Błękitnego, lecz wspomnianego ptaszka widział tylko w niewielkich stadkach, z czego wnoszę, że podróż swą musiał odbyć w innej porze roku.

czego wracają pod wieczór? Może inni podróżnicy będą szczęśliwsi odemnie i ciemną tę kwestję przez dokładne obserwacje wyświetlą.

Uderzył mnie w avifaunie Senaaru brak prawie zupełny dzięciołów. Bądź co bądź ptaki te, które zawsze trzymają się roślinności drzewiastej, znaleźćby tam mogły doskonałe żerowiska na większych i mniejszych drzewach nietylko po brzegach rzeki, lecz nawet i w głębi dżungli. Tymczasem przez cały czas trwania naszej podróży widziałem zaledwie dwa dzięcioły, z których jeden, zabity przezemnie, należy do gatunku *Yungipicus obsoletus;* drugiego zaś raz tylko na chwilę widziałem, lecz przypuszczam, że to jest dzięcioł nubijski. *(Picus nubicus).* Równie rzadko spotyka się tam i przedstawicieli papug, których też tylko dwa gatunki spotkałem, a mianowicie znanego powszechnie *Palaeornis docilis* niewielką, zieloną papużkę z długim ogonem i czarną pręgą na przodzie szyi. Drugi gatunek, który kilkakrotnie widziałem, jest to zapewne *Phaeocephalus Meyeri* — całkowicie zielony z brunatną główką.

Podzwrotnikowy charakter kraju ujawnia się też obecnością paru gatunków dzioborożców *(Bucerotidae),* ptaków właściwych gorącym strefom Afryki i Azji. Tak zwany „tok" *(Lophoceros erythrorhynchus)* należy do pospolitych ptaków pomiędzy Senaarem a Dissą. Pojedyńcze osobniki, pary lub stadka **toków** spotyka się dość często nawet w suchej, bezwodnej dżungli. Stokroć rzadszym od tego gatunku jest dzioborożec abissyński *(Buceros abyssinicus),* którego parę razy tylko widziałem na świeżem wypalenisku. Wielkie te, całkowicie czarne, z olbrzymiemi dziobami ptaki spacerowały sobie pompatycznie po zczerniałym od zwęglonej trawy, dymiącym jeszcze miejscami gruncie; lecz gdym chciał je podejść, szybkim krokiem poczęły uchodzić, a nacierane przezemnie, zerwały się i uleciały w głąb dżungli.

Niejodnkrotnie też podczas naszych marszów trafialiśmy na parki stepówek *(Pterocles* — zapewne *P. coronatus),* które z łoskotem zrywały się z pod zwieszających się liści palmowych. Są to ptaki wielkości gołębia-grzywacza, z długiemi ostremi skrzydłami i maleńkiemi nóżkami. Cechami swemi zbliżone do ptaków kurowatych, stanowią stepówki samodzielną rodzinę, posiadającą dość licznych przedstawicieli na lądzie afrykańskim i w Azji.

Z kurowatych, właściwych wschodniemu Sudanowi, spotkaliśmy dobrze nam znaną perliczkę *(Numida ptilorhyncha)* i pewien gatunek frankolina, czyli *„turacza" (Francolinus*

Sharpei). Perliczka trzyma się w stadach, złożonych z kilkunastu lub kilkudziesięciu sztuk, a raz nawet trafiliśmy na stado, wynoszące do 250 sztuk. Rankiem i pod wieczór ptaki te żerują w dżungli lub na brzegi łąk wychodzą. Resztę dnia spędzają w cieniu dżungli, a niekiedy siadają w koronach drzew cienistych, aby swą sjestę odbywać. Ujrzawszy człowieka, wyciągają swe szyje, lecz gdy bliżej podchodzić, szybko na nogach uciekają lub z łoskotem rwą się i znikają w gąszczu. Nigdy jednak daleko nie lecą. W gęstych trawach zejść je można blisko i bez trudu strzelać.

Rzadszy jest znacznie frankolin, którego zwykle w parach lub stadkach, do 12 sztuk liczących, spotykaliśmy. Ptaki te rwą się najczęściej z pod samych nóg myśliwego, powodując łoskot skrzydłami. Mięso frankolina jest nader smaczne i stanowi miłe urozmaicenie kuchni sudańskiej.

Kończąc ten krótki i niekompletny rys ornitologji wschodniego Sudanu, nadmienić muszę, że ptactwa przelotnego spotkałem tu znacznie mniej, aniżelim się tego spodziewał. Ptaki błotne i wodne jeszcze spotykamy tu częściej, jako obdarzone doskonałym i wytrzymałym lotem. Natomiast z drobniejszych ptaków owadożernych wymienić tylko mogę: jaskółkę dymówkę *(Hirundo rustica)* i niektóre gatunki srokoszów, których zresztą tożsamości nie sprawdziłem. Zwykłą przepiórkę *(Coturnix communis)* dwa razy tylko wśród dżungli udało mi się widzieć. Z tego wnoszę, że Sudan leży już po za sferą normalnych przelotów naszego ptactwa.

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. .....

SPIS ROZDZIAŁÓW

Str.

ROZDZIAŁ I.

Wyjazd z Warszawy. — Wiedeń. — Kair. — Nasza służba. — Materjał wyprawowy. — Assuan. — Hr. Teleky. — „Prince Abbas". — Sudan Military Railway. — Pustynia Nubijska. — Ciekawe spotkanie. 9

ROZDZIAŁ II.

Chartum. — Omdurman. — Ochronne prawo łowieckie dla Sudanu. — Plan naszej wyprawy. — Wyjazd z Chartumu. — Żegluga po Nilu Niebieskim. — Wod-Medani. — Wyjazd karawaną. — Senaar. — Nasi łowcy (shikari). 23

ROZDZIAŁ III.

Wyjazd z Senaaru. — Man-eater. — Perliczka sudańska. — Dżungla. — Gniazda termitów. — Senga Wielka. — Żóraw czubaty. — Nowi łowcy. — Hellet-Tefik (Karkocz). — Smith-Bey. — Pierwsza zabita gazella. — Louni. 37

ROZDZIAŁ IV.

Pierwszy hypopotam. — Mashra-Abad. — Niespokojna noc. — Ariele. — Dawne łożysko Nilu. — Rigueba. — Hypopotamy i krokodyle. — Gazella rdzawoczelna. 49

ROZDZIAŁ V.

Polowanie na lwy. 59

ROZDZIAŁ VI.

Tibna. — Żóraw czubaty. — Tropy słoni. — Ahmed-Mogit. — Noc w obozie. — Dżungla. — Wypaleniska. — Pięć arielów jednego dnia. 71

Str.

ROZDZIAŁ VII.

El-Harun. — Spotkanie z aborufami. — Phacochery. — Katamburo. — Lew czy pantera. — Szarża dzika. — Na tropach bawołu. — Słoń i telegraf. — Dwanaście strzałów do jednej sztuki. 87

ROZDZIAŁ VIII.

Dissa. — Polowanie na słonie. 99

ROZDZIAŁ IX.

Jeszcze raz w zeribie. — Wycieczka hr. Potockiego na drugą stronę Nilu i zabicie aborufa. — Odwrót. — Polowanie na bawoły. — Olbrzymi phacocher. — Sprawka pantery. — Zabicie tetela 115

ROZDZIAŁ X.

Polowanie na hypopotamy. — Dublet do aborufów. — Lwiątko. — Forsujemy marsze. — Zjawisko mirażu. — Powrót do Chartumu. 129

PTAKI NAD NILEM NIEBIESKIM. 142

1993 -01- 1 8

11 05 1999

2009 -[illegible] 02

2013 -09- 1 1

2011 -10- 1 4

18866